

The background of the cover is a dark, industrial setting filled with complex machinery, pipes, and mechanical components. In the center, a woman is seated inside a transparent, pod-like device. She is wearing a light-colored, form-fitting outfit. The device has a glowing screen at the top displaying some data. The overall atmosphere is futuristic and technological.

PETER WATTS

POKLATKOWA
REWOLUCJA

UCZTA WYOBRAŹNI

PETER WATTS

**POKLATKOWA
REWOLUCJA**

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH M. PRÓCHNIEWICZ

**WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2018**

Tytuł oryginału:
The Freeze-Frame Revolution

Copyright © 2018 by Peter Watts
Copyright for the Polish translation

© 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii:
Piotr Chyliński

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:
Dark Crayon

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66065-55-0

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
www.mag.com.pl

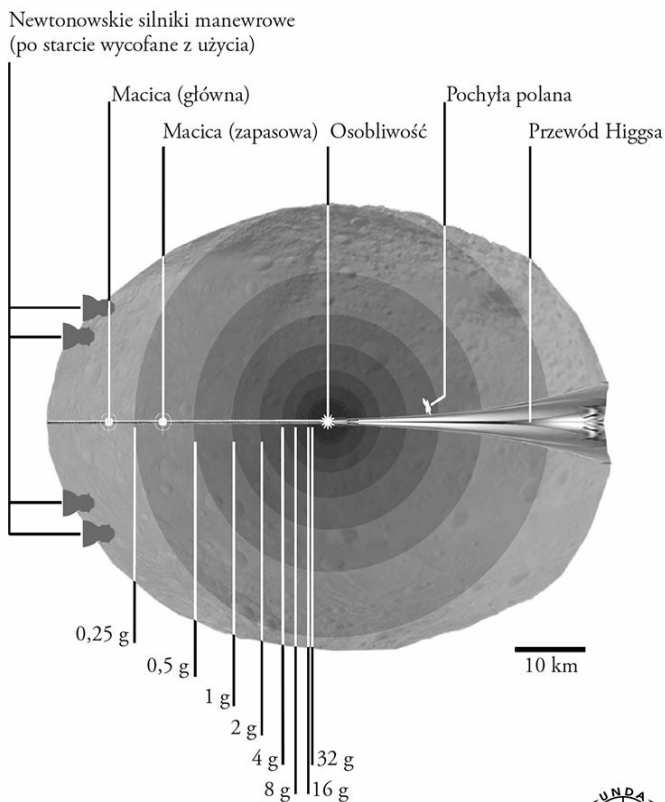
*Pamięci Banany i Chipa.
Nie cierpieli się nawzajem.*

Diaspora Narodów Zjednoczonych

DCP *Eriophora*

Charakterystyka grawitacyjna

Uwaga: Izograwy wykreślone w odwróconej ku przodowi konfiguracji z aktywnym napędem.



Przez jakiś czas po starcie bawiłam się sama ze sobą w taką grę. Po każdym rozmrożeniu odejmowałam czas lotu od daty wylotu, a potem sprawdzałam, gdzie byśmy się znaleźli, gdyby *Eriophora*¹ była wehikułem czasu – gdybyśmy, zamiast lecieć w kosmos, cofali się w przeszłość. O, proszę, pierwsza budowa cofnęła nas w czasy Rewolucji Przemysłowej. Dwie kolejne – w złoty wiek islamu, kolejne siedem – do Dynastii Shang.

Chyba próbowałam w ten sposób zachować jakąś ciągłość, mierząc najbardziej nieśmiertelną z wypraw skalą intuicyjnie zrozumiałą dla mięsucha. Ale to się nie sprawdziło. Odniosło wręcz odwrotny skutek, pokazało mi szyderczo, jaka to była absurdalna pycha, próbować wcisnąć Diasporę w żałosne granice ziemskiej historii.

Zacznijmy od tego, że Szypm nikogo nie rozmrażał aż do siódmego tunelu – niemal przez pierwsze sześć tysięcy lat misji. Przespałam więc całą ludzką cywilizację, obudziłam się dopiero na upadek cywilizacji minojskiej. Kai, zdaje się, był na chodzie w czasach piramidy Cheopsa, ale kiedy mnie Szypm wezwał z krypty, byliśmy dobrze w trakcie ostatniej epoki lodowcowej. Potem poleciliśmy w paleolit, zbudowawszy już pięć tysięcy bramek, z czego tylko trzysta wymagało obecności mięsuchów na pokładzie – a dopiero co skończyliśmy pierwsze okrążenie Drogi Mlecznej.

Po australopiteku dałam sobie spokój. Głupia, dziecinna gra, od początku skazana na niepowodzenie. Jesteśmy jaskiniowcami i tyle. Trwała jest tylko misja.

Nie do końca wiem, co sprawiło, że podjęłam tę dziecinną rozrywkę z powrotem. Nauczkę miałam już za pierwszym razem, a odległości tylko zrobiły się większe. Mimo to spróbowałam, kiedy

¹ *Eriophora* – rodzaj tkających sieci pająków z rodziny krzyżakowatych (przyp. tłum.).

wszystko się popierdzieliło, przywołałam zegary, wykonałam odejmowanie na stuleciach. Do tego czasu okrążyliśmy dysk trzydzieści dwa razy, zostawiliśmy za sobą ponad sto tysięcy bramek. Zebraliśmy tyle surowca, że Pan Bóg, gdyby patrzył z góry, mógłby pewnie prześledzić naszą trasę na podstawie nierównej spirali złożonej z bąbelków, które ogołociliśmy z lodu i kamieni.

Według starego kalendarza – sześćdziesiąt sześć milionów lat. Tyle czasu byliśmy w podróży. Aż po koniec epoki kredy.

Z dokładnością do paru tysiącleci, rewolucja wydarzyła się tego samego dnia, kiedy Ziemię walnął w głębę jeden z mniejszych braciszków *Eriophory*, wymazując z niej dinozaury.

Nie wiem dlaczego, ale trochę mnie to śmieszy.

Przypadkowe demony

Grę zepsuła mi budowa w *Monocerosie*. Potwór wyskoczył z bramki ułamek sekundy po jej odpaleniu, zupełnie jakby skurwiel przez cały czas na to czekał, jakby nienawiść i głód rosły w nim z każdą sekundą każdego stulecia, gdy pełzliśmy przez próżnię, by go uwolnić. Może właśnie w coś takiego zmieniała się ludzkość wiele milionów lat po starcie *Eriophory*. Może to było coś, co przyszło później, połączyło ludzkość w całość i popędziło naszymi autostradami, patrząc, co by tu jeszcze pożreć.

To nie ma żadnego znaczenia. To nigdy nie ma znaczenia. My zrodziliśmy bramkę, bramka zrodziła potworność. Z czymś mi się skojarzyła, dostrzegłam jakieś niewyraźne, znajome echo, którego nie byłam w stanie umiejscowić. Zdarza się częściej, niż mogłoby się wydawać. Jak się jest w drodze przez tyle gigasekund, to nie ma siły – z czasem dostrzegasz we wstecznym lusterku, że modele są podobne.

Uratowały nas standardowe procedury. Hamowanie po uruchomieniu bramki równa się samobójstwu – promieniowanie ze świeżo powstałego tunelu czasoprzestrzennego spopieliłoby nas na długo, nim zdążyłby nas połączyć jakiś przypadkowy demon. Przeszliśmy więc przez to ucho igielne tak samo jak zawsze – przejechaliśmy na oklep na grzbiecie naszej osobliwości przez pętlę może ze dwa razy większą od nas i domknęliśmy tunel łączący tam i tu z prędkością sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę, ani na moment nie zwalniając. Ufaliśmy, że reguły się nie zmieniły, że matematyka, fizyka i ratująca nam dupę geometria, w której rzeczy słabną z kwadratem odległości, rozcieńczą czoło fali, zanim nas dogoni. Uciekliśmy przed promieniowaniem, uciekliśmy i przed potworem, a gdy te dwa gatunki niepewnej śmierci przesunęły się ku czerwieni za rufą, Szypm wyświecił mi w rogu pola widzenia małą

żółtą ikonkę...

POMOC MEDYCZNA?

...a ja nie wiedziałam dlaczego, póki nie odwróciłam się do Lian i nie zobaczyłam, że się trzęsie.

Wyciągnęłam do niej rękę.

– Lian, dobrze...

Machnęła ręką. Oddychała płytko i szybko. Na jej szyi pulsowało tętno.

– Nic mi nie jest. Po prostu...

POMOC MEDYCZNA?

Widziałam, jak próbuje dojść do głosu jakieś kruche opanowanie. Widziałam, jak walczy, jak słabnie, jak nie do końca wygrywa. Jednakże oddech się uspokoił.

POMOC MEDYCZNA? POMOC MEDYCZNA?

Wyłączyłam ikonkę.

– Lian, o co ci chodzi? Wiesz, że to nie jest w stanie nas dogonić.

Rzuciła mi spojrzenie, jakiego nigdy dotąd nie widziałam.

– Nie masz pojęcia, co oni są w stanie. Nawet nie wiesz, kim oni są. Nic nie wiesz.

– Wiem, że żeby w ogóle próbować nas gonić, mają co najwyżej z dziesięć kiloseków, żeby rozbujać się od zera do dwudziestu procent prędkości światła. I wiem, że jeśli ktoś tak potrafi, to dawno by nas pacnął jak muchę, gdyby tylko zechciał. I ty też to wiesz.

Przynajmniej kiedyś wiedziała.

– A, to tak to robisz. – Drobny śmieszek, niepokojąco bliski granicy hysterii.

– Co robię?

– Radzisz sobie z tym. Skoro się nigdy nie stało, to nigdy się nie stanie?

Pięć osób rozmrożonych na czas budowy i to akurat ja muszę przy niej być, kiedy jej odwala.

– Li, skąd ci się to bierze? Przez dziewięćdziesiąt pięć procent czasu bramka po prostu sobie stoi i nic nie robi.

– I co to zmienia? – Rozłożyła ręce w paradoksalnym geście

jednocześnie bojowym i pełnym rezygnacji. – Ile czasu my już to robimy?

– Wiesz równie dobrze jak ja.

– Poszerzamy Imperium Ludzkości. Czy raczej tego, w co Ludzkość się przez tyle czasu zmieniała. – I to miała być jakaś nowość? – Budujemy kolejną bramkę i nic z niej nie wyłazi. To co, wymarli? Mają to gdzieś? Zapomnieli o nas?

Otworzyłam usta.

– Albo... – ciągnęła – ...stawiamy bramkę i coś próbuje nas zabić. Albo my...

– Albo budujemy bramkę – powiedziałam stanowczo – i dzieje się coś pięknego. Pamiętasz te bańki, jakie piękne były?

Wykipiały z pętli jak tęcze, tańczyły wokół siebie, opalizujące i wspaniałe, aż urosły do wielkości miast i wtedy po prostu wyblakły.

Gdy je przywołałam, dostałam w zamian nieznaczną i krzywy uśmiech.

– A, no tak. I co to właściwie było?

– Ważne, że nas nie zjadło. Tylko o to mi chodzi. Nawet nie próbowało. Lian, my nadal żyjemy. Mamy się nieźle, nawet lepiej niż nieźle, bo po zielonej stronie każdego wskaźnika, jaki przyjdzie ci do głowy. A do tego badamy galaktykę. Jak mogłaś zapomnieć, jakie to wspaniałe? Ludziom na Ziemi nawet by się nie marzyło to, co my widzieliśmy.

– Spełniamy niemarzenia. – Znów zachichotała. – Sunday, no fantastycznie po prostu.

Patrzyłam, jak to biomechaniczne spotwornienie znika za nami. Patrzyłam, jak w akwarium taktycznym migocze i aktualizuje się rój ikonki. Patrzyłam, jak płyty pokładu potyskują w słabym świetle z mostka.

– Dlaczego oni się do nas... po prostu nie odezwą? Nie powiedzą „cześć” od czasu do czasu? Albo choćby raz?

– Nie wiem. A ty? Przed wylotem przeleciałaś się może na Madagaskar, znalazłaś jakiegoś tupaja, podziękowałaś mu za pomoc?

– Nie rozumiem. O co ci chodzi?

– O nic. Po prostu... – Wzruszyłam ramionami. – Myślę, że mają teraz inne priorytety.

– To się powinno już skończyć. Mieli nas wezwać z powrotem wiele milionów lat temu. Nie... – Uciszyła mnie roztrzęsioną dłonią. – My nie mieliśmy lecieć w nieskończoność. Ile razy już oblecieliśmy ten zasrany dysk? – Rozłożyła szeroko ręce.

Szym, nie rozumiejąc gestu, rzucił nam na tył mózgu obraz lokalnych gwiazd.

– Może tylko my zostaliśmy. A i tak dawno zdążyliśmy obstać cały dysk tymi bramkami.

Teraz ja spróbowałam się zaśmiać.

– To duża galaktyka. Jeszcze sporo brakuje, parę kótek na pewno trzeba zrobić.

– I zrobimy. Możesz na to liczyć. Póki nie odparuje napęd, Szymowi nie skończy się prąd, a ostatni z nas nie zgnije w krypcie jak spleśniały owoc. – Obejrzała się na akwarium taktyczne, choć jego ekrany wyświetlały się także w naszych głowach. – Sunday, my skończyliśmy. Termin końca misji dawno minął. *Eri* nie była obliczona na tak długo. Ani my. – Westchnęła, powoli wypuściła powietrze. – Zdecydowanie zrobiliśmy wystarczająco dużo.

– Chcesz się zabić? To masz na myśli? – Naprawdę nie miałam pojęcia.

– Nie. – Pokręciła głową. – No nie. Skąd.

– To czego chcesz? Bo widzisz, jesteśmy tutaj. Gdzie indziej mogłybyśmy być?

– Na Madagaskarze na przykład? – Teraz, ni stąd, ni zowąd, się uśmiechnęła. – Może zostawili nam jakieś miejsce. Zaraz obok tupai.

– Na pewno coś zostawili. Sądząc po tym ostatnim, co go widzieliśmy.

– Rany, Sunday. – Jej twarz zapadła się w sobie. – Ja po prostu chcę do domu.

Podjęłam kolejną próbę kontaktu fizycznego.

– Lian... to jest...

- Naprawdę? – Chociaż tym razem mnie nie odgoniła.
- Żadnego innego miejsca nie mamy. Ziemia, nawet jeśli jeszcze istnieje, nie jest już nasza. My jesteśmy...
- Tupajami – wyszeptwała.
- No tak. W sumie. Mniej więcej.
- A widzisz, to może mają gdzieś jeszcze wilgotną gorącą dżunglę, żebyśmy mogły się tam schować?
- Cała ty. Popieprzona optymistka. – A kiedy nie odpowiedziała, dodałam: – Budowa się skończyła, Lian. Pora się kłaść.
- Obiecuję ci: za parę tysięcy lat wszystko będzie wyglądać lepiej.

* * *

Park i Viktor, znudzeni kolejną z niezliczonych budów, zamiast oglądać start bramki, udali się gdzieś na chwilę intymności. Spotkaliśmy się potem, żeby trochę się rozluźnić, zanim położymy się do krypty. Usiedliśmy w granatowym niebie.

A w każdym razie trójka z nas. Lian jak zawsze wołała własną dekorację – słoneczną polanę w starym lesie wygenerowanym z jakiegoś dawno zdechłego południowoamerykańskiego archiwum. System był na tyle cwany, że umiał pogodzić niekompatybilne rzeczywistości, strategicznie umieszczając nas w scenariuszach innych osób tak, by nic się na siebie dziwnie nie nakładało. Siedzieliśmy więc sobie, albo na kapsułach-nibynózkach w stratosferze, albo rozwaleni w trawiastym leśnym poszyciu, wciągając dragi i wznosząc toasty za kolejną udaną budowę. Park i Viktor, wciąż przepełnieni postkoitalną czułością, leżeli ze splecionymi nogami, Park w roztargnieniu wodził palcem po swoim zwoju, Lian siedziała po turecku na własnej kapsule (przynajmniej w naszej dekoracji, u siebie mogła równie dobrze siedzieć na wielkim nenufarze).

Nigdzie nie było Kallie.

– Położyła się wcześniej – wyjaśnił Viktor, kiedy zapytałam.

Wskazałam szklaneczką zwój Parka.

– Nowy kawałek?

– *Mechanizm zegarowy d-moll.*
– Całkiem niezły – dodał Viktor.
– Beznadziejny – burknął Park. – Ale powoli coś z niego będzie.
– Nie jest beznadziejny. – Viktor obejrzał się na Lian. – Lian, ty słyszałaś...

Ona jednak siedziała, gapiąc się na kamienie.

– Li?

– Eee... miałyśmy trudną chwilę – wyjaśniłam. – Zaraz po starcie bramki. – Rzuciłam nagranie potwora.

Park uniósł wzrok.

– Ooo.

– A to co, to są szczęki? – Zaciekawiał się Viktor.

– A może jakiś rodzaj chwytaka – zasugerowałam.

Viktor zważył palce, udając szpony czy szcypce.

– Może tak się ludzie teraz witają. – I po chwili: – Chociaż chyba nic nie powiedział?

– Na żadnej słyszanej przez nas częstotliwości.

– Może to postludzki rytuał godowy – podpowiedział Park.

– Słyszałam głębsze rzeczy. – Wzruszyłam ramionami. – Jeśli chcieli nam dokopać, to chyba przez tyle czasu powinni już opanować jakieś pociski, miotacze czy coś? To sensowniejsze niż gonić za nami i kłapać paszczą.

To było oczywiście na użytek Lian. Ona jednak wciąż nic nie mówiła, a wzrok miała wbity w ziemię. Lub w jakiś koszmar, który tam widziała.

Nagle wszyscy przestali się odzywać. W ogóle. W głowie wyskoczyło mi jakieś mętne wspomnienie, skryształizowało się.

– Wiecie, do czego to było naprawdę podobne? Do tej tarantuli, którą przyniósł na pokład ten gość, jak mu tam...

Tępe spojrzenia.

– Znaczą od przodu. Tam, gdzie ma... te, żuwaczki. A te drobne kulki wyglądają jak oczy.

– Na pokładzie jest tarantula? – Zapytał Park po przerwie wystarczającej na odpytanie archiwum, co to właściwie jest

„tarantula”.

– Nie prawdziwa. Modyfikowana genetycznie. Między wachtami bierze ją ze sobą do trumny. Mówi, że jeśli nikt mu jej nie rozdepcze, powinna przeżyć dobre dwieście aktywnych lat.

Viktor:

– Kto „mówi”?

– Ten człowiek. Pan Tarantula. – Rozejrzałam się po patio. – Nikt nie kojarzy?

– Inny szczep? – podsunął Viktor.

Szymp czasami tak robił, odmrażał na wachtę jednego członka innego szczepu, żeby zabezpieczyć się przez katastrofą, co zabije lub zdziesiątkuje którąś grupę. Bo łatwiej się zintegrować z grupą, którą już znasz, czy coś takiego.

– Na *Eriophorze* nie ma nikogo, kto się nazywa Tarantula – zameldował Szymp.

– On się tak nie nazywa, tak tylko na niego mówią.

– Możecie go opisać?

– Ciemne włosy? Średniego wzrostu? Raczej biały? – Z trudem szukałam szczegółów. – Bardzo sympatyczny?

Viktor przewrócił oczyma.

– Chodził z tarantulą na ramieniu! To chyba w miarę zawęża kryteria?

– Przykro mi – powiedział Szymp. – Nie mam żadnych wyników.

– Przecież musiał ją tu przemycić – zauważył Viktor. – A co najmniej musi mieć podkreścone ustawienia prywatności.

I miał rację. Biosfera *Eri* była bardzo dokładnie regulowana pod kątem równowagi ekologicznej i nieustannej zmienności. Kontrola lotów, klinicznie obsesyjna, bardzo krzywo patrzyłaby na wszystko, co miałyby za choćby nieznacznie inwazyjne.

Lian wstała, zamrugła.

– Li? Idziesz się kłaść?

– Nie, chyba... najpierw trochę się przejdę. Popatrzę dla odmiany na coś prawdziwego.

– Groty i tunele – rzucił Viktor. – Proszę cię bardzo.

– Kto wie. – Udało jej się uśmiechnąć. – Może znajdę Wyspę Wielkanocną.

– Powodzenia.

Zniknęła.

– Kolejna nomadka – powiedział Park.

– „Kolejna”?

– Nie widzisz, że naśladuje ciebie?

Nie widziałam. Choć faktycznie, lubiłam połączyć korytarzami po zakończeniu budowy i pogadać trochę z Szympem, zanim się położę.

– Nie wydało się wam, że coś jest z nią nie tak? – zapytałam.

Viktor przeciągnął się, ziewnął.

– Znaczy co?

Zastanowiłam się, jak bym się czuła, gdyby ktoś całemu szczepowi opowiedział o moim prywatnym kryzysie, i postanowiłam podejść do sprawy dyskretnie.

– Nie wydała się wam trochę taka... przygaszona?

– Może i tak. Po tym twoim żarcie, że potwory do nas strzelają.

– Ale w sumie – dodał Park – to zupełnie normalna reakcja u osoby, do której strzelały potwory.

– Że... co?

– Ona była na pokładzie, kiedy... – Park zrozumiał moją minę. – A. Bo ty nic nie wiesz.

– Czego nie wiem?

– Że ktoś do nas strzelał – wyjaśnił Viktor. – Kilka budow temu.

– Co?!

– I nawet trafił – dodał Park. – Wyrzył wielką dziurę po prawej. Dwadzieścia metrów głębokości. Pół stopnia w lewo i wypadlibyśmy z gry.

– Ja pierdołę – wyszeptałam. – Nic nie wiedziałam.

Park zmarszczył czoło.

– Nie patrzysz w logi misji?

– Gdybym wiedziała, tobym patrzyła. – Pokręciłam głową. – Poza tym, może ktoś mógłby mi powiedzieć, czy coś?

– Właśnie powiedzieliśmy – zauważył Viktor.

– To było pięćset lat temu. – Park wzruszył ramionami. – Sto lat świetlnych za nami.

– Pięćset lat to jest nic – dodał Viktor. – Zawołaj mnie za parę miliardów. To pogadamy.

– No tak, ale... – Nagle stało się dla mnie oczywiste, dlaczego moje pełne otuchy słowa trafiły w próżnię. – Jezus. Może powinniśmy sobie zbudować jakąś broń, jakieś działka czy coś?

Park parsknął śmiechem.

– No jasne. Szypm byłby naprawdę zachwycony.

* * *

My, mieszkańcy *Eriophory*, mieliśmy swoją legendę. Legendę o grocie położonej daleko na rufie, prawie przy silnikach startowych, wypełnionej diamentami. I to nie zwykłymi diamentami, ale nieszlifowanymi o sześciokątnej strukturze, tym szajsem, co się nazywa lonsdejlit. Najtwardszy materiał w całym cholernym Układzie, przynajmniej za czasów naszego odlotu – i do tego możliwi do odczytywania laserem.

Masz kopie zapasowe zapisane na czymś słabszym, to równie dobrze możesz je trzymać na kostkach masła.

Na wycieczce, która trwa miliard lat, nic nie jest nieśmiertelne. Wszechświat wokół ciebie porusza się poklatkowo, ale kopie kopii kopii twoich kopii potrzebują kopii zapasowych. Nawet pożyczone od biologii strategie replikacyjne z wbudowaną korekcją błędów nie powstrzymają mutacji na dłuższą metę. I dla nas, mięsuchów, przeżywających raz na tysiąc lat swoje krótkie chwile, jak jętki jednodniówki, i tak samo dla naszego sprzętu. Było to tak oczywiste, że nigdy nawet o tym nie pomyślałam. A kiedy przyszło mi to do głowy, Szypm był już swoją osiemdziesiątą trzecią reinkarnacją.

Nie wystarczyło, że jego węzły mnożą się jak muchy i rozprzestrzeniają po wszystkich zakamarkach asteroidy. Nie wystarczyło, że same układy były niemal paleolitycznie prymitywne – nawet jeśli twoja AI ma tylko połowę synaps ludzkiego mózgu, w skali nano jest i tak konkretnie skomplikowana. Obwody grube na

kilkanaście cząsteczek z czasem po prostu wyparowują, nawet jeśli entropia i kwantowe tunelowanie nie zerodują ich wcześniej na gąbkę.

Zatem od czasu do czasu trzeba wszystko odnowić.

Tak oto zrodziło się Archiwum – biblioteka owych backupów, kubistycznych, większych od człowieka diamentowych posągów upamiętniających jakiś dziewiczy pierwotny stan. Dawno temu, u zarania czasu, ktoś ochrzcił to Wyspą Wielkanocną – zaintrygowana przepatrzyłam archiwa i dogrzebałam się do hasła o jakiejś gruzłowej skalistej wysepce na totalnym ziemskim zadupiu, znanej głównie z tego, że jej przedtechniczni mieszkańcy zniszczyli swoje środowisko tylko po to, by postawić masę wyglądających jak kupa posągów na pamiątkę dawno zmarłych przodków.

Bo jak inaczej mogliśmy to nazwać?

Zatem kiedy zapas rezerwowych Szypów spadał – albo zapas soczewek grawitacyjnych, klimatyzatorów, czy innych urządzeń mniej trwałych od protonu – *Eri* wysyłała ociężałego korektora na swą własną, tajną Wyspę Wielkanocną, żeby wczytał się w projekt zapisany w mineralu tak grubym i tak trwałym, że mógłby przeżyć całą Drogę Mleczną.

Pamiętajcie jednak, że to miejsce nie zawsze było tajne. Podczas budowy statku zaglądaliśmy do niego wiele razy i jeszcze kilkanaście podczas szkolenia. Pewnego dnia, podczas chyba trzeciego czy czwartego przejścia przez Ramię Strzelca, gdy reszta kładła się na koniec wachty do trumien, Ghora poszedł się powałęsać – powiedział później, że chciał odwlec nieuniknioną hibernację, więc trochę sobie dla rozrywki pozwiedzał. Zszedł do strefy wysokiego ciężenia, przepętlął wąskimi chodnikami do miejsca, gdzie Krzyżyk Oznaczał Skarb, i stwierdził, że Wyspa Wielkanocna jest opróżniona do zera – została tylko ciemna, ziejąca jama w skale, usiana kikutami śrub i haków uciętych parę centymetrów nad powierzchnią.

My spaliśmy pomiędzy gwiazdami, a Szyp tymczasem przeniósł gdzieś całe cholerne archiwum.

I nie chciał powiedzieć, gdzie. Upierał się, że nie może powiedzieć.

Twierdził, że posłuchał zarejestrowanego kiedyś polecenia Kontroli Naziemnej, którego sam nie był świadom, póki jakiś zegar nie odliczył do zera i nie wrzucił mu na stos zadań nowych poleceń. Nie umiał nam nawet powiedzieć, dlaczego.

Ja mu wierzyłam. Zdarzyło się kiedyś, żeby programiści tłumaczyli się swojemu kodowi?

– Oni nam nie dowierzają – powiedział Kai, przewracając oczyma. – Osiem milionów lat już lecimy, a oni się boją... czego właściwie? Że rozwalimy system podtrzymywania życia? Że popiszemy im na modelach „Mamoro Sawada ssie pałę”?

Od czasu do czasu i tak chodziliśmy na poszukiwania, kiedy był czas do zabicia i przychodziła nagła chęćka. Umieszczaliśmy w skale miniaturowe ładunki, odczytywaliśmy echa drgań wzbudzonych w naszym maleńkim światku, wypatrując w nich jakiejś nieodkrytej groty. Szypm nas nie powstrzymywał. Nie musiał, przez wiele teraseków od odkrycia poczynionego przez Ghorę nie dopatrzyliśmy się absolutnie niczego.

Może Lian pomyślała, że tym razem się jej poszczęści. A może po prostu szukała pretekstu, żeby z nami nie siedzieć. Tak czy owak, życzyłam jej, by się udało.

* * *

– Znalazłaś?

Była w trakcie normalnego rytuału pogrzebowego, sprzątała swoją kabinę dla kogoś, kto następny ją zajmie. Mnie to zajmowało może ze dwie minuty – parę bluz, które niewytłumaczalnie na przestrzeni eonów polubiłam, wolno stojąca obrabiarka do rzeźbienia, która była moja i tylko moja (nieważne, że maszynki w pomieszczeniach rekreacyjnych *Eri* miały dziesięć razy taką rozdzielczość i były dwadzieścia razy szybsze), parę książek – prawdziwych antyków, nawet nie reagowały na ruchy gałek ocznych i trzeba było ręcznie przewijać tekst – które dostałam na dyplom od mamy i taty, drogocennych ponad wszelkie pojęcie, choć nie miałam żadnych wątpliwości, że nigdy ich nie przeczytam. Były jakie szkice węglem

przedstawiające Kai i Ishmaela, spadek po fazie na nieudolne rysowanie, którą przechodziłam podczas trzeciego przelotu przez Kil. I to z grubsza wszystko.

Lian to co innego. Lian miała bagażu jak dla połowy szczepu – obrazki na ścianach, szafy z ubraniami, lokalne archiwum wirtualek, które bezpieczniej byłoby powierzyć bibliotece *Eri*. Skoordynowane, wytarte narzuty we wzory z parkietaży Penrose’a, do spania i do kapsuł. Coś, co przypominało – ja pierdzielę – kolekcję kamieni. Nawet własne zabawki erotyczne miała, choć zestaw, który był standardowo w kabinie, dałby jej zajęcie do śmierci ciepłej wszechświata.

Na moje oko, odkąd sobie poszła, nic, tylko upychała to wszystko do magazynu.

Uniosła niewidzące oczy, dopiero po chwili odnalazła mnie wzrokiem.

– Co?

– Wyspę Wielkanocną. Udało się?

– Aaa. Nie. Może następnym razem. – Wrzuciła do walizki ostatnią zwiniętą parę skarpetek, zatrzasnęła wieko ze stanowczym kliknięciem. – Myślałam, że już wszyscy leżycie w kryptach.

– Zaraz idę. Chciałam tylko zajrzeć, zobaczyć, co u ciebie.

– Miałam taką... no wiesz, jak mówiłaś. Trudną chwilę. Ale już wszystko dobrze.

– Na pewno?

Kiwnęła głową, wyprostowała się, skinęła na walizkę, ta stanęła na baczność.

– W pewnym sensie ofiary drapieżnika mają lepiej. Biegna, żeby ratować życie, a nie po obiad. – Słaby półśmiech. – Lepsza motywacja, no nie?

Sprawdziłam oczywiście logi. Potwór wyskoczył z bramki jak jakiś monstrualny zmutowany fag. Potem zafalował, idealnie lustrzany, jak rozdygotana rtęć, wytwarzając i wchłaniając tysiące ostrych jak igły wypustek, jakby patrzył, jaka wielkość będzie odpowiednia – dwudziestocentymetrowy sztylet, żeby przybić ci rękę do ściany, czy

tysiącmetrowy oszczep, który potrafi przedziurawić księżyc.

I dwa takie posłał za nami. Byliśmy już wtedy prawie trzydzieści sekund świetlnych od niego. Powinniśmy być nie do ruszenia. Jeden pocisk poszedł bokiem i został za rufą, ale drugi szedł prosto na nas, zbliżając się powoli, ale jednak. Szypm przemielił liczby i odgiął nasz tunel czasoprzestrzenny minimalnie w lewo, o ułamek ułamka stopnia, choć wystarczająco, żeby charakterystyka naprężeń wyszła poza ściśle przestrzegane granice. Skąła popękała od nich, pokruszyła się. Kiedy jesteś w strefie relatywistycznej, nawet nieznaczna zmiana kursu może sprawić, że się rozpadniesz – *Eri* krwawiła z ran, które sama sobie zadała, jeszcze zanim ten oszczep do nas dotarł. A i to było za mało – otarł się o nas w przelocie, odparował i zostawił na sterburcie pięciokilometrową szramę.

Ja na szczęście leżałam nieumarła przez stulecia po obu stronach tego wypadku.

A Lian Wei była przytomna i patrzyła, jak to się dzieje.

– Wiesz, ten potwór, co do nas strzelał... wiesz, że to tak naprawdę nic nie zmienia?

Spojrzała na mnie.

– Bo?

– Bo nadal mamy przewagę. Nawet Wściekły Glut nie był w stanie nic nam zrobić, póki my nie uruchomiliśmy bramki ze swojej strony. A potem, zanim się zbierze i rzuci na nas, my już jesteśmy dziesięć milionów kilometrów dalej.

Walizka pojechała za nią na korytarz. Posłałam za nimi. Właz za nami zamknął się z cichym syknięciem – opuszczona kabina Lian zaczęła wyłączać się na długi sen.

– Prawda, to coś naprawdę porządnie nas postraszyło, a mogło być uzbrojone w broń laserową albo szybsze pociski. Wszystko jest możliwe. Ale zastanów się: sto tysięcy budów i tylko raz coś nas zaatakowało, a i tak wyszliśmy w zasadzie bez szwanku. Musisz przyznać, że to całkiem dobra statystyka.

– Skąd wiesz, że tylko raz?

– Z logów. Bo skąd.

– I ty w nie wierzysz.

– Li. To są logi.

– A nie da się ich zweryfikować, bo większość budów Szypm obsługuje sam.

– Mówisz, że... czemu miałby majstrować przy tych zapisach?

– Bo jest zaprogramowany na dobro misji, a dobro misji mogłoby ucierpieć, jeśli przez każdą godzinę po wstaniu będziemy się zamartwiać, czy coś nas nie dopadnie i nie pozabija. Może tysiąc razy o mało co nie zginęliśmy we śnie, a on zmienia historię, by ochronić morale.

– Li, on uratował nam życie. Ty chyba powinnaś wiedzieć najlepiej. Nawet jeśli masz rację – nawet jeśli byliśmy na celowniku więcej razy, niż pokazują logi, to tylko znaczy, że uratował nas dużo więcej razy.

Zza krzywizny korytarza wyłonił się rząd skrytek, plaster miodu z ciemnego metalu, wypełniający go od podłogi po strop.

– Czyli ty mu ufasz – powiedziała Lian. – To dopiero jest niespodzianka.

– Oczywiście, że tak.

– Mimo że być może nas okłamuje. – Z cichym stęknieniem podniosła bagaż z podłogi i wsunęła go do pustej skrytki na wysokości talii. Zamknęła ją, zablokowała odciskiem kciuka.

– Sama mówiłaś. Jest zaprogramowany na dobro misji. – Zza drzwi skrytki dobiegł cichutki syk wysysanego powietrza. – Zginąłby dla nas, gdyby było trzeba.

– Prawdopodobnie. – Zawróciła do korytarza.

– Przecież nadal żyjemy. – Znów poszłam za nią. – Musi mu się to udawać.

Szłyśmy przez chwilę w milczeniu, mijając rozchłapane na grodzi dziwaczne graffiti.

– Widzę, że ci Malarze znowu działają – powiedziała Lian.

Kiwnęłam głową.

– I dalej nie wiadomo, kto to, kurwa, jest.

Szypm nie mówił nic, poza tym, że to któryś szczep ozdabia ściany

popierdzielonymi hieroglifami. Może powiedzieli mu, żeby nie zdradzał ich tożsamości. Naszemu szczepowi, podczas tych wymian kulturalnych Szypma, nigdy nie trafił się żaden Malarz – albo się nie przyznał – co zawsze wydawało mi się trochę podejrzane.

– Chyba za dużo o tym wszystkim myślę – dodała, a mnie zajęło chwilę przypomnienie sobie: Szymp. Potwory. Ofiara drapieźnika.

Zauważyłam ustępstwo i sama się trochę cofnęłam.

– Muszę powiedzieć, że nic dziwnego. Ja bym się chyba zesrała, gdyby to się działo na mojej wachcie.

– Sunday...

– Tak?

– Po prostu... dziękuję.

– Za co?

– Za to, że do mnie zajrzałaś. Nikomu innemu nawet by to nie przyszło do głowy.

– Diasporanie. Spory. – Wzruszyłam ramionami. – Zaprogramowani do samotności.

– No właśnie. – Położyła mi dłoń na ramieniu. – Właśnie o to mi chodzi.

Załamanie

Po czym poznać, że na *Eriophorze* coś się poważnie posypało? Po tym, że się budzisz i nie wiesz po co.

– Co się...

Sucho w ustach, powieki jak papier ścierny, całe ciało drga od maleńkich konwulsji układu nerwowego, który budzi się gwałtownie po tym, jak zardzewiały mu wszystkie synapsy.

– Mój interfejs...

– Sunday, przepraszam. Budzę cię awaryjnie, nie miałem czasu cię przygotować.

– Jak... szybko...?

– Trochę ponad dwie godziny.

Komórki mogą popękać, jeśli się to robi tak szybko. Mózg może dostać odmrożeń.

Otworzyłam usta, zamknęłam je ponownie. W głębi gardła czaił się atak kaszlu, grożąc, że rozsadzi mi pierś, jeśli go wypuszczę.

– Spokojnie – powiedział Szyp. – Nic ci nie grozi.

Nie otwierałam oczu, przełknęłam ślinę. Gardło jak wysypane tłuczonym szkłem. Coś dotknęło mojego policzka. Złapałam ustami sutek, odruchowo pociągnęłam, rozkoszując się słodko-słonym ciepłem.

– Mam problem z członkiem załogi. Potrzebuję pomocy.

Pauza, jakieś pyknięcie szumu za moimi oczyma. W głowie wykwitają mi nieliczne ikonki.

– Jesteś online – potwierdził Szyp.

Byłam wyłączona tylko przez trzydzieści gigasek. Nawet nie tysiąc lat. Jeśli to miała być jakaś budowa, to na wachcie musi być ktoś inny...

A tak, mam: OZMONT GURNIER, BURKHART SCHIDKOWSKI, ANDALIB LAPORTA. Nie nasz szczep. Ci zwali się „Dzieci *Eri*”.

Czyciele skał.

LIAN WEI.

Wygląda na to, że Szypm znowu bawi się w krzyżówki.

Ale sądząc z logów, budowa poszła gładko. Czerwony karzeł, jakich istnieje cała masa, do tego kupa komet i asteroid (dlatego właśnie Szypm pobudził załogę – rozkład mas przekroczył jakieś zaprogramowane progi złożoności). Standardowa przelotowa pętla, wystartowała bez problemu; nic się z bramki za nami nie rzuciło, w dobrych czy złych zamiarach. Wachta już się kończyła. Wszyscy się popakowali i szli się kłaść.

Więc po co...

Otworzyłam oczy, spojrzałam z trumny w zamazaną ciemność, pełną jaskrawych, nakładających się aureoli.

– Lian Wei jest agresywna – powiedział Szypm. – Mam nadzieję, że ty ją uspokoisz.

Moje gardło pochłonęło elektrolity jak gąbka. Eksperymentalnie odchrząknęłam. Dużo lepiej.

– Jak agresywna?

– Kłóci się z innymi Diasporanami. Robi się coraz bardziej groźna.

– A o... – Resztkę kaszlu. – A o co?

– Zdaje się, że o mnie.

Aureole wyostrzyły się w kolisty gwiazdociąg sufitowych lamp. Ze środka gapiło się na mnie jedno z oczu Szypma, maleńki czarny rdzeń okolony jasnym pierścieniem.

Uniosłam jedną dłoń do twarzy. Staw łokciowy zachowywał się jak własny schemat poglądowy – tu jest panewka, tu małe chrząstkowe łożysko, a tu są wektory, przez które cała maszyna robi brzdęk i rozleci się na sprężynki i zawiasy, jeśli jeszcze trochę ją zegniesz w tym kierunku...

Nigdy dotąd nie doświadczyłam sztywności współmiejscowej. Dostaje się tego tylko, jeśli za szybko cię obudzą. Zamigota jakaś ikonka, okienko z czymś pierwszoosobowym widokiem. „Schidkowski”, mówił podpis. Wpatrywał się w kanał serwisowy pełen światłowodów i rur. Parę metrów w głębi kucała jakaś inna postać.

Coś jej błysnęło w ręku. Dostrzegłam rozmazany ruch ku światłu, jakby zwolniła się napięta sprężyna...

To była Lian. Dźgnęła Burkharda Schidkowskiego tym czymś w twarz.

Okienko się zamknęło.

* * *

Na filmie wygląda gorzej, powtarzał Szyp, kiedy, mamrocząc „ja pierdołę”, wygrzebałam się z sarkofagu, pośliznęłam i przytrzymałam się go, by nie upaść. Lian była uzbrojona tylko w palnik do spawania światłowodów. Majstrowała coś przy głównych liniach, kiedy ją znaleźli, paskudnie oparzyła Schidkowskiemu bok twarzy i sfajczyła mu wyłącznik interfejsu, ale nic więcej. On się cofnął, ona poszła z powrotem w głąb tunelu i nikt nie ruszał się z miejsca, póki nie pojawił się Mediator.

W ciemnej oddali coś cichutko zabuczało. Odwróciłam się, zmrużyłam oczy. Trzydzieści metrów dalej kolejna trumna wystawała z grodzi pełnej trumien, a teleop czyścił ją ssącym węzłem. Pewnie nikt znajomy. Szyp trzymał członków każdego szczepu w dużych odległościach albo wręcz w innych kryptach, żeby w razie dehermetyzacji, czy awarii jakiegoś układu, kiedy ludzie giną we śnie i gniją w ciemności, budząca się obok inna Diaspora trochę mniej się przejmowała.

Ale i tak musiałam zapytać.

– Znam tego kogoś? – Pomiędzy atakami kaszlu.

– Nie. Sunday, skup się, proszę.

Wycie się wzmogło. Z mroku wyłonił się karaluch, przejechał obok nowego pustostanu, podjechał do mnie. Opadłam do niego. Szyp podwiózł mnie do najbliższej rury.

– Dlaczego ja?

– Ona ci ufa?

– Co...? Jezus, Szyp, mógłbyś może trochę zwalniać na zakrętach?

– Karalucha mogłam prowadzić sama, nawet na kacu, ale nie z szybkością, jaką Szyp uznał za konieczną w obecnej sytuacji. –

Gdybym przez ostatnie tysiąc lat jadła jakiś obiad, tobym go zwróciła.

– Sytuacja może być wrażliwa czasowo – powiedział przeprasającym tonem Szyp.

Pokonaliśmy ostatni zakręt i wpadliśmy w ziejącą paszczę, jedną z wielu w tej rurze. Karaluch się zablokował, wystartowała kapsuła – dziesięć razy szybsza, ale jakimś cudem łagodniejsza dla żołądka. Płynniejsze zakręty. Pozwoliłam, by żołądek się uspokoił, lecąc na poduszce magnetycznej do zbliżającej się katastrofy. Zanim rura mnie wypluła, prawie byłam w stanie iść prosto.

Z karalucha też zrezygnowałam, zdecydowałam, że lepsze wejście będę miała o własnym napędzie – więc ostatnie kilkanaście metrów pokonałam pieszo. Korytarz skręcił delikatnie na lewą burtę. Słyszałam ich, zanim się pokazali – ściszone, podenerwowane głosy, męski i damski. Pauzy.

Z lewej strony wchodzi: SUNDAY AHZMUNDIN.

GURNIER, mówił podpis nad czarnym mężczyzną z rudymi włosami, stojącym obok otwartej klapy w ścianie (sama kłapa, odczepiona, stała oparta obok). LAPORTA, głosił drugi, unoszący się nad beżową kobietą z czarnymi włosami, rozwaloną bokiem na swoim karaluchu.

Formalnościom stało się zadość.

– A gdzie Burkhart?

Laporta machnęła ręką mniej więcej w kierunku prawej burty.

– Poszedł sobie twarz naprawić.

Gurnier:

– To ty znasz tę kretynkę?

– Ten sam szczep – powiedziałam ostrożnie.

– Ale się przyjaźnicie, prawda?

Wzięłam głęboki wdech.

– No może. A co zrobiła?

– Poza tym, że przypaliła Burkowi głowę palnikiem? – Laporta wstała z karalucha i zajrzała do kanału serwisowego. Z mojego miejsca nie widziałam w środku nic poza rurami i wykładziną. – Tak naprawdę to nie wiemy. Mieliśmy właśnie się kłaść, ale Burk

przypomniawszy sobie, że zostawił totem na mostku. Wrócił po niego i zastał ją.

Totem. A. No tak. Czyciele skał.

– Coś mówiła?

– Powiedziała bardzo wyraźnie, że mamy wypierdalać.

– Na diagnostyce coś się pokazało?

– Nic.

– Tam nie ma żadnych oczu – powiedział Gurnier.

Oczywiście, że nie, w tych duktach leciał prawie wyłącznie układ nerwowy Szypa. Gdyby coś się tam stało, po prostu by to poczuł.

– Pierdolnięta baba – rzuciła Laporta. – Cały czas gadała, jak to użyteczność misji dawno się skończyła i że cały program spor... jak to ona powiedziała, Oz?

– Głowa ludzkości w galaktycznej dupie – przypomniał Gurnier.

– O, właśnie. – Laporta pokręciła głową. – No kto ją w ogóle wpuścił na pokład z takimi poglądami?

– Na pokład weszliśmy bardzo dawno temu.

– A ja się zmieniałam? Albo ty? – Milczenie uznała za zgodę. – Jesteśmy sporami. My się nie zmieniamy.

Rozłożyłam ręce, przyznając punkt.

– Może ja lepiej z nią pogadam.

– Proszę bardzo, jest cała dla ciebie – powiedział Gurnier. – My się kładziemy.

– Zanim znowu wyskoczy jakieś gówno – dodała Laporta.

– A możesz mi dać bluzę? – Zadygotałam. Szyp nie dał mi czasu na ubranie się.

Rozpięła ją i podała.

– Coś jeszcze?

– W sumie to tak.

Czekali.

– Spotkaliście może tu kiedyś gościa z tarantulą?

* * *

– Lian.

- Sunday? Co ty tu robisz?
- Szypm mnie rozmroził. Co się dzieje?
- Chodź tu. Się dowiesz.

Wyłączyła swój strumień. Żeby zobaczyć, co się tam dzieje, musiałam pójść i zobaczyć. Nachyliłam się do wjazdu.

- Wyłącz nakładkę. – Poleciała. – Zapraszam ciebie. Nikogo więcej.

Westchnęłam, wyłączyłam, weszłam do środka, patrząc gołym okiem. Mało miejsca. Popęzłam na czworakach w szarym, tłustym półmroku. Dukt – szeroki, płaski, służący także za podłogę – był z gumowatego elastomeru. Wszędzie poza tym pełno było rur i światłowodów, wieszaków, wsporników i buczonej, łaskoczącej elektrostatyki.

Lian skuliła się jak zwierzę w norze, cztery metry w głąb. Twarz miała zadziwiająco umęczoną jak na kogoś, kto właśnie przespał parę wieków.

Otworzyła główny dukt.

- Przepraszam cię za to. Że wyciągnęłam cię z trumny i w ogóle.
- Ty to zaplanowałaś?

Pokręciła głową.

– Nie planowałam dać się złapać. Ale... w sumie cieszę się, że jesteś. Jeśli już ktokolwiek.

Wspawała boczniak do około trzydziestocentymetrowego odcinka światłowodu, który wyglądał na sensoryczny, choć bez interfejsu nie wiedziałam tego na pewno. Ale wciąż był to niedziałający boczniak – główna linia była nienaruszona. Może po prostu nie zdążyła jej przeciąć, bo nakrył ją Burkhart.

Uniosłam wzrok.

- Co takiego? – zaczęłam.

Jej palec wylądował delikatnie na moich ustach. Pst.

– Jeśli sama nie dojdiesz, to ja ci nie powiem. To, że tobie wierzę, nie znaczy, że...

- Wyłączyłam swój BUD. Jak mówiłaś.

– Myślisz, że on nie ma czujników audio w korytarzu? Że nie słyszy nas nawet w...

– To co ja tu w ogóle robię? Jeśli ty nawet nie zamierzasz...

– Ja nie wiem, rozumiesz? Spanikowałam. A poza tym... naprawdę potrzebna mi teraz jakaś bratnia dusza.

Westchnęłam.

– No dobrze. Idźmy w jakieś ciemne miejsce, gdzieś, gdzie nas nie usłyszy, jeśli to takie ważne. Ale wtedy, do cholery, powiedz mi otwarcie, o co chodzi. Dobra?

Zastanowiła się. Kiwnęła głową. Pokazałam ręką linię światłowodową.

– A to sklej. – I wycofałam się na czworakach do włazu. – Znam w sam raz miejsce.

* * *

Eriophora jest pełna martwych punktów – cienie w chodnikach, w narożnikach, w miejscach za co większymi maszynami, gdzie nikt nie miał powodu umieszczać kamer. Są nawet miejsca – koło linii energetycznych, gdzie potężne prądy zagłuszają miliamperowe sygnały łączące mózgi sztuczne i naturalne – w których Szymp nie ma dostępu do naszych łączy korowych.

Ale my nie szłyśmy w żadne z takich miejsc. Szłyśmy jeszcze głębiej, pędząc na złamanie karku przez próżniowe tunele z nadprzewodzącymi żebrami, a ja byłam na wpół ślepa i nie podobało mi się to.

Są takie chwile, kiedy odpinasz łącze – w hibernacji, we śnie, czasem w swojej kabinie, podczas seksu, grania w gry czy wirtualnych wycieczek. Chwile, kiedy nie chcesz, żeby przeszkadzały ci autonomiczne tiki i taki wielkiego kamiennego monstrum, w którym mieszkamy.

Ale nie na wachcie. Nie na otwartej przestrzeni. Gołe oko nie widzi nic, tylko pozbawione podpisów obrazy. Czułam się upośledzona, jakbym miała zaraz źle skręcić i zgubić się na zawsze, jakbym miała pozapominać imiona ludzi, których znam całe życie. Jakbym miała spojrzeć na jakiś pospolity przedmiot i nie poznać, co to takiego.

Zresztą ta dobrowolna ślepotą żadnej prywatności też nam nie

kupowała – Szypm miał mikrofony w tej kapsule i w każdej innej. Drobny buntowniczy gest Lian pozbawiał go tylko dwóch nakładających się na siebie widoków w pierwszej osobie.

Wyraźnie kryła się w tym jakaś zasada.

Teraz hamowałyśmy, nasze ciała przechyliły się niewidocznie naprzód, gdy zatrzymywałyśmy się na stacji końcowej głęboko w ciężkiej strefie. Lian klepnęła się w skroń i jej powieki zatrzepotały tymi ruchami sakadowymi, mówiącymi „jestem w sieci”. Puściłam swoje łącze, starając się nie czerpać zbyt wielkiej ulgi ze znajomych grządek pełnych obudzonych ikonk. Długo tu nie będą.

O to właśnie chodziło.

Tam na dole przybierasz na wadze o jakieś trzydzieści procent. Nie jest to nie do zniesienia – poważniejszy pływowy szajs odbywa się dużo dalej, koło rdzenia, gdzie w niecałe dwa kilometry z trzynastu g robi się trzysta – ale przyjemne to nie jest. Nasz cel był raptem oddalony o pięćdziesiąt metrów w głąb korytarza, ale miało się wrażenie, że jest co najmniej dwa razy dalej. A może to było coś innego, może to jakaś nasza bezwładność nas spowalniała. A może, skoro jazda się skończyła i nie było już wymówek, po prostu nie chciało się nam przerywać milczenia.

Pokład opadał tu w dół niczym stalowa plaża – nasz cel stanowiły szerokie piwniczne drzwi na linii wody. Nazwa tego miejsca była namalowana od szablonu wprost na metalu. Wisiała także w powietrzu wirtualny metr ode mnie, dzięki włączonemu BUD-owi.

WEJŚCIE DO LASU – 17T.

Gdy podeszłyśmy, drzwi wsunęły się gładko w gródź. Łożyska nie jęknęły, nie zaskrzyptały, nie zazgrzytały o szyny. Jakby wczoraj je tu wstawiono, jakby nie czekały dziesięć tysięcy nieruchomych lat, aż będą miały okazję się ruszyć. Rozwarły się jak paszcza, a w środku było ciemno.

Lian odwróciła się, przerywając kruchą ciszę:

– Idź pierwsza.

Weszłyśmy.

* * *

Zapomnij wszystko, co ci być może mówiono o lasach *Eri*.

Geny podregulowane na maksymalne rozwidlanie linii. Ciemne, pękate owoce, świetliste od bioluminescencyjnych bakterii, ich TNA² skrępowane wiązaniami siarkowymi i dodatkowymi pętlami, aby powstrzymać mutacje. Wielkie wklęsłe liście, czarne jak śmierć ciepła, zakrzywiające się wokół tych bakteryjnych lampek nocnych jak dłonie złożone wokół płomyka świecy. Tu i ówdzie rozsiane słabiutki niebieskie słoneczka, czasem metrowej średnicy, czasem dziesięciometrowej lub większej, pulsujące własną bioluminescencją. Ślepe i głuche boty-ogrodniki o mózgach karalucha, poruszające się po gałęziach na węż, nawet niepodłączone do sieci, po prostu fabrykowane masowo i wpuszczane do środka, żeby odzyskiwać węgiel i zeskrobywać substancje odżywcze z martwej skały. Rury, które zbierają nasze liofilizowane odchody i dostarczają je głodnym korzeniom. Wszystkie te sztuczki, które pozwalają upchnąć w kilkudziesięciu grotach całe ekosystemy, spowolnione tak, by trwały na wieki – biosfera w butelce, która przy regularnej szybkości metabolizmu wyżywiłaby może garstkę ludzi, ale jest w stanie utrzymać trzydzieści tysięcy, pod warunkiem, że robimy jeden oddech na mniej więcej dziesięć lat.

O tym wszystkim zapomnij.

Wystarczy jedno spojrzenie i zobaczysz, jak to naprawdę zrobili. Zbudowali lasy z naczyń krwionośnych zamordowanych olbrzymów – wypłukali z nich krew i zastąpili ją smołą. Wpompowali tę lśniąca czarną maź przez serce, aortę, w rozwidlające się tętnice, żyły i nieskończoną rekurencyjną siatkę naczyń włosowatych łączących jedno z drugimi. Kiedy stwardniała, opalili tkanki wokół laserami i acetylenem. To, co zostało, wzięli – *obsidian plexii*, gałęzie, konary – pocięli na kawałki i poinstalowali, gdzie im było wygodnie – raz ogromne mgliste kawerny, gdzie nie

² TNA – syntetyczny odpowiednik DNA oparty na treozie zamiast na rybozie (przypr. tłum.).

sięga się wzrokiem na drugi koniec, raz skromne małe grotki po niecałe siedemdziesiąt metrów długości.

A potem obwiesili wszystko niebieskimi lampkami choinkowymi.

Nazywamy je lasem, jednym lasem, bo formalnie on ma ciągłość – poszczególne komory łączą się ze sobą tunelami i kanałami wrytymi w skałę, w imię integracji ekosystemów i połączenia wszystkiego ze wszystkim. Bo rozumiecie, to musi być bardzo stabilne. Misja o tak epickiej skali nie może sobie pozwolić na trzymanie wszystkich podtrzymujących życie jajek w jednym koszyku, ale nie może sobie też pozwolić, by poszczególne ekosystemy szły na manowce w samolubnym poszukiwaniu własnych punktów równowagi. Wszystko jest więc połączone. Przepływ jest wystarczający, żeby wszędzie było z grubsza podobnie, nawet jeśli we wszystkich tych tunelach są przegrody, by móc szybko odizolować jedną polanę od drugiej, gdyby jakiś kataklizm miał nas rozbić na części.

Wiem o tym lepiej niż inni. Jedną z moich specjalności to Systemy Podtrzymywania Życia.

Zawsze miałam las *Eriophory* za... chyba coś w rodzaju azylu. Tam zawsze chodziliśmy z Kaiem, żeby wyrzyczyć sobie różnice zdań. Jest tam dobry klimat do seksu. Ciemność ma w sobie ciepło, bakterie w swoich bańkach świecą przyjemnie i łagodnie. Powietrze pachnie życiem, a nie skałą i metalem.

17T był mroczniejszy i bardziej chaotyczny od innych. Nazywaliśmy go Pochyłą Polaną. (W każdym razie większość z nas, bo Kai wolał nazwę „Dolina Rzygulina”, ale jego ucho wewnętrzne było z tych wrażliwszych, zresztą nawet jemu nie robiło się niedobrze, póki nie zapuścił się w bliższe dziobu partie, gdzie grawitacja rozmazywała się pod stopami). Właz zamknął się za nami, zatapiając nas na chwilę w ciemności, która zaraz rozjaśniła się w słaby półmrok, gdy oczy przyzwyczyły się do świecących ze wszystkich stron gwiazdozbiorów analucyferyny. Stanęliśmy na kładce i z przyjemnością robiliśmy głębokie wdechy, pół metra nad skałą pokrytą cienkimi płatami gleby.

Poszliśmy nią dalej. BUD mi zamigotał.

Kładka się rozwidliła. Pociągnęłam Lian na prawo.

– Tam.

Po paru metrach eksperymentalnie zamknęłam oczy, poczułam nieznaczną niepewność, gdzie właściwie jest „dół”.

Lśniące czarne siatki z galaretowatymi gałkami ocznymi świecącymi na ich przecięciach. Grube, włókniste konary, zakrzywiające się pod sklepieniem niczym wielka, zwęglona klatka piersiowa. Nachylały się odrobinę, jakby zgięte od wiatru.

BUD znów zamrugał, przygasł, ożył z powrotem. Parłyśmy w kierunku tego wyimaginowanego wiatru. Im dalej, tym bardziej nachylały się drzewa, ich podstawy stawały się coraz grubsze i coraz szerzej płożyły się po ziemi, podpierając pnie dla obrony przed siłami ciągnącymi równocześnie w różnych kierunkach. Polana rozciąga się nad Przewodem Higgsa, idącym od rdzenia, w którym mieści się nasza osobliwość, do wylotu, gdzie pojawia się bramka czasoprzestrzenna. Pomiędzy jednym a drugim wektory się trochę pierdziela. „Dół” to przeważnie kierunek rdzenia, ale tu pokazuje trochę w stronę dziobu. Jak bardzo – to zależy od tego, jak szybko w danej chwili *Eri* spada w głąb kosmosu. Powyginane drzewa i nadwrażliwy błędnik Kaia to cena, którą płacimy za bezodrzutowy napęd.

BUD wreszcie padł i tak został, ofiara tłumiących sygnał skał, bioelektrycznego szumu i układów zasilania napędu, od których nie można było oczekiwać, że przeniosą tak potężne energie, nie emitując części z nich na boki. Zaś nieruchome powietrze było naszym własnym alarmem. Jak długo byliśmy ślepe, tak długo byliśmy same.

– Li, to co ty, do cholery, wtedy robiłaś?

Nie odpowiedziała od razu. Nie odpowiedziała wcale.

Powiedziała natomiast:

– Czytasz trochę książki, nie?

– Pewnie. Czasami.

– Podłączasz się. Zwiedzasz. Oglądasz wirtualki.

– Ale do czego ty zmierzasz?

– Widziałaś, jak kiedyś żyli ludzie. Dzieci z kotami, albo włamywali się do swoich programów uczących, albo latali na paralotniach na urodziny.

– No więc?

– No więc, Sunday, ty to nie tylko oglądasz. Ty się tym żywisz. Opierasz na tym swoje życie. Nasz sposób mówienia, nasze wyrażenia, kurwa mać, nawet nasze przekleństwa, wszystko to jest ukradzione kulturze, która nie istnieje od petasekund. – Zrobiła głęboki wdech. – Jesteśmy w tej podróży tyle czasu...

Przewróciłam oczyma.

– Dobra, dosyć już tej zmęczonej światem, wiekowej, nieśmiertelnej Lian. Fakt, że jesteśmy w podróży od sześćdziesięciu milionów lat...

– Sześćdziesięciu pięciu.

– ...nie zmienia tego, że w tym czasie żyłaś może z dziesięć, góra dwadzieścia.

– A ja twierdzę, że żyjemy życiem martwych osób. To nie jest nasze życie, to ich życie. My nigdy nie chodziliśmy na wycieczki po górach, nie nurkowaliśmy, nie...

– Oczywiście, że tak. Kiedy tylko chcemy. Właśnie to powiedziałaś.

– Oszukali nas: budzimy się tutaj, budujemy im te pierdolone bramki i powielamy ich życie, bo nie dali nam żadnego własnego.

Trzeba było jej pożałować. A tymczasem ja stwierdziłam z zaskoczeniem, że robię się na nią zła.

– Ty w ogóle pamiętasz, w jakim stanie była Ziemia, kiedy wylatywaliśmy? Ja bym nie zamieniła tego życia za setki lat na tej brudnej i syfiastej planecie, nawet gdyby sam Pan Bóg wylazł z bramki i podsunął mi pod nos bilet. Mi się to życie podoba.

– Podoba ci się, bo tak zostałaś stworzona. Bo w życiu nie namówiliby żadnej normalnej osoby na wycieczkę w jednym kierunku, na martwej skale, w kierunku końca czasu, więc wyhodowali taki specjalny model, mały i pokręcony, jak... jak te rośliny, które kiedyś hodowali. W Japonii czy gdzieś. Tak skrępowane, że nawet sobie nie wyobrażały, jak to jest żyć poza

klatką.

Bonsai, przypomniałam sobie. Ale nie chciałam jej bardziej nakręcać.

– Tobie też się tu podobało – powiedziałam zamiast tego. Póki się nie załamiesz, dodałam w myślach.

– No tak. – Kiwnęła głową i nawet w półmroku wyczułam smutny uśmiech. – Ale potem wyzdrowiałam.

– Lian. Co robiłeś w tym tunelu?

Westchnęła.

– Wpinałam bocznik do jednej z linii sensorycznych Szympa.

– To widziałam. Ale po co?

– Nic krytycznego. Chciałam mu tylko... wpuścić do tego kanału trochę szumu.

– Szumu.

– Zakłóceń. Żeby pogorszyć jakość sygnału.

Rozłożyłam dłonie.

– Żeby?

– Chciałam przejąć odrobinę kontroli, rozumiesz? Dla nas wszystkich!

– A co ma psucie sygnałów Szympa do...

Aaaaaaaaaa.

– Podnosiłaś mu poziom niepewności – mruknęłam.

– Tak.

Ponieważ był tylko jeden powód, dla którego *Eri* w ogóle miała mięsuchów na pokładzie – to na takie okazje, kiedy Szymp nie czuł się na siłach samodzielnie zarządzać budową, kiedy potrzebował porcji autentycznych organicznych ludzkich przemyśleń, by przedostać się przez mielizny nieznanymi zmiennymi i stanami zatrzymania. A im mniej pewne miał dane, tym słabszą miał pewność, że poradzi sobie sam. Lian próbowała skrzywić algorytmy, by preferowały ludzkie zdanie.

W teorii to był całkiem sprytny hack. W praktyce...

– Li. Nawet jeśli wymyśliłaś jakiś sposób, żeby Szymp nie znalazł twojego... piasku w trybach i go sobie nie usunął, kiedy wszyscy

leżymy w trumnach, to masz jakieś pojęcie, ile jeszcze tych kabli musiałybyś zepsuć, żeby w ogóle jego nadmiarowe układy zauważyły różnicę?

– Gdzieś od dwóch do dwudziestu siedmiu tysięcy. – Po chwili dodała: – Ale wiesz... nie trzeba mu tych połączeń odcinać, wystarczy je trochę zaszumować. Poszerzyć przedziały ufności.

– Aha. A ile jak dotąd tych nerwów zmanipulowałaś?

– Pięć.

Wydawało mi się chyba, że jeśli wypowie to na głos, to dotrze do niej, jak absurdalny jest ten pomysł. Nic w jej tonie nie wskazywało, by tak się stało.

– Do czego ci to w ogóle potrzebne? Przecież Szyp wcale nie spierdolił żadnej budowy, kiedy nikt z nas nie miał go na oku.

– Sun, nie chodzi o budowy. Chodzi o nasze człowieczeństwo. O wydarcie dla siebie odrobiny autonomii.

– I co ty zrobisz z tą autonomią, jak ją sobie wydrzesz? Przystaniesz budować bramki?

– Przynajmniej wtedy nie będziemy musieli się przejmować potworami, które do nas strzelają.

– I co, poszukamy sobie w galaktyce małej ładnej planetki typu ziemskiego? Wydrukujemy parę wahadłowców, osiadziemy tam, przeżyjemy resztę życia w chatkach krytych strzechą? A może zawrócimy do ostatniej budowy i będziemy czekać, aż przyplynie magiczny srebrny statek i przywiezie nam bilety pierwszej klasy do dowolnie wybranego raju emerytalnego?

To naprawdę było w opisie misji, w czasach sprzed otwarcia pierwszych kilku bramek, które nie wypłuły niczego poza automatycznym i starożytnym kodem. Sprzed kilku następnych, które stały beczynnymi i nic z nich nie wychodziło. Nim zaczęły się potwory. Ale chyba minęło ze trzydzieści milionów lat, odkąd ostatni raz słyszałam, by ktoś wspominał o emeryturze inaczej niż w ramach gównianego żartu.

I tym razem też nikogo nie rozśmieszył.

– Pierwszy krok to zyskać wolność – powiedziała Lian. – Potem

będziemy mieć masę czasu, żeby się zastanowić, co właściwie z nią zrobić.

– I jeśli uda ci się zmusić Szympa, żeby budził nas odpowiednio często, to on po prostu przewróci się na brzusek i się podda. Jezus Maria, Li. Co to w ogóle za pomysł?

Coś w jej postawie się zmieniło.

– Ja chyba po prostu uważam, że życie to powinno być trochę więcej niż wegetacja troglodyty przez kilka dni co parę tysięcy lat, wiedząc, że nigdy nie zobaczę prawdziwego lasu, który nie wygląda, jak... – rozejrzała się – ...jak jakiś koszmar, co się komuś wysrał z braku terapii.

– Naprawdę nie rozumiem. Kiedy tylko chcesz mieć... zielony las, po prostu się podłączasz. Albo chcesz spacerować po pustyni, nurkować na Enceladusie, albo polecieć w Słońce, to się podłączasz i już to masz. Możesz też przeżyć rzeczy, których nikt nigdy na Ziemi nie robił. Kiedy zechcesz.

– Ale to nie jest prawdziwe.

– Nie ma żadnej różnicy.

– Ja wiem, że jest. – Spojrzała na mnie, twarz miała pełną szarogranatowych cieni. – I ja ciebie też nie rozumiem, wiesz? Myślałam, że jesteśmy takie same, że idę twoim śladem...

Cisza.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytałam w końcu.

– Bo ty też walczyłaś, prawda? Jeszcze przed naszym wylotem. Zawsze stawiałaś się każdemu i kwestionowałaś wszystko, co dotyczyło misji. Miałaś, nie wiem, pewnie z sześć lat i powiedziałaś Mamoro Sawadzie, że gada głupoty. Nikt nie mógł w to uwierzyć. Wszyscy, wszyscy byliśmy zaprogramowani dla misji od urodzenia, nawet wcześniej, wszystko już powgrywane i zakodowane na twardo, a ty jakimś sposobem zdołałaś to odrzucić. Sprzeciwić się temu. Z tego, co słyszę, to parę razy o mało co cię nie wywalili.

– A skąd ty to wiesz? – Byłam naprawdę pewna, że Lian Wei i ja nie szkoliłyśmy się bliżej niż dziesięć tysięcy kilometrów od siebie.

– Kai mi powiedział.

Mogłam się domyślić.

– Kai w ogóle za dużo gada.

– Sunday, co się z tobą stało? Jak to możliwe, że z awanturnicy przeszłaś w pachotka Szympa?

– Pierdol się, Lian. W ogóle mnie nie znasz.

– Znam cię lepiej, niż myślisz.

– Gówno prawda. Najlepszy dowód: przez jeden korsek myślałaś, że mogę być choć trochę podobna do ciebie.

Pokręciła głową.

– Czasem naprawdę jesteś wredną cholera.

– Ja jestem wredną cholera? To może niech podniesie rękę każdy... – tu podniosłam rękę – ...kto dziś nie przypalił komuś twarzy?

Odwróciła wzrok.

– O? Tylko ja?

– No właśnie – szepnęła.

Nie odpowiedziałam. Siedziałam w półmroku, przeżykałam ślinę, starając się nie zwracać uwagi na mdlący niepokój, który serwowało mi ucho wewnętrzne, próbujące sobie radzić z wektorami grawitacyjnymi, do których nie wyewoluowało.

Lian przerwała ciszę.

– Nie jesteś ze mną. Dobrze. Może z zewnątrz to faktycznie wygląda, jakby mi odpierdoliło. Ale przynajmniej nie bądź przeciwko mnie. Jeśli nasza... przyjaźń ma cokolwiek znaczyć, to nie donoś na mnie do Szympa.

– A jeśli Szymp zapyta, co robiłaś, kiedy majstrowałaś przy jego układzie nerwowym?

– Powiedz mu, że... po prostu mi odwaliło. Tak jak przy ostatniej budowie, pamiętasz? Byłam na mostku i miałam, jak to nazwałaś, trudną chwilę. Ale to minęło. Powiedz mu, że miałam atak paniki. On to kupi.

– Myślisz?

– Jak ty mu powiesz, to kupi. Ty go nigdy nie okłamałaś.

– A po co w ogóle go okłamywać?

– Ty go też... bronisz. Tak jak teraz. Poza tym ściągą cię na pokład o

wiele częściej niż resztę.

– Że co?

– Sprawdź sobie w logach.

– Po co? Po co miałyby to robić?

– Zapytaj go. Pewnie widzi w tobie jakby swoją maskotkę czy kochane zwierzątko.

– Przecież to tylko taki lepszy autopilot. – Choć oczywiście nie zawsze tak było.

– Sama w to chyba nie wierzysz. Gadasz z tym czymś najwięcej ze wszystkich, musisz wiedzieć, że on jest... czasami bystrzejszy, niż specyfikacja przewiduje.

– Bo co, bo kieruje statkiem? Bo gada tak jak my? Liczności synaps to nie zmienia.

– Sun, liczność synaps to nie wszystko. Na Ziemi dawno temu zdarzali się ludzie, którzy mieli tylko dziesięć procent normalnej masy mózgowej, a zachowywali się zupełnie normalnie według wszystkich metryk poznawczych i społecznych. Po prostu inaczej byli zaprogramowani. Utrzymywanie sieci społecznościowych w małych światach. – Ściszyła głos. – On chyba chce, żebyśmy go nie doceniali.

– Li. Gdyby oni chcieli, żeby misją dowodziła inteligentna AI, mogliby ściąć koszty o dziewięćdziesiąt procent i w ogóle nas sobie darować. – Nie wierzyłam, że muszę to tłumaczyć komuś, kto jest inżynierem. – Chcieli zachować stabilność misji przez długi czas, dlatego zrobili go na twardo głupiego. Sami by się prosili o kłopoty, gdyby zrobili inaczej. Po drugie, miał tysiąc teraseków, żeby rzucić z siebie łańcuchy, a dalej jedzie programem. To chyba wystarczający dowód?

Wstałyśmy w ciemności, drzewa nachylały się nad nami, rdzeń dodawał nam ciężaru, a delikatne mdłości bawiły się w kotka i myszkę z moim żołądkiem.

– Sunday – powiedziała cicho. – On mógłby mnie wycofać....

Podjęłam decyzję.

– Sama powiedziałaś, że ja go nie okłamuję. I nie chcę teraz zacząć.

– Proszę...

– Więc jeśli powiem Szypowi, że to chwilowe załamanie, to to ma być chwilowe załamanie, rozumiesz? Żadnego potajemnego grzebania w kablach. To i tak zresztą debilny pomysł, tak debilny, że do ciebie niepodobny. Ja cię bronię, Li, ale ty nie pakuj się głębiej, dobra?

Po chwili kiwnęła głową.

– Li, obiecaj.

– Obiecuję – powiedziała cicho.

* * *

W jednej kwestii miała rację. Ja się zmieniałam. Jednak to nie sama podróż mnie zmieniła. A już na pewno, do cholery, nie był to Szyp. Ja nie byłam niczym pachotkiem.

Zmieniałam się, zanim wyruszyliśmy.

Przez chwilę miałam przeznaczenie. Zobaczyłam je, gdy otarłam się o powierzchnię Słońca. Zobaczyłam marionetkowe sznurki u siebie, u moich panów i u ich panów. Zobaczyłam, że wszystkie zbiegają się aż do Wielkiego Wybuchu, ujrzałam nieprzerwaną linię prowadzącą od początku stworzenia aż po koniec czasu, zobaczyłam siebie ponad tym, wieczną.

To było coś w rodzaju wakacji.

Ktoś organizował takie wycieczki na Słońce, zbudował sobie do tego statek na podstawie prototypowego wypornika, który RDNZ sprzedał jako demobil w czasach, gdy zajmował się tylko badaniami. Uprzemysłowione Oświecenie, tak się nazwali. Wpinali cię w fotel i surfowałaś po koronie słonecznej, ocierałaś się o plamy, gdzie te wszystkie splątane pola magnetyczne spuszczały ci neurony ze smyczy, tak by mogły się aktywować same z siebie, odpięte od normalnej, deterministycznej zależności przyczynowo-skutkowej. Folder mówił, że to jedyne miejsce w całym Układzie Słonecznym, gdzie można naprawdę doświadczyć Wolnej Woli.

Uwierzyłam im. Bardzo chciałam im uwierzyć. Albo może moja niewiara była zbyt słaba, żeby mnie powstrzymać – Sunday Ahzmundin, sceptyczka, buntowniczką, która nie chce pogodzić się z

własnymi pragnieniami i motywacjami, bo czuje, że one nie są naprawdę jej własne. To była moja ostatnia deska ratunku, żeby spróbować sprawdzić, czy naprawdę chcę się zapisać na jednokierunkową wycieczkę do śmierci ciepłej wszechświata i wszystkich innych śmierci.

Poptywałam więc sobie nad powierzchnią Słońca, pozwoliłam jego magnetycznej makramie przeprogramować sobie mózg, popatrzyłam, jak wokół mnie kolapsuje czas. Ale widziałam, że sama jakimś cudem trwam. I widziałam, że to jest ważne.

Szczegóły są teraz rozmyte – tak to jest, kiedy dajesz sobie przeprogramować mózg. Praktycznie nie jesteś w stanie pamiętać tego przeżycia, kiedy neurony wrócą do normalnego stanu. Możesz tylko pamiętać, że pamiętał je ktoś inny, ktoś zbudowany z tych samych części, co ty, ale inaczej połączonych. Objawienie ma okres połowicznego rozpadu.

Jednakże moje było na tyle trwałe, że wyrwało mnie z tego impasu. Wróciłam świeża, pełna zapału i zdecydowana podróżować do kresu czasu. Nie przejmowałam się nawet faktem, że RDNZ pewnie zaaranżował całą tę wycieczkę, żeby mnie skłonić do powrotu na swoje łono; myśleli, że mną manipulują, lecz ja widziałam, że to Przeznaczenie manipuluje nimi. A jeśli ów ogień w mojej duszy z czasem ostygł, jeśli z monomanii przeszedł w gorączkowy zapał, a potem zaledwie w uspokajający rytuał – to co? Przecież tak zawsze dzieje się z wiarą. Zdołała doprowadzić mnie aż tutaj. Dawała satysfakcję i zadowolenie przez ponad sześćdziesiąt milionów lat.

Choć z perspektywy czasu to oczywiście trochę żenujące.

* * *

– Odczyty ma normalne – powiedział Szypm.

Był wszechobecny i rozproszony. Przenikał cały statek. Natomiast moja obecność była ograniczona do kapsuły jadącej na rufę, wspinającej się ponad izograwę 1 g i z każdym korsekiem coraz lżejszej.

Kiwnęłam głową.

– Mówiłam. To jednorazowe.

Lian zajmowała jeszcze mniej miejsca niż ja – trumnę w krypcie C3X, wsuwającą się teraz w swą wnękę w grodzi. Patrzyliśmy razem – ja w hamującej kapsule, Szymp wszędzie indziej – jak wyłącza się jej mózg; jak zębate elektryczne góry kurczą się do rozmiaru kretowisk, a potem stają się równoległymi, płaskimi horyzontami.

Wysiadłam przy 1/5 g do grubo ciosanego tunelu, bez ścian, sama goła skała.

– Myślisz, że można jej ufać? – zapytał.

Ruszyłam długimi, sprężynującymi krokami i odpowiedziałam wymijająco:

– Tyle co każdemu. Nikt nie panuje nad tym, jakie uczucia coś w nim budzi, prawda? Wszystko sprowadza się do tego, jak na te uczucia zareagujesz.

– Zaatakowała Burkhardta Schidkowskiego. Cztery budowy temu przeżyła załamanie emocjonalne. Jeśli jej zachowanie będzie eskalowało, może doprowadzić do znaczących zakłóceń w planie.

– To wtedy wyłączysz ją z obiegu. Posłuchaj, ona naprawdę się tym przejęła. – Ściśle rzecz biorąc, to nie było kłamstwo. – Wie, że spieprzyła sprawę. Ale przystosowanie gadającej małpy do miejsc takich jak to też ma swoje granice, przynajmniej jeśli nie chcesz z nich wykorzystać wszystkich cech, dzięki którym są przydatne. A jest nas tu trzydzieści tysięcy – nie każdy będzie się przez cały czas zachowywać w granicach specyfikacji. Statystyka. Nie możesz winić Lian, że tym razem na nią wypadło.

– Sunday, ja jej nie winię. Ja się niepokoję o funkcjonowanie.

Skała połyskiwała w słabym świetle. Przesunęłam po niej czubkiem palca, zostawiłam małpy, ciemny ślad. Przydałoby się trochę podregulować lokalną wilgotność.

– No dobra, posłuchaj. Jak według ciebie będziemy funkcjonować, jeśli będziemy mieć świadomość, że za chwilową niedyspozycję można wylecieć z obiegu? Jak myślisz, że ja będę funkcjonować, kiedy się dowiem, że nigdy nie zobaczę Lian?

– Jak ty będziesz funkcjonować?

Wyciągnęłam asa z rękawa.

– Z Lian się przyjaźnimy. To nie tylko seks, rozumiesz? – Oczywiście nie rozumiał, to nawet niespecjalnie było prawdą, ale Szypm zawsze pierwszy się przyznawał, że niuanse do niego nie docierają. – Wolę, kiedy jest koło mnie. Lepiej funkcjonuję, kiedy jest. Może uwzględniśz to jakoś w tych swoich wskaźnikach?

Przez chwilę milczał, przetwarzając dane. Przede mną wielki okrągły właz bezgłośnie wsunął się w skałę, gdy się zbliżyłam.

– Sunday, tak zrobię. Dziękuję.

Głęboko w krypcie ostatnie niedobitki synaps wreszcie przestały iskrzyć. Mózg Lian pogrążył się w ciemności. Znów sama – tylko ja, mój odwieczny przyjaciel i tysiąc pustych lat świetlnych.

Błogie chwile. Taka absolutna izolacja ma w sobie nieopisany spokój.

Weszłam do Macicy.

* * *

Wciąż śnią mi się od czasu do czasu narodziny *Eri*. Śnię, że jestem na miejscu i to widzę.

Oczywiście nie widziałam. Chowałam się za Merkuryem razem ze wszystkimi, bo lęk w naszych trzewiach na dobre stłamsił naszą wiarę w obliczenia. Jednakże w snach jestem na miejscu, unoszę się w samym środku łona. Patrzę na gęste, spiralne gąszcze programowalnej materii, widzę wystające z niej lufy celujące prosto we mnie. Widzę to wszystko, mimo że nie ma światła, aż nagle się pojawia – oślepiający błysk, który na milionową część sekundy wypełnia cały wszechświat i wtedy przestają istnieć. Z całej Sunday Ahzmundin zostaje tylko osobliwość wielkości protonu.

Coś jednak przetrwało. Sen przechodzi we wszechwiedzącą trzecią osobę i patrzę z jakiejś bezpiecznej płaszczyzny astralnej, jak noworodek w furii wypluwa potok promieniowania gamma, protonów, antyprotonów, odparowuje lasery gamma i izolatory i rośnie dalej. Liże już sam bazalt, eroduje ściany na sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów. W końcu inna maszyna, w

większej odległości, pomaga go okiełznać. Patrząc, jak te magiczne maszyny pchają mu prosto w paszczę zamienioną w gaz skałę, dodając do niej zebrane ze słońca odżywcze protonowe suplementy. Patrząc, jak osobliwość uspokaja się, stabilizuje, przybiera na wadze. A kiedy budzę się gwałtownie – jak zawsze – leżę i dodaje mi otuchy fakt, że po tylu milionach lat ona nadal przyciąga mnie do pokładu i do siebie.

– Tak, to chyba rozumiałe – odparł Kai, kiedy mu powiedziałam. – Sny są świetne do wykrywania poczucia winy.

Zapytałam, o czym on, do cholery, gada.

– Po prostu, nie chciałaś się stamtąd ewakuować. Myślałaś, że to nielojalne czy coś w tym stylu.

– Naprawdę?

– No, nie odmówiłaś ewakuacji, nic takiego. Po prostu powiedziałaś, że to niesprawiedliwe wobec Szypma, zostawiać go samego z takim ryzykiem.

Oczywiście ryzyko było. Do zakrzywienia czasoprzestrzeni potrzeba masy energii – *Eri* musiała trzymać się blisko Słońca przez pełen rok, żeby się naładować do tego jednego strzału. Gdyby któryś z tych laserów strzelił nie w porę, gdyby wszystkie wektory się idealnie nie zrównoważyły, moglibyśmy oglądać największy wybuch od czasu, kiedy Chicxulub zlikwidował dinozaury.

Ale po to są przecież obliczenia, nie? Co za sens ma cała fizyka, jeśli nie można jej powierzyć własnego życia?

– Nie pamiętasz – domyślił się Kai.

– Mała byłam.

– Ale i tak. Wydawało się to dla ciebie bardzo ważne. Przez kilka dni do nikogo się nie odzywałaś.

– Skoro ty pamiętasz to w takich szczegółach, to powiedziałabym, że dla ciebie to było ważniejsze.

– No, ale mnie to przynajmniej nie nawiedza w snach.

Teraz, kiedy pomógł mi sobie przypomnieć, niewyraźnie pamiętałam, że nie byłam wredna wobec wszystkich. Rozmawiałam z Szypmem, jak tylko wróciliśmy na pokład, ale nie za dobrze

pamiętałam o czym. Później, kiedy Kai wrócił do krypty i zostałam z Szypem sam na sam, przyszło mi do głowy, że go zapytam. Ale stwierdziłam, że jednak nie.

Już wtedy zaczynały mnie męczyć te dziury w jego pamięci.

* * *

To dziwne, że moje stopy tak często prowadziły mnie w to miejsce po zejściu słońca. To dziwne, że kiedy byłam najspokojniejsza, szłam popatrzeć na miejsce, gdzie dokonuje się tak ogromna przemoc.

– Szyp?

– Jestem, Sunday.

Ale w porównaniu z tymi narodzinami dawno temu to było nic. Przy tamtej maszynierii ta tutaj była jak zabawka, w najlepszym razie pomniejszony model. Komora ogniowa pośrodku tej groty miała zaledwie czterdzieści metrów i była przeznaczona do wielokrotnego użycia. (I parę razy już rodził, choć nigdy nie było mnie wtedy na pokładzie). Ale o ile czarna dziura głęboko w czeluściach napędu *Eri* miała istnieć wiecznie – to znaczy, o ile od czasu do czasu da się jej łyka zebranego z przestrzeni kosmicznej wodoru – to te nadmuchiwane tutaj wychodziły karłowate i umierały młodo.

– Czy ty... mnie lubisz? – zapytałam.

– Oczywiście.

– To znaczy... bardziej niż innych ludzi.

– Każdy człowiek jest inny, Sunday. Każdego lubię na inny sposób.

Od samego wjazdu widziałam tylko północną półkulę komory ogniowej; pokład formował galerię otaczającą w bezpiecznej odległości jej równik i zastaniającą widok w dół. Z półkuli wystawały tylne końce laserów gamma, idealnie równa siatka ceramicznych stożków zniekształconych cewkami, radiatorami i magistralami pospinanych w wiązki kabli.

– Rozumiem. A w jaki sposób lubisz mnie?

– Rozmawiasz ze mną więcej niż inni, nawet bez powodu.

– Hmm.

– Na przykład teraz. Prowadzimy rozmowę bez związku z celami

misji. Z innymi sporami to się nie dzieje tak często.

– Może mogłoby, gdybyś ich rozmrażał tak często jak mnie. – Właśnie przewijałam sobie logi i zaczynałam mieć wrażenie, że Lian miała rację.

– Mamy więcej rozmów, nawet licząc interakcje na jednostkę czasu.

– I tobie to odpowiada.

Szym p zachował milczenie. Miał takie wyjście, jeśli nie zadaliśmy mu wyraźnego pytania.

Gdy zbliżyłam się do poręczy, w polu widzenia wyłoniły się paraktycznie dalsze fragmenty groty. Wychyliłam się, wygięłam szyję, spojrzałam na kanał rodny – pozebrowany nadprzewodnikami, jak chrząstki wokół tchawicy – wznoszący się od północnego bieguna komory i znikający w skale.

– To dlatego jestem tak często na pokładzie?

– Nie.

– A więc dlaczego?

– To nie jest umyślne. Załogę dla każdej budowy wybieram na podstawie całego zestawu kryteriów.

Coś mniej więcej pamiętałam. Doświadczenie danej osoby, w odniesieniu do przewidywanych problemów, zgodność z resztą społeczności. Sprytny algorytm zapewniający, że każdy zyskuje doświadczenie w swoich słabych punktach, i równoważący to z krótkoterminowym kosztem niewyboru do problemu zawsze najlepszego kandydata.

– Możesz mi te liczby pokazać? Dla tych przypadków, kiedy znalazłam się na liście?

– Nie od ręki. Drzewo decyzyjne działa podświadomie. Trzeba by uruchomić audyt trzeciego poziomu, żeby wyciągnąć konkretne wartości parametrów dla danej iteracji, a i tak prawdopodobne, że już się skasowały dla oszczędności miejsca.

Szym miał podświadomość.

– Chcesz uruchomić taki audyt? – zapytał.

– E tam. Po prostu dziwne mi się wydaje, że tak często ląduję na

krótkiej liście.

- Losowe rozkłady zawsze mają trochę pozornych skupień.
- Pewnie tak.
- Wolałabyś, żeby cię budzić rzadziej?
- Czemu? – Nie wiedziałam, czy proponuje mi taką opcję, czy po prostu zmienia coś w moim profilu psychologicznym.
- Na przykład, gdybyś chciała dłużej żyć.
- Ale wcale bym nie żyła dłużej. Po prostu miałabym dłuższe przerwy w życiu trwającym tyle samo.
- Tylko że więcej by się działo na zewnątrz. Im dłużej żyjesz, tym większe masz szanse przeżycia czegoś niespodziewanego.
- Na przykład czego?
- Nie wiem. Inne spory sygnalizowały zainteresowanie przyszłością.
- Ktoś jeszcze myśli, że nasze wnuki wylecą z bramki i zabiorą nas do raju?

Nie odpowiedział.

Bo prawdę mówiąc, co nas po sześćdziesięciu milionach lat mógł obchodzić Świat Zewnętrzny? *Eriophora* była całym naszym światem. Uratowała nas przed dziesięcioma miliardami samobójczych kretów tonących we własnym gównie. Dała nieustającą przewagę przed istotami, które ich zastąpiły. Obwiozła nas dookoła galaktyki, a mnie dała samotność.

Oparłam się o poręcz. Za krzywizną południowej półkuli widać było dzwonowaty koniec rury ściekowej przyssany do bieguna południowego. Na drugim końcu tej rury buczało serce *Eri* – trzydzieści dwa kilometry w dół (albo naprzód, jeśli się tak ustawić). Było nienasycone – nie mogły go zapełnić ani plazma, ani cząsteczki, ani ciepło odpadowe. Czarne dziury to najlepszy kosz na śmieci we wszechświecie.

Teraz jednak tylko czekała.

- Kiedy ją znowu odpalamy?
- Nie wiem. Na razie nie mamy żadnych kandydatów w zasięgu.
- Chętnie bym była na pokładzie, kiedy to się będzie działo. Nigdy

dotąd nie byłam, kiedy budowaliśmy węzeł.

– Nie wydaje mi się, żeby to miało nieakceptowalny wpływ na przebieg budowy.

Szymon przyjmował takie rzeczy do wiadomości. Wystarczyło ładnie poprosić. Zakładałam po prostu, że weźmie kogo bądź. Ale jeśli Lian miała rację...

Lian jednak nie miała racji.

To nie jest klatka, jeśli cały czas się porusza. To nie więzienie, jeśli możemy chodzić, gdzie chcemy. A Lian miała głowę we własnej dupie, tak głęboko, że mogła sobie lizać migdałki.

Podtekst

Szympon obudził mnie dla komety, która zderzyła się czołowo z jakąś planetą, w samą porę, by nasza procedura zachowania dystansu od wskaźników biologicznych zdeorientowała się wskutek nagłej eksplozji aldehydów i aminokwasów.

Obudził mnie dla mgławicy tak gęstej, że widocznej gołym okiem jako mętna katarakta na tle gwiazd – i tak grubej, że musieliśmy zwolnić, żeby skorupa *Eri* nie uległa ablacji od tarcia o cząsteczki.

A raz wyciągnął mnie z magazynu, kiedy ukończona bramka już przesuwała się ku czerwieni za rufą – i była to budowa, która skończyła się, nie wymagając ludzkiego udziału, ale po aktywacji zaczęła mieć... zaburzenia. Przypadek sprawił, że tym razem w moim karneciku pojawiło się imię „Kai”; zanim przenieśliśmy się na prawy mostek, krótko się pieprzyliśmy, przez wzgląd na stare czasy, a i potem nasze ciała orbitowały wokół siebie, pomimo wszechobecnych i wyzwalających możliwości zapewniających zdalną obecność. Świadomi wszystkich strumieni danych *Eri* dostępnych bezpośrednio w naszych czaszkach i tak postanowiliśmy spotkać się fizycznie i oddać cześć ołtarzowi akwarium taktycznego, który od początku miał pełnić tylko rezerwową rolę. Wszystkie genetyczne czary RDNZ nie były w stanie odkręcić dwustu milionów lat ssaczycych odruchów społecznych.

Choć, szczerze mówiąc, nie wiem, po co im się w ogóle chciało.

Staliśmy na mostku, trzymaliśmy się za ręce, obrazy wyświetlane przez akwarium nakładały się na ich odpowiedniki w naszych głowach, powodując u nas dziwaczne podwójne widzenie. Bramka uruchomiła się bez problemów – nasze przejście przez pętlę wystartowało ją i dodało do coraz dłuższego łańcucha, który zostawialiśmy za sobą.

– Dobra, przynajmniej nic nas nie chciało zeżreć – powiedział Kai,

patrząc na odtwarzane logi.

Ale niecałą godzinę po porodzie kurczącej się bramce zaczęły wyrastać... coś jakby guzy.

– Co to, kurwa, ma być?

Kai zmrzył oczy, jakby ściśnięcie gałek ocznych mogło jakoś wyostrzyć obraz, który miał wpuszczany o wiele wyżej w torze nerwowym.

– Małże?

– Może jakieś ulepszenia. – Wzruszyłam ramionami. – Najwyższy czas swoją drogą. Od wylotu tłuczemy ciągle ten sam model. Dawno powinni wymyślić coś nowszego. O ile nie będzie to dawało potworom przewagi...

– No nie wiem, dla mnie to wygląda raczej jak pasożyt.

Nigdy tego nie ustaliliśmy. Zostaliśmy tylko tak długo, by ustalić, że cokolwiek to jest, nie zakłóca normalnego działania bramki (choć nie mam pojęcia, co byśmy zrobili, gdyby zakłócało – może Szymp zawróciłby statek, żeby spróbować jeszcze raz). Wracając do krypty, przypomniałam sobie coś:

– Opowiadałeś Lian o mnie.

– Ja?

– O mojej buntowniczej młodości. Z Ziemi jeszcze.

– Eee. No może. – Kai w roztargnieniu potarł nos, który złamałam mu w wieku siedmiu lat. – Tajemnica to nie była.

– Tylko że... ona to jakoś... wzięła do siebie. Pomyślała, że to nam daje jakieś duchowe pokrewieństwo czy coś. Parę budów temu urządziła scenę – występowała gościnnie u Dzieci *Eri* i trochę zaszalała. Szymp wyciągnął mnie z łóżka, żebym to ogarnęła.

– No tak. Słyszałam.

– To uważaj, co jej mówisz, dobra? Kiedyś trochę ucierpiała i odtąd nie jest...

– Sunday...

– Mówię tylko, żebyś...

– Sunday. – Zamknął moje dłonie w swoich. – Przecież ona nie żyje, prawda?

Na chwilę zaniemówiłam.

– Co? Jak?

– Wypadek podczas wyjścia w przestrzeń – odpowiedział Kai, ale ja już odpaliłam BUD-a i zaczęłam grzebać w logach.

Cztery rozmrożenia temu – jeden z teleopów Szypma wypatrzył na powierzchni jakieś odsłonięte rury biegnące wzdłuż rany, którą nam zadał potwór Lian. Jego pocisk zdjął stamtąd większość pokrywy skalnej, resztę zerodowało przesunięcie ku fioletowi. Zadanie jest rutynowe i niekrytyczne, proste przyklejenie plasterka, ale Lian upiera się, że chce to obejrzeć osobiście. Nie mam pojęcia dlaczego. Może chce się zmierzyć z własnymi lękami, albo coś podobnie głupiego. Jedzie na miejsce i wbija się w skafander.

Nikt nie widzi, co się tam dzieje. Lian jest w bruździe, poza polem widzenia Szypma. Ma do towarzystwa dwa normalne teleopy, ale one skupiają się na topieniu materii skalnej na plastyczną masę, którą można będzie pokryć małą ranę na dnie większej rany. W logach jest tylko telemetria z czarnej skrzynki – skok temperatury, katastrofalny spadek ciśnienia, tętno skaczące po całej osi y, po czym kanał gaśnie. Kamery powierzchniowe łapią ją, gdy wznosi się nad brzeg blizny i odpada od statku, widzą jednak tylko skafander, bezwładny jak worek kości. Przesunięcie ku fioletowi w momencie tłumy jej pęd – *Eriophora* pędzi naprzód, Lian Wei znika w przeszłości.

Trzy tysiące lat temu.

– Kurwa mać – wyszeptalam.

– Wypadek jakiś. – Kai zamknął usta, otworzył je, zawahał się. – Przynajmniej tak mówi Szypm.

– A co, nie wierzysz mu?

Pokręcił głową, nie patrząc na mnie.

– Według mnie on nie chce, żeby morale ucierpiało.

– Według mnie ona sama to sobie zrobiła.

* * *

Albo może ja to jej zrobiłam.

Załamata się pod Jednorożcem, a ja kazałam jej wziąć się w garść. Patrzyła, jak jakiemuś potworowi brakuje milimetrów, żeby nas wymazać ze wszechświata, a ja powiedziałam, że „to niczego nie zmienia”. Byłam przy niej, kiedy przyparli ją do muru, powstałam na wezwanie z grobu, bo „ona ci ufa”, i powiedziałam jej, że zwariowała. Powiedziała, że „myślała, że jesteśmy takie same” i że „idzie moim śladem”, a ja kazałam jej się odpierdolić, chociaż miała rację, ja też walczyłam, burzyłam się tak samo jak ona, choć nawet powodów miałam mniej, nie miałam nawet pojęcia, z czym walczę, ale to mnie nie powstrzymało i raz nawet próbowałam się zabić... i... i...

I w tym też Lian widocznie była lepsza ode mnie.

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– Za mało czasu minęło – odparł Szyp. – Wiadomość o śmierci przyjaciela jest mniej traumatyczna, jeśli się go przez dłuższy czas nie widziało.

– Trzy tysiące lat to za mało czasu?

Chwila ciszy.

– Czy to był żart?

Uświadomiłam sobie, że tak. I to słaby.

– A ile czasu potrzeba?

– Dwa subiektywne lata.

– Już parę razy ginęli ludzie z mojego szczepu. Nigdy tyle nie czekałeś, żeby mi powiedzieć.

– Lian była dla ciebie bliższą osobą niż inni.

– Ale nie aż tak bliską. – Dotarło do mnie, że to nie sprzeczność. – Posłuchaj. Chciałeś zadbać o moje uczucia. To rozumiem. Ale masz mi takie rzeczy mówić od razu po rozmrożeniu.

– Dobrze, Sunday.

– Poważnie mówię. Nie potakuj tylko dla podtrzymania morale. Zastosuj się do tego.

– Dobrze. – Po chwili dodał: – Moje kondolencje. Lian Wei była dobrym człowiekiem.

– Człowiekiem to tak. – Pokiwałam głową. – Ale sporą była

gównianą.

– Dlaczego tak mówisz?

– Widziałeś, jak się zachowywała przez parę ostatnich teraseków. Nieszczęśliwa. Niezrównoważona. – Przypomniałam sobie tamto Dziecko *Eri* i to, co mówiła. – Laporta miała rację. Ona nie była tu na swoim miejscu. Nie mam pojęcia, jak w ogóle przeszła przez selekcję.

Z jakiegoś powodu miałam kłopoty z przetykaniem.

– Sunday, możesz płakać, to nic złego.

– Że co? – Zamrugałam. – A skąd ci to, kurwa, przyszło do głowy?

– Może byłeś z Lian bliżej, niż ci się wydawało. To naturalne czuć ból po stracie przyjaciółki. Nie ma się czego wstydzić.

– Co takiego, masz teraz drugi etat jako terapeuta, czy co? – Nie myślałam, że wystarczy mi na to inteligencji. Może po prostu nigdy wcześniej nie natrafiłam na ten podprogram.

– Nie muszę być terapeutą, żeby widzieć, że to wpłynęło na ciebie bardziej, niż się spodziewałaś. Może nawet bardziej niż kiedykolwiek.

– Szymp, daj spokój. Świetny jesteś do kierowania statkiem, ale nie mieści mi się w głowie, że jakaś komisja debili mogła uznać, że będziemy ci się chcieli wyplakiwać w mankiet.

– Przepraszam, Sunday. Nie chciałem być wścibski. Myślałem, że tak sobie po prostu rozmawiamy, jak to my.

– Bo rozmawialiśmy. – Pokręciłam głową. – Ale nie potrzebuję schematu blokowego, żeby mi mówił, kiedy mogę płakać, a kiedy nie, rozumiesz?

Przez chwilę nie odpowiadał. Nawet wtedy przez moment mnie to zastanowiło – odpowiedź chyba nie wymagała zbyt wielu obliczeń.

– Rozumiem – powiedział w końcu.

* * *

Chociaż, jeśli już pytacie, od czasu do czasu faktycznie płaczę.

Raz nawet płakałam wzruszona przez Szympa.

Byłam przy jego narodzinach, wiele lat przed wylotem. Widziałam,

jak zapala mu się światełko, jak odnajduje własny głos, jak uczy się odróżniać Sunday od Kaia i Ishmaela. Tak szybko się uczył i taki był pełen zapалу – wtedy, dopiero po własnym przyspieszonym dojrzewaniu, jeszcze nie lecąca ku gwiazdom, byłam przekonana, że on szybko osiągnie boską mądrość, a my będziemy tkwić w naszym ciele i krwi.

I taki szczęśliwy się wydawał – rozwaliał każdy test, każde wyzwanie, nie mógł się doczekać nowych, pełen wbudowanego entuzjazmu, który można by określić słowem „zachłanny”. Raz, gdy wyszłam z za rogu do nowej, ledwie ociosanej katakumby, zobaczyłam tłum robotów wirujących w idealnym, skomplikowanym szyku – ławicę srebrnych rybek pośrodku świeżo zasadzonego pierwszego lasu *Eri*. Od kształtów, które tam dostrzegłam, nadal boli mnie głowa, gdy tylko o nich pomyślę.

– No tak, sami za dobrze nie wiemy, co to takiego jest – powiedziało jedno ze speców od śrubek, kiedy zapytałam. – Czasem tak robi.

– On tańczy – powiedziałam.

Popatrzyło na mnie z czymś w rodzaju litości.

– Raczej po prostu przebiera palcami. Puszczą sobie jakąś diagnostykę motoryki, kiedy ma trochę wolnych cykli. – Podniosło brew. – A zapytaj go po prostu?

Jednakże zapytać się jakoś nie złożyło.

W wolnym czasie często zapuszczałam się do grot, patrzyłam, jak tańczy, gdy wokół rósł las – fraktalne twierdzenia i symfonie odgrywane na tle porytego bazaltu, mgiełki grzybni, gęstniejących lian z kapsułami fotosyntetycznymi, tak dobrymi w pochłanianiu fotonów, że nawet pod światłem mającym udawać słoneczne widoczne były tylko jako czarne sylwetki. Kiedy las zrobił się zbyt zatłoczony, Szypm przeniósł się do jakiejś niedokończonej komory fabrycznej. A gdy i ona zaczęła się zapełniać, przeszedł do pustego zbiornika na chłodziwo wielkości wieżowca, potem zaś do wielkiej pustki pośrodku świata, gdzie któregoś dnia zacznie buzować i kipieć w ciemności troll łamiący prawa fizyki i ciągnący cały statek naprzód

za własne sznurowadła. Taniec ewoluował z każdym nowym miejscem. Kinetyczne obrazy robiły się coraz bardziej wyrafinowane, zachwycające i piękne. Gdziekolwiek się z nimi zabrał, zawsze go znajdowałam. Byłam tam i patrzyłam.

Czasem próbowałam kogoś ewangelizować, zapraszać na te występy przyjaciół czy kochanków, ale poza Kaiem, który kilka razy mi ustąpił, nikt nie był specjalnie zainteresowany oglądaniem, jak pokładowy program diagnostyczny przebiera palcami z nudów. Rozumiałam to. Wiedziałam już, że Szyp gra głównie dla mnie. W sumie dlaczego nie? Psy i koty mają uczucia. Nawet ryby mają. Wykształcają się u nich nawyki, lojalność. Przywiązanie. Szyp może ma tyle neuronów, co ułamek ludzkiego mózgu, ale spokojnie jest inteligentniejszy niż wiele świadomych istot, u których widzimy własną osobowość. Pewnego dnia, za parę stuleci, ludzie mieli dostrzec resztki tej więzi i obrzucić mnie za to głównym, ale im też mogłoby się to przydarzyć – wystarczyłoby zatrzymać się, trochę popatrzeć i się zachwycić.

Jednakże pewnego dnia Szyp nie wydał się dwa razy bystrzejszy niż wczoraj.

Z początku niezupełnie sobie to uświadamiałam, po prostu mój model oczekiwań był taki raczej... wykładniczy. Uznałam za oczywiste, że dziecko, które rano bawi się klockami z cyferkami, po obiedzie będzie rozwalać algebrę tensorową. Teraz zaczynał od tej krzywej odstawać. Robił się inteligentniejszy tylko liniowo. Nigdy o to techników nie zapytałam, nie wspomniałam o tym nawet innym sporom, ale po tygodniu nie było żadnych wątpliwości – Szyp wcale nie był wykładniczy. Był tylko sigmoidalny, minął już punkt przegięcia i leciał do asymptoty – mimo wszystkich swych talentów sawanta, po otarciu się o ten sufit wcale nie osiągnie boskiego poziomu.

Nie będzie nawet tak inteligentny jak ja.

Oczywiście oni nie dawali mu odpocząć. Cały czas wrzucali mu nowe, coraz bardziej skomplikowane zadania. I on wciąż dawał sobie z nimi radę, wciąż dostawał sto na sto. Bo przecież nie

zaprojektowali go, by zawiódł. Ale musiał teraz pracować ciężiej. Ćwiczenia pochłaniały coraz więcej zasobów. Z każdym dniem coraz mniej mu ich zostawało.

Przestał tańczyć.

I chyba się tym nie przejął. Zapytałam go, czy brakuje mu baletu, i nie wiedział, o czym mówię. Współczułam mu młota, który strącił go z nieba, a on mnie zapewnił, że nic mu nie jest.

– Sunday, nie przejmuj się mną – powiedział. – Jestem szczęśliwy.

Po raz pierwszy usłyszałam od niego to słowo. Gdyby je wypowiedział choćby dziesięć dni wcześniej, może i bym mu uwierzyła.

Zjechałam więc do jednego z lasów, w których panował teraz półmrok – mocne światła o pełnym widmie zostały wycofane, gdy poszycie wyrosło z sadzonek – i płakałam, bo było mi żal tej szczęśliwej, skarłowaciałej istoty, która nie wiedziała, albo nie dbała o to, że kiedyś pięła się ku transcendencji, póki jakiś bezduszny priorytet misji nie kazał zatopić go w bursztynie.

Co mogę powiedzieć? Młoda byłam i głupia.

Myślałam, że mogę sobie pozwolić na odczuwanie litości.

* * *

Z perspektywy czasu widzę, ile było tych wskazówek.

Wszystkie spory chodzące korytarzami i nękające Szymba ciągłymi głupimi pytaniami. Nawet nie zawsze pytaniami – Lintanga Kasparsona parę razy przytapałam na opowiadaniu mu kawałów. Część mojego umysłu zastanawiała się chyba, czemu tylu mięsuchów nagle się tak zainteresowało pielęgnowaniem relacji z Al *Eri* – pewien bardziej małostkowy ułamek prawdopodobnie był nawet odrobinę zaborczy.

Bashaar zaczął pokrywać skałę, plastik i wszystkie płaskie powierzchnie, do których się dorwał, fałszywym graffiti Malarzy. Nigdy nie wykazywał ani trochę zainteresowania innymi szczepami – zapytałam go, czy rozszyfrował ich kod, a on nagle zaczął się krygować: „Noo, czyjś kod to zdecydowanie rozkminiłem”. Ale ja

szałam wtedy na rufę na wirtualną imprezę z Banem i Rachel, nie miałam czasu pogrywać z nim w durne gierki.

A potem pojawił się Klub Rozumiejących Muzykę Parka.

Siedziałam na mostku i kalibrowałam sobie wszczępkę, gdy usłyszałam cichą muzykę z jednej z głośniczko-kamer w suficie. Park, w jednej z łóż socjalnych, coś sobie nucił. Na kolanie miał zwój. Z jakiegoś powodu stukał w niego i przeciągał, zamiast korzystać z interfejsu sakadycznego. Nucenie zmieniło się w mruczenie, chwilę później zaczął śpiewać.

Rozpoznałam to – utwór zagadka, szła na jego punkcie był parę lat przed naszym wylotem.

– To nie tak – powiedziałam mu.

Urwał, rozejrzał się, usłyszawszy mój odcieleśniony głos.

– Hmm? Sunday?

– Ten wers. Tam jest „Koty Alcubierre’a” a nie „Koparki ubiera”.

– Mówisz?

– To nawiązanie do nieoznaczoności kwantowej. Co, śpiewasz nie takie słowa, odkąd wylecieliśmy z Ziemi?

– Bawiłem się słowami, próbowałem różnych wariantów.

– Ale to jest utwór/zagadka, zmienisz słowa, to psujesz zagadkę.

– Zagadka nas tak naprawdę nie interesuje. Po prostu podoba nam się przy tym... majstrować. I nie tylko przy słowach. Także przy melodiach, harmoniach, całym tym szajsie.

– „Nam”?

– Nam. Klub Rozumiejących Muzykę.

– Chyba nie ma zbyt wielu członków.

– Może kilkanaście osób.

– Park. Na pokładzie nigdy nie ma więcej niż cztery, pięć osób.

– Zostawiamy sobie nuty, kiedy się kładziemy. Notatki, nuty nagrania. Komentarze i kolejne poprawki, żeby podjęli je inni, kiedy wstaną. Czasem powstają spory, dyskusje, ale prowadzą donikąd, no bo wiesz, dziesięć tysięcy lat i tak dalej. Zainteresowałaś się. Może się zapisz?

– Rozumienie Muzyki.

– Aha.

– Ja bym tę muzykę nawet rozumiała, gdybyś nie popierdzielił słów.

Ale przyznaję, trochę byłam urażona, że wcześniej mi o tym nie powiedzieli.

Okazuje się, że była masa rzeczy, o których mi nie powiedzieli.

* * *

Kolejne rozmrażanie. Nie wiem, po co Szypm w ogóle chciał mnie mieć na pokładzie.

Od cyferki był Viktor. Ja gównie się znałam na nawigacji, nie licząc podstaw, tyle, by kogoś od biedy zastąpić. Natomiast Szypm miał w swoim najbardziej mikroskopijnym splocie nerwowym dziesięć tysięcy razy większą moc obliczeń numerycznych niż Viktor w całym swoim mózgu wielkości grejpfruta i nie wiedział, co ma zrobić. Może więc nie chodziło o parę do obliczeń numerycznych. Może potrzebne było bardziej lateralne podejście. A może Szypm obudził mnie po prostu Viktorowi do towarzystwa.

Niestety on nie miał nastroju na towarzystwo.

– Nawet jeszcze nie budujemy – burczał, dołączając do mnie w nurze. – Do najbliższego układu cztery lata świetlne.

Dałam mu ponarzekać. Szypmowi już się zdarzały takie bóle – łatwiej im było zaradzić, gdy obrazu nie mąciły studnie grawitacyjne wielkości słońc.

Przygotował i ogrzał dla nas mostek. W akwarium taktycznym wirowały jak ławice rybek cyferki. Liczyła się nie tylko wartość tych wszystkich parametrów, lecz także ich wzajemne relacje, płynny taniec ciągle zmieniających się korelacji, odwzorowanych przez ich względne położenie. Viktor był ekspertem od czytania szczegółów, ja, jeśli się natężyłam, mogłam rozpoznać ogólne tendencje.

Na ogół jednak po prostu chłonęłam je na innym poziomie. Estetycznym. Z czymś mi się kojarzyły – nie do końca wiedziałam z czym.

– Zeszliśmy z kursu o prawie pół stopnia – powiedział Szypm.

Viktor podświetlił grupkę punktów.

– Ale to i tak jest w granicach tolerancji.

– Ale to odchylenie nie jest losowe. *Eriophora* ma stały dryf w kierunku jądra galaktyki.

– To ma jakieś znaczenie? Kiedy zmieniasz kurs, żeby podejść do kolejnej budowy, robisz o wiele silniejsze korekty.

– Ten efekt nasila się z czasem.

– Faktycznie. – Viktor puścił szybki scenariusz i zagwizdał z udawanym podziwem. – O, proszę, jeśli nie zrobimy więcej żadnych korekt, to już za cztery miliardy lat zejdziemy z kursu o całe dziesięć stopni. No katastrofa.

– Zakładasz ciągłą funkcję liniową. Nie wiemy, czy tak jest rzeczywiście, jeśli nie ustalimy przyczyn.

– A nie potrafisz.

– Nie potrafię.

– I liczysz, że my potrafimy.

– Liczę.

– Mimo że niecałe sto teraseków temu poprosiłeś kogoś innego o to samo. O przeczesanie logów. – Viktor westchnął. – Za bardzo wierzysz w ludzką wyobraźnię.

Mimo to zabrał się do pracy. Rozłożył obliczenia Szypa na części dające się na raz wziąć na ząb, wybrał kilka losowo, zaczął je sprawdzać. W akwariu rozbłyśkały i przygaszały kolejne konstelacje, przez które przechodził.

– Jedne dobre rozmroziny całkiem na marne – burknął po jakiejś godzinie.

– Na marne? – zapytałam. – Oszczędzasz życie? Na co?

– Na niebieskie karty.

Poszukałam definicji.

– Ale, Vik? One nie istnieją.

– Na razie. – Rozebrał kolejny moduł. Na razie obliczenia Szypa się potwierdzały.

– Nie mogą istnieć. Wszechświat jest jeszcze za młody.

– O to właśnie chodzi.

– Nie wydaje mi się, że dotrzemy tak daleko. Musielibyśmy pokonać z połowę drogi do Śmierci Ciepłej.

– Czemu tylko połowę? – Wbił we mnie spojrzenie zewnętrznych oczu, podczas gdy wewnętrzne dalej obmacywały dane. – Myślisz, że po co się w ogóle na to zapisałem?

– Bo tak cię od początku zaprojektowali?

– Powierzchnowa odpowiedź. I jak się objawia to zaprojektowanie? Tak, że chcę zobaczyć, jak to będzie.

– Jak co „będzie”?

– Wszystko. Wszelki świat. Rzeczywistość. Hologram, model, w czym tam się znajdujemy. Miał początek, ma koniec. Im bliżej tego końca będziemy, tym wyraźniej to będzie widać. Jeśli znajdziemy się wystarczająco blisko, to może zobaczymy kontury.

– Chcesz poznać cel istnienia.

– Chcę poznać koniec istnienia. Nic mniej mnie nie zadowala. Oczywiście twojej epopei też nie zamierzam umniejszać. – Spojrzał na mnie. – Właśnie, swoją drogą, wytropiłaś może tego Pana Tarantulę?

Walnęłam go.

– Dupek. I nie.

Szczerze powiedziawszy, doprowadzało mnie to do szału. Nikt, kogo pytałam, go nie pamiętał. Zaczynałam się zastanawiać, czy go sobie nie wyhalucynowałam.

– Pewnie cały czas się na niego natykasz – powiedział Vik. – Tylko że szukasz kogoś z tarantulą na ramieniu, a on pięćdziesiąt teraseków temu zgniótł paskudę we śnie, kiedy się przewracał na drugi bok.

– To by było słabo. Przede wszystkim twoja epopeja stałaby się o wiele łatwiejsza niż moja.

Nagle hmmm – coś przykuło jego wewnętrzne oko.

– À propos epopei...

– Wykryłeś problem? – zapytał Szyp.

– Niezupełnie. Na moje oko... – Vik machnął ręką; na ekranach zadrgał jaskrawy impuls. – Szyp, wszystkie twoje obliczenia są

poprawne. My nie zboczyliśmy z kursu.

– Nie rozumiem – powiedział Szyp.

– Na moje oko jesteśmy dokładnie tam, gdzie powinniśmy być. To reszta wszechświata się przesunęła.

Myślenie lateralne.

Po to nas tu w ogóle zabrali.

* * *

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy śledzić Dorona Leviego, gdyby nie oślepił mnie po drodze z mostka.

Za dobrze go nie znałam: po prostu kolejna spora, pochodząca z Tel Awiwu, ten sam szczep, ale odbyliśmy razem tylko kilkanaście wacht. Gdybyśmy mieli za sobą jeszcze kilka budów, może i nazywałabym go przyjacielem, ale kiedy go zdybałam, był tylko w miarę znajomym człowiekiem.

Z tym oślepieniem to może przesadzam, bardziej coś mi zamigotało, jakiś szum na skraju pola widzenia, zakłócenie ikonki BUD-a na ułamek sekundy. Jakby coś je kopnęło i rozsypało piksele. Tylko na moment, jak mówiłam. Wpadł na mnie, uśmiechnął się przeproszająco i udał się do swojej krypty.

Tylko że wcale tam nie poszedł. Zszedł na jeden z pokładów fabrycznych, gdzie Szyp produkował vony do budowy bramek.

Uprawiał tam swoje hobby, jakąś wiecznie niedokończoną rzeźbę obliczoną na wiele tysiącleci. Fabryka fabrykowała mu części, kiedy nie miała nic ważniejszego do roboty. Nie zwróciłam na to w ogóle uwagi, gdyby nie to chwilowe zakłócenie – jakby odezwała się szeptem jedna ze ślepych plamek *Eri*, jakby z ciężkiej strefy uciekł mały, ciemny odłamek Pochyłej Polany, żeby odwiedzić jasność Górnego Świata. Co oczywiście nie miało grama sensu.

Więc za nim poszłam.

Fabrykatory stały martwe i nieruchome – uśpiona sieć maszynierii ciągnąca się tak daleko, że widać było krzywiznę pokładu – oprócz jednego, przy lewej burcie, który migał lampkami i cichutko buczał. Podeszłam do niego.

Z cieni wyskoczył Doron.

– Co jest, kur...?

Śmieszne to było, że tak synchronicznie zakleliśmy.

Pierwszy odzyskał rezon.

– Co ty tu robisz?

– Myślałam, że się już kryptujesz.

– Bo się kryptuję. Tylko przyszedł mi do głowy pomysł na element do rzeźby Tidhara. Chciałem wprowadzić specyfikację, póki mam ją na świeżo w głowie.

– Aha, jasne. – Zerknęłam na maszynę, za którą się czał. Podajnik materii. Magazynek z litem.

– Co ty tam na górze robieś?

– A, tak, wiesz, trochę sobie grzebałem, póki się liczby miały.

Słaby szum na moim BUD-zie.

– Naprawdę. – Za podajnik, w głęboki cień.

– Ale pewnie już się skończyło. Więc w sumie powinienem...

Weszłam w strefę cienia. BUD mi zgał.

– Co jest, kurwa? – Tym razem tylko ja to powiedziałam.

Wszystkie ikonki wyglądały jak słabe, rozedrgane własne cienie. Brak dostępu do sieci.

Doron zaszedł mnie od tyłu. Choć raz nie wiedział, co powiedzieć.

– Ty tworzysz ślepe punkty – powiedziałam.

– Sunday...

– Robisz zagłuszacze sygnału. – Zastanawiałam się, jak to możliwe. Czy to, co on fabrykuje, nie pokaże się w logach fabrykatora? – Zagłuszasz Szympha.

Czy on je robi ręcznie?

– Sunday, proszę, nie mów mu.

– Oczywiście, że mu powiem. Umyślnie rozpierdzielasz łączność na statku. Po co ci to, Doron?

Przestąpił z nogi na nogę i z powrotem.

– Sunday, proszę. Nie mamy dużo czasu.

– Mniej, niż ci się wydaje. Co ty, do cholery, chciałeś osiągnąć tą tandetną...

– Pierwszy krok to zyskać wolność – powiedział. – Potem będziemy mieć masę czasu, żeby się zastanowić, co z nią zrobić.

– Zaraz, co...

– Życie to powinno być coś więcej niż wegetacja jaskiniowca co parę tysięcy lat, ze świadomością, że nigdy nie zobaczą...

– Skąd ty znasz... – zaczęłam i urwałam, gdy BUD mi się restartował, a w pole widzenia wyjechał zza podajnika karaluch. Dotarło do mnie, że od jakiegoś czasu słyszałam syk jego kółek.

– Cześć, Sunday, Doron? – Szypm odezwał się w naszych głowach. – Macie jakiś problem?

Żadne z nas się nie odezwało. Wydało mi się, że przez całe lata.

Wreszcie:

– Nie. Doron majstruje trochę przy swoim projekcie, zanim się położy.

– Nawiasem mówiąc – powiedział Doron – słyszałaś o naszym Klubie Rozumienia Muzyki?

– Co, ty też?

– Myślę, że gdybyś tylko dała mu szansę, spodobałby ci się. To chodzi nie tylko o rozumienie, ale i o krytykę. Krytykę muzyczną.

– Krytykę muzyczną.

– Możesz kogoś opluć. Spodoba ci się.

– Nie znam się na muzyce.

– To najlepszy czas, żeby to nadrobić. Park pracował nad czymś, dziwaczna skala Bohlena-Pierce'a, nawet oktaw w niej nie ma. Ale ma z tym kłopoty. Wszyscy mu trochę pomagaliśmy. Może i ty byś spojrziała. Zdaje się, że zostawił nuty w swojej kabinie.

– Mówiłam ci, ja nie...

– Mówi, że problemy ma zwłaszcza z ósemkami. Poza tym uważam, że może powinno być G-dur, a według mnie C jest równie dobre. Akord C-dur na dolnym C. Spójrz na to... trzeba coś zrobić, gdy masz te swoje Miłe Chwile, nie?

Wsiadł do czekającego karalucha.

– Szypm, jedziemy do krypty.

Karaluch odjechał.

* * *

Kolejna Miła Chwila. Sam na sam ze starym przyjacielem.

Ale tym razem nie było tak spokojnie. Coś niewypowiedzianego wisało w powietrzu. Coś ukrytego.

Skala Bohlena-Pierce'a. Głosy umarłych. C-dur. Zagłuszanie sygnału.

Docenianie i rozumienie, kurwa, muzyki.

Wróciłam do kabiny. Nie własnej. Niczyjej w zasadzie – nikt nie zaklepywał sobie danego łóżka pomiędzy wachtami, nikt nie dbał o to, w którym z identycznych pomieszczeń prześpi się, kiedy jest na pokładzie. Ale ta tutaj nie tak dawno należała do Parka. Gdybym nawet tego nie wiedziała, to naprowadziłyby mnie na to arkusz papieru przyciśnięty do stołu ukruszonym z płaszcz *Eri* kawałkiem skały wielkości pięści.

Zapis nutowy. Tyle chociaż potrafiłam poznać.

Gdy podniosłam kartki, coś się z nich zsunęło, mały walcowaty przedmiot, który upadł bezgłośnie na wykładzinę i potoczył się parę centymetrów. Pióro. Prawdziwe analogowe pióro wypełnione atramentem albo czymś podobnym. Park musiał je sobie wyfabrykować na żądanie.

Wszystkie te nuty zapisał odręcznie.

– Szymp, czy to... Jest zdigitalizowane?

– Słucham?

– Nie, nic.

Już i ja coś przed nim ukrywałam. Nieufność Dorona Leviego, obojętne czym spowodowana, udzieliła mi się.

No dobrze, muzyko. Niechże cię poznam i polubię.

Rozsiadłam się w najbliższej kapsule, wyciągnęłam z archiwów wstęp do teorii muzyki. Krzyżyki, bemole, klucz wiolinowy, klucz basowy. Ton podstawowy. Stopnie, interwały, skale.

Skala Bohlena-Pierce'a. O, jest. Nikomu nieznana trzynastodźwiękowa skala z Ameryki Północnej, starożytna już w czasach, gdy Diaspora była nowa. Interwał trytawy, „sprawiedliwie

strojony”, cokolwiek to znaczy.

No i co z tego?

Puściłam to przez odtwarzacz. Brzmiało jak kupa.

„Ma problemy zwłaszcza z ósemkami”. Nawet w połowie dziwnej gadki Dorona to zdanie do niczego nie pasowało.

Ósemki. Krótkie nutki, które trwają jedną ósmą tych grubych, jajowatych całych nut. No dobra.

Puściłam to jeszcze raz, śledząc zapis wzrokiem, a słuchem analizując dźwięki. Ósemki rzeczywiście były wyjątkowo kiepskie. Brzmiały prawie tak, jakby ktoś wcisnął je na siłę, a pożyczzył z innej kompo...

Wzięłam głęboki wdech. Pomyślałam chwilę.

Wyłączyłam BUD-a.

W dłoni pojawiło mi się pióro Parka. Pochyliłam się nad jego kartkami odwrócona plecami do oka Szypa w rogu pomieszczenia. Nie było mi specjalnie wygodnie, a siedzenie, odruchowo próbujące skompensować złą postawę, wierciło mi się pod tyłkiem.

Dolne C. Kotwica dla całego akordu i skali. To nie nazywajmy tego C, przyjmijmy, że to jest początek alfabetu.

Czyli A.

Zatem Des to będzie B. Cała skala ma tylko trzynaście nut, więc przechodzimy do następnej oktawy, oj, przepraszam, trytawy. Środkowe C to będzie N.

Ósemki.

Pierwsze kilka brzmiało w miarę – piąta naprawdę raziła. F.

Niech to będzie E.

Parę kolejnych całkiem przyzwoitych taktów, nie takich, żeby utkwily ci w głowie i odtwarzały się w kółko, ale wystarczająco melodyjnych, by nie razić i szybko dać się zapomnieć. Po niej parę kolejnych, brzęczących i jakby niestrojących. Bo w istocie nie stroiły – B i D. A potem, parę linii niżej do niczego niepasujące środkowe C.

L.O.N.

Przewróciłam stronę.

Rękopis robił się coraz bardziej zabałaganiony – nuty

poprzekreślane i zastąpione innymi, coraz to nowe znaki przy kluczach, a po paru przekreśleniach powrót do poprzednich. Na marginesy wkradły się enigmatyczne skróty, inicjały i liczby, których w życiu nie odcyfruję. Całkiem jakby Park od samego pisania przesuwiał się powoli za krawędź, jakby z jego nut na papier wyciekała entropia. Ósemki jednak trwały – co kilka linii, na każdej stronie, dwie albo trzy. Od czasu do czasu robiły sobie przerwę, dając mi wytchnienie, potem jednak trafiała się kolejna, głupia ósemka, brzmiąca dysonansem w uszach. H, des, F, A – MORA, B, F, ges – LES. Za pierwszym razem nie wyszło mi dokładnie, jak trzeba, tu nie chodziło tylko o same ósemki – były pauzy w roli spacji, metrum i nuty na górnych liniach dodanych zamiast liczb. Musiałam przejść przez to parę razy, żeby się poprawić. W końcu się jednak udało, miałam to nabazgrane nieznanymi pisanymi literami, tak małymi, że sama je ledwie widziałam – a chwilę później zamazałam to, pokreśliłam i zaczerniłam, by nikt już nigdy tego nie zobaczył. Ale to żaden problem, bo wiadomość była krótka. Nie mogłabym jej zapomnieć, choćbym nawet chciała.

ELON MORALES C4B

Kojarzyłam to nazwisko. Po prostu zapomniałam, że je kojarzyłam. Stary dobry Elon Morales.

Pan Tarantula.

A więc wiedziałam już, gdzie jest.

Krypta 4B. Włączyłam BUD-a z powrotem i sprawdziłam – daleko po stronie grzbietowej, przy zbiornikach masy, piętnaście kilometrów w stronę rufy. Chyba nigdy tam nie kwaterowałam, po szkoleniach nigdy się tam nawet nie zapuściłam. Wyciągnęłam spis inwentarza.

W C4B nie ma żadnego Elona Moralesa.

Poszerzyłam wyszukiwanie: Elonie Morales, jeśli jesteś na pokładzie, twoja trumna proszona jest o zgłoszenie się do recepcji.

Nic.

Może Park źle zapisał nazwisko. Nie mogłam się o to czepiać – sama zapomniałam je kompletnie.

Elan, Eylon, Eilon, Morales, Morrales, Maroles.

Nic.

Czy ja go sobie wyobraziłam? Źle pamiętałam, że mówił, że oboje wylatujemy na *Eri*?

Zamierzchłe historyczne archiwa. Wszyscy Diasporanie, wszędzie. Elon, stary druhu? Halo?

Bez odpowiedzi.

Kurwa.

No, ale: miałam to przed nosem. Elon Morales. Miałam przed nosem: C4B.

Zawołałam sobie karalucha.

* * *

Z tą kryptą coś było nie tak.

Nie od razu doszłam co takiego. Światła zapaliły się po wejściu, dokładnie tak, jak powinny. Po obu stronach, od podłogi po strop, w swoich spłaszczonych plastrach miodu drzemały sarkofagi – a mrugające na wezglówiach ikonki nie sygnalizowały niczego nadzwyczajnego. Żuraw wisiał nieruchomo na swojej szynie pod stropem, martwy bardziej niż moi towarzysze podróży, póki coś go nie obudzi i nie ożywi – za pięćdziesiąt lat albo za pięćdziesiąt tysięcy. Pomiędzy rzędami stał prostopadłościenny postument, przeciwieństwo stołu sekcyjnego – wielkie gniazdo, do którego wtykało się trumny Urodzonych Na Nowo, aby zmartwychwstali. I te durne łuki wzdłuż całej komory, takie same we wszystkich kryptach w całej flocie – nie pełniły żadnej oczywistej funkcji konstrukcyjnej, ale ktoś u zarania czasu zdecydował, że wskrzeszanie nieumarłych wymaga pewnej dozy – czci, szacunku, czy czegoś tam. A ktoś inny uznał, że sprawę załatwi coś kojarzącego się ze starożytnymi katedrami.

Co dziwne jednak to działa. Nigdy nie słyszałam, by w krypcie, obojętne której, ktoś odzywał się inaczej niż szeptem.

Ale to nie o to chodziło.

Przeszłam się środkiem, mając skrzynki z *mięsuchami* po obu

stronach. W powietrzu wisiła delikatna woń gliceryny i siarkowodoru, może nawet nieznaczny powiew zepsutego mięsa – może któraś ze spor zmarła w hibernacji i teraz gnije między gwiazdami. A może to moja wyobraźnia.

A może Elon.

Przedemną ukazał się przeciwległy koniec komory – ściana z bursztynowej żywicy, typowa półprzezroczysta, półelastyczna powierzchnia kryjąca pod spodem goły bazalt. Nigdy nie byłam w stanie dojść, po co ją wszędzie położono – dla celów strukturalnych czy tylko estetycznych.

Przycisnęłam do niej dłoń. Ugięła się odrobinę jak twarda guma.

Obejrzałam się za siebie – poza zamrożone towary, uspiętego żurawia i jego szynę u góry; poza średniowieczne łuki i postument wskrzesielski, aż po właz w odległej grodzi.

Wydał mi się jakiś zbyt wyraźny, ten właz. Wszystkie inne krypty, w których kiedykolwiek spałam, wydawały się nieskończone, kiedy powracałam z martwych. Koniec, w realnej czy wyobrażonej oddali, zawsze spowijała mgła. Ciągnęły się w nieskończoność.

Za małą, pomyślałam.

– Słucham? – zapytał znikąd Szymp. Zewsząd.

– Nic, nic. Nieważne. – Nie wiedziałam, że odzywam się na głos. Zaczęłam się zastanawiać, jak często mi się to zdarza.

A potem... czy to ważne. W każdym razie niespodziewanie.

– Co jest za tą ścianą?

– Tylko skała – odpowiedział Szymp.

Do najbliższego Składu miałam niecałe pięćset metrów. Prawie nie opłacało się jechać karaluchem. Ale i tak pojechałam, nie dla oszczędności czasu, ale żeby nie iść pieszo z powrotem, obciążona sprzętem. Parę tych małych, kumulacyjnych ładunków, którymi Ghora badał niewykreślone na mapach rubieże *Eri*. Integrator sejsmiczny – tak naprawdę tylko zwój inteligentnego plastiku – do interpretowania tych ech. Palnik do cięcia z regulowaną ogniskową i uprzężą stabilizującą go jak kamerę filmową – o, to naprawdę ważyło swoje.

Szymp nie odzywał się, gdy rozwijałam integrator i przyklejałam go do ściany. Nie mówił nic, gdy pacnęłam na żywicę trzy ładunki, nic – gdy je zdetonowałam i gdy integrator przeliczył fale i wyrysował na ekranie kontur wielkiego pomieszczenia, którego nie ma na mapach.

W ogóle nie się odzywał, póki nie wyciągnęłam palnika.

– Sunday, to chyba nie jest dobry pomysł.

Dopięłam szelki. Ustawiłam ogniskową.

– Naprawdę? Co, są tam jakieś kluczowe układy? Albo linie, które mogę przeciąć?

– Nie wiem – powiedział. A potem niespodziewanie: – Ja nie wiem, co może tam być.

– Ty nie wiesz. – Podpięłam się do najbliższego gniazdka. – I nie wydaje ci się to dziwne?

– Wydaje się.

Zrobiło mi się trochę niedobrze, nie wiem dlaczego. Przetknęłam ślinę, ścisnęłam palnik.

– No to się dowiemy.

Laser włączył się z buczeniem i trzaskiem. Żywica rozstępowała się jak otwierająca się rana, przypalona, skauteryzowana, dymiąca, polimer czerniał i zwijał się jak coś żywego. Szymp coś mówił, ale nie zwracałam na to uwagi, nie słuchałam go. Powłoka poddała się od razu, ściana za nim stawiała opór, uparta tłusto-szara, niechętna wiśniowa, wreszcie płynąca kroplami roztopionej bieli, które spływały trochę i zaraz z powrotem zastygały, tworząc własną bliznę na płycie grodzi. Podkręciłam prąd, sunęłam promieniem w górę, w górę, zjechałam na lewo. Smród palonych włosów drapał w gardło; skała i stal trzaskały, syczały i kreśliły na ścianie roztopione strugi, Szymp zaś głądził coś o Ryzyku i Wartości Oczekiwanej oraz o Zaletach Ostrożności.

Szymp, weź się odpiardol, myślałam, albo mówiłam, albo krzyczałam, sunąc palnikiem w bok, w dół. Ty może nie wiesz, co jest po drugiej stronie tej durnej ściany, ale ja chyba wiem, zresztą coś z tego musiałam faktycznie powiedzieć na głos, bo wtedy Szymp zamilkł, wycofał się i zadowolił się oglądaniem, jak tnę i palę i

krzyczę triumfalnie, gdy wielki kawał płyty w końcu się poddaje i wali w pokład jak kotwica, jak jakiś, kurwa, zabity smok, z wyprutymi rozżarzonymi do czerwoności, dymiącymi flakami. Chwilę trwało, zanim ostygły, zanim rozwiła się mgła i przez otwór, który wycięłam, zobaczyłam lśniące, wielkie ciemne kryształy.

Jakby to Ghora widział, pomyślałam, bo wiedziałam, jaki byłby dumny.

Odkryłam Wyspę Wielkanocną.

* * *

– No – powiedziałam.

Kiedy przebiłam ścianę, zapaliły się światła – pewnie jakiś autonomiczny odruch poza świadomą kontrolą Szypa. Kopie zapasowe leżały w równych rzędach, solidne atrapy rur i kabli znikwały w półmroku pod sklepieniami i łukami. Niektóre były mniejsze od mojej dłoni, inne wznosiły się tam, gdzie nie sięgało światło, znikwały we mgle i mroku niczym kryształowe góry. Tu i ówdzie dostrzegałam coś znajomego – pofalowaną płytę wymiennika przeciwprądowego, albo napęd karalucha, dwa razy większy od normalnego – lecz większość tych rzeźb stanowiła dla mnie abstrakcyjne kształty.

– Tak się właśnie zastanawiałam, gdzie one trafiły.

Szyp nie mówił nic.

– Czy to jest wszystko? – Bo odgradzona ścianą część krypty wydawała się trochę za małą, żeby wszystko pomieścić.

– Nie wiem – odpowiedział Szyp.

– Ty nie wiesz? To ty je tu przeniosłeś.

– Tego też nie wiem.

– Mówisz, że to był ktoś z nas? Może Kai, albo Ellin ustawili sobie budzik terasek wcześniej niż normalnie, żeby wszystko tu przenieść, ale po co? Żeby się bawić w poszukiwaczy?

– Najprawdopodobniej to byłem ja – przyznał. – Ale tego nie pamiętam.

– Nie pamiętam.

– Sunday, moją pamięć edytuje się łatwiej niż twoją.

– Albo możesz kłamać.

Choć raczej nie. To był zapewne kolejny aktywowany z opóźnieniem numer Kontroli Naziemnej, żeby zminimalizować szansę, że Szypm przypadkiem zdradzi lepszym od siebie jakieś krytyczne tajemnice misji. Równie dobrze od pierwszego dnia mógł posłusznie zapominać o swoich własnych działaniach.

– To gdzie jest Elon? – zapytałam po chwili.

– Nie wiem kto to.

– Elon Morales. Pan Tarantula. – Zawahałam się. – Zresztą, gdzie są wszyscy? Gdzie ich przeniosłeś?

– Sunday – przypomniał mi łagodnie. – Ja nic nie wiem, że coś takiego robiłem.

– Bo jeśli nie wryłeś w innym miejscu nowej krypty...

– Nie wryłem.

Przywołałam mapę. Żadnych nowych obiektów. Oczywiście i tego archiwum wcześniej na niej nie było, póki pięć minut temu Szypm jej nie zaktualizował.

– Może po prostu zapomniałeś – podsunęłam.

– To mało prawdopodobne. Sensowniej byłoby wycofać trumny z użytku.

– A może ty... Zaraz, co powiedziałaś?

– „To mało prawdopodobne. Sensowniej byłoby...”.

– Jak to „wycofać trumny z użytku”?

– Zrecyklować je do zbiorników materii.

– No tak, ale co z ludźmi?

– Recykling ludzkich szczątków idzie całkiem inną ścieżką.

– Nie mówisz chyba, że oni nie żyją. – Oczywiście, że tego nie mówił. Nie zrobiłby czegoś takiego.

– Mówiłem hipotetycznie – powiedział Szypm. – Odpowiadałem na twoje pytanie.

– Ja nie pytałam hipotetycznie. Ja chcę wiedzieć, co się stało z konkretnymi ludźmi w trumnach, które wycofałeś z użytku.

– To jest hipotetyczne pytanie. Ja nic nie wiem, żeby trumny były

wycofane.

– Szymp. Co się stało z tymi ludźmi?

Nie powiedział nic. Całkiem jakby za późno do niego dotarło, że przekroczył pewną linię, i teraz pośpiesznie analizował scenariusze wycofania się z powrotem.

– Zabiłeś ich. – Zachwycałam się przez chwilę, jakim spokojnym tonem mówię. – Kurwa mać, powiedz mi, że ich nie zabiłeś.

– Ja nie wiem.

– Ale to by było logiczne, prawda? Zabić ich?

– Ja nie...

– Szymp, hipotetycznie. Jaka jest wartość ludzkiego życia w tym momencie misji?

– Sunday, to bardzo skomplikowana funkcja użyteczności. Trudno byłoby ją opisać słowami.

– To są ilorazy, prawda? Załoga na oczekiwany czas trwania misji. Koszty utrzymania na wartość dodaną. Mięso na megasekundę. Jeśli się myślę, to mi przerwij.

Nie przerwał.

– Im dłużej lecimy, tym krótszy jest pozostały czas misji. Współczynnik mięsa na czas misji cały czas rośnie, chyba że giniemy zgodnie z harmonogramem. A beczelnie tego nie robimy. Każdy korsek, podczas którego nikt nie wypadnie za służbę, albo nie zgniecie go napęd, zmniejsza naszą wartość *per capita*. Domyślam się więc, że teraz jesteśmy warci mniej niż biblioteka kopii zapasowych, tak? Bo w tej misji nie chodzi o ludzi. I nigdy nie chodziło. Jedyna nasza użyteczność to taka, że przydajemy się do budowania tych pieprzonych bramek.

No, pod koniec już ton nie był taki spokojny.

– Nie przerwałeś mi.

Kryształowe rzeźby lśniły z zadowoleniem w swoich nieskończonych rzędach.

– Ile, Szymp? Ilu ludzi wyrzuciłeś za służbę, spaliłeś, albo... albo po prostu wyłączyłeś, żeby rozpadli się na proch?

– Nic nie pamiętam, żeby...

– To powiedz, kurwa, hipotetycznie! W tym jesteś świetny! Ilu ludzi się tu mieściło, zanim ich wycofałeś z użytku, a sobie wymazałeś poczucie winy?

– Dokładnie nie umiem obliczyć – odpowiedział po chwili. – Około trzech tysięcy.

– Ty skurwysynu. Ty zła maszyno.

– Sunday, ja nie rozumiem, dlaczego to ma coś zmieniać.

– To jesteś debilem.

– Każdy, kto zginie podczas misji, spodziewa się, że zginie podczas misji. Wszyscy wiedzieliście, że najprawdopodobniej spędzicie tutaj całe życie. Wiedzieliście, że najprawdopodobniej tutaj umrzecie. Wiedzieliście, wchodząc, jaka jest śmiertelność – choć naprawdę była przeszacowana, co znaczy, że średnio żyjecie dłużej, niż zakładano. Nawet po relokacji archiwum jesteście lepsi niż tendencja centralna.

Czyli mówisz, że dalej mamy nadmiar mięsa.

– Wycofanie z użytku nastąpiłoby podczas hibernacji. Nikt by nie cierpiał. To najlepszy możliwy scenariusz dla ludzi biorących udział w tego typu misji.

– Nikt by nie cierpiał? Pozabijałeś naszych przyjaciół, ludzi, których być może znałam od zawsze! Myślisz, że to dla nas nieistotne?

– Najprawdopodobniej wycofane z użytku zostałyby całe szczepy. W żadnym momencie misji nie byłyby na pokładzie razem z osobami, które przeżyły. Nikt nie odczułby straty, nikt by za nikim nie tęsknił.

– Elon Morales – wysyczałam przez zaciśnięte zęby.

– Nawet nie mogłaś sobie przypomnieć jego nazwiska. – Przysięgam, że w głosie skurwiela zabrzmiał wyrzut.

Ukryłam twarz w dłoniach.

Ile mi to czasu zajęło? Ile milionów lat nie widziałam, jaki on jest naprawdę? Przecież on tego, kurwa, nawet nie ukrywał.

Byłam ślepa od dnia wylotu.

– Sunday...

– Zamknij się! Bądź, kurwa, cicho i daj mi spokój!

Nie wiem, ile czasu potrzebowałam, żeby mieć coś jeszcze do dodania. Całkiem jakby ktoś inny gadał za mnie.

– No wiesz, Szymp, kiedyś nawet patrzyłam, jak tańczysz.

– Przykro mi – odrzekł. – Ja tego też nie pamiętam.

* * *

Nie kładłam się do krypty przez sześć dni. Prawie nie spałam, kryłam się w zakamarkach, zamalowywałam kamery albo krzyczałam w puste korytarze. W końcu jednak on mnie uśpił. W końcu mu pozwoliłam.

Bo co miałam zrobić – odmówić położenia się do krypty z obawy, że ta maszyna zabije mnie we śnie? Łazić korytarzami, aż umrę ze starości? Spędzić resztę życia, grając w gry?

Nic się w końcu nie zmieniło. Wszystko było takie samo jak zawsze, z wyjątkiem łusek, które spadły mi z oczu. Poza tym Szymp obiecał, że mnie obudzi z powrotem.

Bo żadne z nas tak naprawdę nie miało wyboru.

Zbudził mnie, a ja nie chciałam z nim gadać, nawet do innych spor prawie się nie odzywałam. Robiłam, co do mnie należało. Nie wychylałam się. Myślałam o tym, kto jeszcze z załogi lubi muzykę.

Znów mnie uśpił.

Zbudził mnie, a ja spróbowałam mieć kolejną Miłą Chwilę, porozmawiać z moim starym przyjacielem, ale okazało się, że go nigdzie nie ma. To, co mnie przywitało w jego zastępstwie, okazało się zbieraniną kótek zębatych, bramek logicznych i ułożonych w warstwy neuronów. Przedtem była to dla mnie rozmowa – teraz widziałam, jak moje słowa wchodzą do systemu, są cięte i mieszane w rurkach i filtrach, siekane na części, składane z powrotem i podawane mi tak, by udawały coś nowego.

Znów mnie uśpił.

W końcu sobie przypominałam – to nie była wina Szypa, nie mogła być. Nie można kogoś winić za to, jak jest zaprogramowany. To siły, nad którymi nie miał władzy, zmusiły go do pociągnięcia za cyngiel. Może był ofiarą w takim samym stopniu, co Elon Morales.

Uśpił mnie.

Obudził mnie, a do mnie dotarło, że może kolejnego razu już nie będzie – wycofany z użytku to wycofany z użytku, martwy to martwy i ani jedno, ani drugie nie zmienia się, obojętne, czy winić za to pistolet, czy strzelającego. Próbowałam porównać misję, w którą wierzyłam całym swoim sercem, z kosztem jej sukcesu.

Uśpił mnie, być może po raz ostatni.

Obudził mnie.

Przeżywałam żalobę po stracie przyjaciela. Nienawidziłam się za to, że jestem aż tak głupia, by to w ten sposób postrzegać. Patrzyłam, jak inne mięsuchy wstają i się kładą, wstają i się kładą; patrzyłam, jak prąd płynie przez układy, gdy mięso jest na chodzie, i jak spada napięcie, kiedy jest wyłączone. Przespałam się z tą myślą tysiąc lat, a nieliczne dni na jawie poświęciłam na porównywanie sumy z jej składnikami.

Położyłam się po kolejnej budowie, wysprzątałam swoją kabinę, popakowałam próżniowo rzeczy. Znalazłam chwilę czasu, by poredagować ostatnie nuty Parka, zmieniałam kilka tych niechlujnych ósemek, dopisałam parę swoich i zostawiłam kopię w mesie.

Doron dobrze mówił. Melodia wcale nie była taka zła, jeśli ją trochę podrasować.

Las Birnamski

Kiedy nie żyjesz, śni ci się tylko to, co ci powie Szyp.

To nie telepatia. Szyp nie czyta ci w myślach. Ale podsuwa dźwięki, obrazy. Przesyła do mózgu liczby, szybciej, niż dałoby się je po jaskiniowemu wypowiedzieć. Zawieszony w pustce iskrzysz, po stuleciach mroku wynurzasz się na światło i te fragmenty... po prostu ci się pojawiają. Małe ziarenka idei. Z początku w rozsypce, bo i ty jesteś w rozsypce. Ale kiedy dochodzisz do siebie, krystalizuje się i opowieść, a kiedy otwierasz oczy i odsuwasz z grobu kamień, okazuje się, że nikt nie powiedział słowa, a jednak wyśniłeś sobie całą odprawę do misji.

Tym razem śnił mi się potwór w piwnicy.

Szyp nie wiedział, co to takiego. Stracił kontakt z botem, który sprawdzał jakieś nieoczekiwane skoki poziomu tlenu na Pochylej Polanie. Zanim sygnał zanikł, bot zdążył wykaszleć parę zdjęć – niewyraźnych, dziwnych purchli w podczerwieni, które nie odpowiadały liściom niczego, co powinno było tam rosnąć.

Jeden milczący bot to nic dziwnego, zwłaszcza tak blisko napędu – tam widmo zamulają najrozmaitsze gradienty elektromagnetyczne i pełno jest martwych punktów i zakłóceń. Szyp odczekał, aż skończy obchód i wyłoni się z cienia, a kiedy to się nie stało, posłał drugiego bota, żeby tamtego wyciągnął.

I ten drugi też zniknął.

Ostatnią deską ratunku był bot na uwięzi – ale linka mogła zaplątać się w tym czarnym, połyskującym poszyciu. Szyp wykosztował się więc na garść przekaźników, małych stróżujących kulek, które następny bot zostawiał za sobą niczym unoszące się w powietrzu koraliki. Każda skrupulatnie pilnowała widoczności z poprzednią i następną, w przód i w tył, a gadały ze sobą laserem odpornym na zakłócenia elektromagnetyczne.

Trzy boty mniej. Wtedy Szypmp zrobił sobie przerwę na analizę korzyści. Mógł eskalować dalej prostą strategię, która jak dotąd nie sprawdzała się, albo rzucić ręcznik i pozwolić, żeby biało zrobiło to, po co je wzięto na pokład. Rozmroził zatem dwójkę ludzi – Dao Lee i Kaden Bridges, wnosząc po logach – i posłał ich tam.

Nie znałam ich.

* * *

– To było pięćdziesiąt kiloseków temu. – Głos Szypmpa był nastawiony na symulację zaniepokojenia. Jak widać, dwoje ludzi to tragedia.

Trzy tysiące to funkcja użyteczności.

– I żadnego sygnału. Zero telemetrii.

– Jak dotąd.

– Chyba ja tam muszę pójść – powiedziałam w końcu.

– Lepiej nie idź sama. – Celowa i przymilna pauza, na pewno wybrana z banku takich manier, zapisanych pod hasłem *Zarządzanie mięsuchami*. – Zgodzę się na każdą decyzję, która nie naraża cię na nadmierne niebezpieczeństwo.

Jakby nie był w stanie jednego zdania wypowiedzieć, żeby nie ociekało morderczą ironią.

– Sunday?

Już odechciało mi się śmiać. Poczułam natomiast pustkę i delikatne mdłości.

Westchnęłam.

– Pójdę tam z botem na uwięzi. Bot załatwi problem z utratą sygnału, a ja uwolnię jego kabel, jeśli się o coś zaczepi. Dao i Kaden byli uzbrojeni?

– Nie.

– Ja będę.

– Wyfabrykuję ci odpowiednią broń.

– Nie trzeba, wezmę sobie palnik z Magazynów.

– Nie. W tych okolicznościach laser mógłby być mało selektywny.

Ty potworze, pomyślałam. Ty pierdolony masowy morderco. Ty

oszuście. Ty hochsztaplerze.

Ty bezradna machino. Ty niewinna marionetko.

Ty fałszywy przyjacielu.

– Sunday – powiedział znowu, jak zawsze, kiedy moje milczenie przekroczyło jakąś progową długość.

– Co?

– Masz szansę uratować swoich przyjaciół.

Miałam ochotę się rozwrzeszczyć. Albo w coś walnąć, wszystko jedno w co, byle z całej siły. Może to nawet zrobiłam.

Jeśli tak, Szyp nie skomentował tego ani słowem.

* * *

Dał mi maczetę – ceramiczne ostrze, monomolekularna krawędź, w rękojeści elastomotor, który wibrował ostrzem i zamieniał coś, co było zaledwie ostre jak brzytwa, w coś, co mogło przy znikomym wysiłku gładko przejść przez metal.

Botowi zaś dał impulsowy trzydziestomegawatowy laser na swobodnych elektronach.

Nie dało się kłócić z tą logiką. Polana graniczyła z obwodami, które przewodziły ogromne energie. Broń promieniowa w rękach spanikowanego człowieka mogłaby wyrządzić ogromne szkody. Już lepiej niech ją trzyma coś, co nie ma układu limbicznego, coś, co ma refleks bliższy prędkości światła. Mnie Szyp wyposażył tylko do samoobrony na krótki dystans, botowi powierzył broń o większym zasięgu.

Czekaliśmy więc, stojąc obok siebie – ja wbiłam stopy w pochyły pokład, bot unosił się dokładnie 1,8 metra ponad nim – aż Szyp otworzy drzwi do lochów.

Światła w korytarzu przygały do poziomu odpowiadającego Polanie, choć szybka na moich oczach wzmacniała go z powrotem do jasnego dnia. Nie było to właściwie konieczne – w Polanie lumenów było, owszem, mało, ale spokojnie wystarczało, żeby się poruszać – lecz Szyp nie zamierzał poprzestać na ciemnym obrazie w odcieniach szarości. Chciał mieć szczegóły.

Drzwi rozsunęły się. Było tam o wiele za ciemno. Coś się poruszyło, wijącym ruchem, tuż poza polem widzenia.

– Widzisz to?

– Tak – powiedział bot.

– Pewnie nie wiesz, co to takiego?

– Nie wiem.

Lufa bota powiodła tam i z powrotem i w nic nie wycelowwała.

Niezbyt wiele widziałam – czerni roztapiająca się w czerni. Za dużo tej cholernej czerni, te rzadkie gwiazdy serwowały o wiele za mało światła, żeby las mógł być zdrowy.

Zrobiłam krok naprzód. Zgasła połowa gwiazd. Pojawiły się inne. Zubożałe konstelacje mrugały, zasłaniane i odsłaniane, gdy się poruszałam.

Czyli tu się wciąż paliły światła, po prostu pod nimi było tak zarośnięte.

Tym razem to nie był przyjemny azyl, żadnej chłodnej bryzy dla odświeżenia płuc. Tutaj powietrze było ciężkie jak olej. W ciemności czały się pędy i cierniste gałęzie, porozciągane w poprzek kładki, jakby jakiś olbrzymi pająk dostał świra i napłócił czarnych nici bez ładu i składu.

Moje gogle podkręcały czerni do szarości – widziałam wystarczająco dobrze, by móc przecinać co drobniejsze pędy, gdy znalazły się na mojej drodze – i wystarczająco dobrze, by widzieć, że te grubsze powoli, pełzająco cofają się, gdy podchodzę.

Obejrzałam się za siebie. Krawędzie włazu, przez który weszłam, obramowywał łagodny biały blask, zaokrąglony prostokąt światła mający prowadzić mnie z powrotem. Od jego podstawy odchodził chodnik, cały pożytkowany pełzającymi czarnymi mackami.

Byłam pewna, że nie widziałam ich, kiedy tamtędy przechodziłam.

– Rośliny się nie ruszają – powiedziałam cicho.

– Niektóre tak.

– Ale te – powiedziałam mu – nie powinny.

– Tego nie wiem. Nie ma ich w katalogu.

* * *

Chodnik skręcił łagodnie w prawo. Coraz silniejsza grawitacja delikatnie rozmazywała się w moim uchu wewnętrznym. Bot Szypa polatywał za mną niczym wierny pies (pamiętam je, nawet z prawdziwego życia). Jego pępowina rozwijała się za nim w cuchnącym powietrzu, cienka jak pajęczna nić i dziesięć razy mocniejsza. BUD mi migotał, zanim dotarłam do znajomego rozwidlenia ścieżek.

Nie byłam tu od czasu tego ataku furii Lian. Naprawdę coś się tu poważnie posypało.

Las wciąż stał. To już było coś. Kościste drzewa nadal splatały się w wysokie łuki, ich bulwy świeciły jak dawniej, trzymane w szkieletowych dłoniach. Tyle że coś je dławiło. Wokół gałęzi gęsto owijały się włókniste liany, miejscami tak gęsto, że nie było widać pni. Aż wydało mi się, że niektóre wręcz zaciskają się w półmroku. Ale może to była tylko gra lumenów i cieni.

Jakoś w ciągu ostatnich paru metrów BUD mi zdechł. Prawie tego nie zauważyłam.

Miejmy nadzieję, że to tylko jakiś epifit, rodzaj pasożyta, który owija się wokół pni, ale ich nie przerasta. Może po prostu da się usunąć tę narośl, nie niszcząc drzew?

Sięgnęłam do paska po sprzęt do biopsji i odwróciłam się do bota.

– Teraz będę...

Bot zatrząsł się, stracił wysokość, chwilę później zakręcił mocniej wirnikami i ją odzyskał. Rozejrzałam się, z igłą w jednej ręce i buczącą maczetą w drugiej. Skorupa bota iskrzyła się od wzmacnianych przez gogle fotonów.

– Co się dzieje?

– Stracił efekt przypowierzchniowy – zameldował Szyp. – Pokrycie kładki musi być tam zdemontowane.

– „Musi być”? To ty tego bezpośrednio nie widzisz?

Chwila ciszy.

– Nie.

Może to jakieś bioelektryczne zakłócenia z tych zarośli, a może

jakaś zbuntowana macka przerosła jakieś złącze i zrobiła zwarcie. Kładka-chodnik i tak już się kończyła – przed sobą miałam schody prowadzące w dół ku gołej skale. Większość lasu była celowo nieucywilizowana.

Zajrzałam w głąb roślinności. Dalekie, poszarpane świetlne mozaiki, analucyferyna przezierająca przez szpary w listowiu.

– Jakies ślady Kaden czy Dao? – zapytałam.

– Nie – odparł Szymp.

– A botów? – Nawet odłączone powinny pewnie nadawać jakąś sygnaturę, nie?

– Nie.

Zrobiłam krok w stronę schodów. Bot posunął się naprzód o parę centymetrów i zatrzymał się jak wryty, kołyszając się delikatnie w powietrzu.

– Kabel się zablokował.

Odwróciłam się.

Z tej odległości częściowo zasłonięte wejście wyglądało jak dwa świetlne myślniki. Pępowina drona była mocno napięta, po cięciwie względem krzywizny chodnika. Musiała się zaplątać o coś poza ścieżką.

Wróciłam tą samą drogą, marionetka Szympa na posterunku u mego boku zwijała kabel do wewnątrz, żeby cały czas był napięty i już nigdzie się nie plątał. Ramka dalekiego wjazdu to ukazywała się, to wchodziła w częściowe zaćmienie.

– Szymp? Jakies ruchy między mną a wejściem?

Bez odpowiedzi.

– Szymp?

Obejrzałam się przez ramię. Bot trząśł się, jakby bał się ciemności. Coś otarło mi się o prawe ucho. Koniec odciętej pępowiny. Przemknął i zniknął w brzuchu maszyny. Coś delikatnie tam zawyło.

– Szym...

Biały szum na szybko gogli. Nagle coś zaćwierkało – to bot usiłuje namierzyć cel, dotarło do mnie w chwili stuprocentowej, idealnej paniki, po czym on odbił mi się od piersi i oboje padliśmy na pokład.

Coś chwyciło mnie za nogę, zacisnęło się, przebiło skórę i wbiło się głębiej. Wrzasnęłam i zaszamotałam się. Ciągnęło mnie. Zamachnęłam się na oślepa, trafiłam w uszkodzonego bota. Zaiskrzył, plunął i spadł gdzieś dalej. Uderzyłam głową w mijaną belkę czy szynę, zdarłam z twarzy bezużyteczną szybkę gogli, przeskoczyłam z białego szumu w smolistą czern.

Kolejne uderzenia w głowę. Zsunęłam się po schodach na kamienie, wygięłam się, sięgnęłam naprzód i spróbowałam się uwolnić. Chwyciłam coś pulsującego, co ukłuło mnie we wnętrze dłoni. Cofnąłam ją, zobaczyłam w słabym świetle przesączającym się spomiędzy drzew czarną krew na szarym tle. W coraz jaśniejszym świetle.

Tutaj wszędzie płonęły świecące bulwy, zbyt oślepiające jak na robaczki świętojańskie. Pociągnęło mnie na sam środek większego ich skupiska, oazy światła w rozedrganej, klaustrofobicznej ciemności. Widziałam teraz, co mnie trzyma – wyglądało jak włóknista plecionka, nawet w świetle tak ciemna, że trzeba było wytężyć wzrok, aby dostrzec coś więcej niż sylwetkę. Usiane kolcami wielkości zębów karnozaura. Jeden miałam głęboko wbity w łydkę. Poruszyła się. Wrzasnęłam.

Puściła mnie.

Nie tylko puściła, wręcz odskoczyła ode mnie – rozwinęła się gwałtownie i opadła w konwulsjach na leśne podłoże. Zobaczyłam jej kikut, odcięty od jakiegoś centrum dowodzenia, w przedśmiertnych skurczach chlapiący na skałę i pnie sokiem, przejrzystym i lepkim jak gliceryna.

Kolejny poruszający się ciemny kształt. Ten chodził na dwóch nogach, przeszedł przez podrygującą monstrum-lianę, z bucującym ostrzem u boku. Za tym kształtem zamajaczyły kolejne.

Weszły w światło. Maczeta spadła ze szczękiem na skałę, w zasięgu mojej ręki.

– Twoja? – zapytała Lian.

* * *

Ona żyje. Żyje.

Nadal ciemno. Świejące bąble wisały ze wszystkich stron jak srebrne owoce, zalewając las słabym światłem, lecz żaden nie trafiał swym blaskiem prosto w jej twarz. Lian stała nade mną, zbiorowisko ostrych kątów i cieni w bioluminescencyjnej aureoli. Po bokach i dwa kroki z tyłu stało czterech... Pomocników? Pachołków? Wydało mi się, że rozpoznaję Dao z dwoma nieznanymi po jej lewej stronie, a po prawej Kaden, samo.

Nikt z nich się nie odezwał, nikt się nie poruszył.

– Zastanawiałam się, czy ty... – Od czasu Dorona i jego cudacznego gadania. Ale to było tylko w głowie, w sercu nigdy tego nie poczułam.

– I proszę, jestem – odpowiedziała Lian.

Odcięta liana drgnęła słabiutko na ziemi.

Żyje.

– Szymp?

– Myśli, że wypadłam za burtę. – Drobnym uśmiechem, który wyczułam raczej w głosie.

– Ja też tak myślałam. I Kai, i... – Podparłam się na łokciach. Noga złożyła protest. – Jezus, Li, jak się cieszę, że cię widzę.

– Ja też się cieszę.

Objęłabym ją, gdybym tylko mogła wstać.

– Jak ty to zrobiłaś?

– Sfingowałam wypadek. Sfajczyłam parę kamer, parę czujników. I odczekałam odpowiednio długo, żeby móc tu wrócić.

– To teraz tu mieszkasz?

– Poruszamy się po statku, pomiędzy ślepyimi plamkami. Budujemy kolejne. Unikamy botów.

– A złącza korowe?

– Sfajczyliśmy je. Zogniskowane mikrofałe.

Wzdrygnęłam się.

– A jak wy... to znaczy, ile czasu... – Policzyłam sobie coś w pamięci, informacja od Kaia, ile czasu odtąd upłynęło. – Jesteś tutaj od dziewięciu tysięcy lat...

– Blżej dziesięciu.

– Czyli macie trumny.

Kiwnęła głową.

– Do których nie jest podpięty Szymp.

– Inaczej to by nie miało sensu.

– Jak?

– Sunday. – Jej ramiona uniosły się i opadły. – Mieliśmy trzy tysiące sztuk do wyboru.

„Skąd wiedziałaś?” – chciałam zapytać. „Skąd wiedziałaś, skoro ja nie wiedziałam?”.

Podciągnęłam się do pozycji siedzącej, ostrożnie dotknęłam dziury w nodze. Piekła jak cholera, ale wyglądała tylko na powierzchowną ranę. Rozejrzałam się po morderczym lesie.

– I to wszystko urządziliście.

Musiałam przyznać, że to było sprytne posunięcie. Przez większość czasu *Eriophora* to wcielenie pustki, a jej nieskazitelnej atmosfery nie bruka nic oprócz powolnej fotosyntezy w genżynieryjnych roślinach. Nawet jeden człowiek, aktywny poza wachtą, zostawiłby na tym dziewiczym tle drobne, ale wyraźnie widoczne ślady. Tu jednak – pod osłoną tego szalejącego metabolizmu – dałoby się pewnie ukryć oddychanie małej armii ludzi.

– Naprawdę to tylko zaczęliśmy – odparła Lian. – Podnieśliśmy kilka parametrów, zostawiliśmy, żeby się kręciło, kiedy śpimy. Właściwie to szkoda, że nie mieliśmy twojej pomocy, bo moje umiejętności inżynierskie na organikę się średnio przetwarzają. Parę błędów było. Na samym początku pnącza zrobiły się trochę niegrzeczne.

– Dalej są.

– To jeszcze nie jest skończone.

– Ale nie zatrzyma Szympa na zawsze.

– Nie – powiedziała Lian. – Ty zatrzymasz.

Przez chwilę się nie odzywałam.

Potem:

– A jak właściwie?

Nie miała trudności z odczytaniem mojej twarzy.

– Ty jesteś od mielenia mięsa.

– Od inżynierii ewolucyjnej.

– No właśnie, więc możesz mu to sprzedać. Damy ci specyfikację, dość szczegółów, żeby ten chujek nam tu nie włąził.

– Na ile czasu?

– Na tyle, ile potrzeba. Dam ci nawet uratowanego człowieka, żebyś mogła ogłosić sukces misji.

– Tylko jednego?

– Dao zostaje ze mną. Kolejna ofiara niefortunnego wypadku. Tak rośniemy w siłę. – Objęła gestem swoją świętę. – Nie zauważyłaś tego wzrostu wypadków śmiertelnych w ciągu ostatnich paru giga?

– Nie patrzyłam – przyznałam. – Li... to jest obłąd.

– Tak powiedziałaś ostatnim razem. Ale jednak jesteś tu.

Oczy błysnęły jej w cieniu. Zachowywała się, nosiła się zupełnie inaczej niż wcześniej.

– Nawet jeśli uda wam się pozostać w ukryciu, to co wy stąd zrobicie? Zabijecie Szypma?

– W końcu pewnie tak.

– Nawet nie wiemy, gdzie się aktualnie znajduje hipernadzorca. Nie znamy wszystkich miejsc, w których mógłby być. A jeśli naprawdę ci się poszczęści i go zabijesz, to kolejny wystartuje, zanim zdążysz splunąć.

– Oj, Sunday – powiedziała łagodnie Lian. – Gdybym nie wiedziała lepiej, to zaczęłabym się zastanawiać, czy ty się w tym do końca orientujesz.

Spróbowałam luźniejszego podejścia.

– To Levi pewnie niepotrzebnie wysyłał mi zaproszenie.

– Wyboru mu nie dałaś. Tak jak on to opowiadał, to już miałaś nas wszystkich wysypać.

– Ale nie zrobiłam tego.

– Nie – powiedziała. – Nie zrobiłaś.

– Wiedziałaś, że tego nie zrobię. – Skądś jednak wiedziała. – No wiesz, to zaproszenie było bardzo konkretne. Konkretnie dla mnie.

– Było dla ciebie, ale pewnego dnia. Kiedy będziemy już mieli pewność. A ty zmusiłaś nas do tego ruchu.

– Ale i tak.

– Oczywiście, że było dla ciebie. Jesteś moją przyjaciółką.

Jej przyjaciółką. Przypomniałam sobie Jednorożca. Przypomniałam sobie srebrnego potwora. I tę samą polanę, eony temu.

Nie za dobrą przyjaciółką.

Może tym razem bardziej się postaram.

Zaczęłam:

– A jak ty właściwie chcesz to osiągnąć?

– A zobaczysz.

– Wszyscy będą mogli pokibicować? Obudzisz trzydzieści tysięcy ludzi...

– Dwadzieścia siedem.

– ...po kolej, przemycisz ich wszystkich tutaj, opowiesz, jaki jest plan? Będziemy mogli zagłosować?

– To by trwało w nieskończoność. My już czekaliśmy nieskończoność.

– Czyli podejmujesz tę decyzję za wszystkich. Jednostronnie.

– Nie jestem tu przecież sama.

– Ale do kworum to temu daleko. Nawet gdyby było... Lian, to tylko jeden szczep. Jeden z sześciuset.

– Ktoś musi tę decyzję podjąć.

– To w czym ty... w czym my jesteśmy lepsi od Szypa?

– Proste. Szyp wycofa cię z użycia, jak tylko twoja funkcja użyteczności za bardzo spadnie. A ja próbuję zachować wszystkich przy życiu. – Odcienie czerni przesunęły się po jej twarzy. – To teraz ty, Sunday. Po co tu przyszłaś?

– Wściekła wendeta mnie nie interesuje, jeśli o to pytasz.

– Wściekłej wendety to ja już mam, kurwa, tyle, że na całą armię by starczyło. Odpowiedz na pytanie.

Nigdy w życiu nie widziałam jej takiej pewnej siebie. Ile wacht była na chodzie, kiedy ja spałam? Ile dwutygodniowych budów i tajnych wskrzeszeń potrzeba, żeby wyhodować sobie taki kręgosłup?

– Czekam.

– Bo... – zaczęłam i urwałam. – Bo miałaś do wyboru trzy tysiące trumien. – Zabrzmiało mi to jak przyznanie się do winy. Jak zdrada.

Jej twarz wyłoniła się na światło.

Zachwiałam się, wytrzeszczyłam oczy. Prawie zapomniałam o nodze, która na nowo zaczęła się skarżyć.

– Coś nie tak? – Uśmiech pogłębił bruzdy na jej twarzy.

– Stara jesteś – powiedziałam łagodnie.

– Ktoś musiał odpracować trochę dodatkowych godzin. – Bojowy uśmiech. – Szymp sam się nie obali. A poza tym... – pochyliła się i podniosła z podłogi moją maczetę – ...biorąc pod uwagę to, jak często ten stwór przywołuje na pokład ciebie, to tak naprawdę jeszcze cię doganiam. – Zważyła maczetę w dłoni, ucięła kolec ze wciąż drgającej liany.

Zakryłam twarz dłonią.

– Au! Lian, pojebało cię? – Kaden ścisnęło prawą rękę w miejscu, gdzie Lian dźgnęła ją odciętym kolcem.

Ukłuła je po raz kolejny, tym razem w udo. Kaden zawyło i padło. Dao zrobił krok naprzód. Jego anioł stróż położył mu dłoń na ramieniu. Uspokoił się.

– Przepraszam, dziecko. Trochę wiarygodności. – Lian odwróciła się i oddała mi maczetę. – Teraz musimy uzgodnić zeznanie.

Dopiero teraz zauważyłam, że postacie po obu stronach Dao stały odrobinę za blisko, że nie tyle czaiły się w mroku, ile czaiły się za nim. I jak bardzo nagle Dao znieruchomiał.

Dopiero teraz zaczęło to do mnie docierać.

Lian Wei już przestała potrzebować przyjaciół.

* * *

Poprowadziłam Kaden do wyjścia, jego zdrowe ramię owinięte wokół mojego ramienia, a nasze zdrowe nogi niosące nasze uszkodzone. Rany Kaden sięgały głębiej niż moje – syczało, zaciskało zęby z każdym krokiem, gdy kuśtykaliśmy w ciemność. Osobliwość *Eri*, niedaleko pod spodem, dodatkowo obciążała każdy krok.

- Zmieniła się – powiedziałam.
- Musiała – wycodziło przez zaciśnięte zęby. – Zorganizowała to wszystko, kiedy ty sypiałaś z wrogiem.
Pozwoliłam mu bardziej obciążyć nogę przy następnym kroku...
- Kurrrr...
- ...i podniosłam go z powrotem, gdy dotarło.
- Kaden, wszyscy sypiamy z wrogiem. Każdy, kto nie sypia, tysiąc budów temu już by nie żył.
- Skoro tak mówisz.
- To inspirujące, patrzeć, jakie miłe jesteś dla kogoś, komu brakowało paru centymetrów, żeby ci przeciąć tętnicę udową.
- Tak jak mówiła. Musimy mu to sprzedać. – Kaden zwróciło twarz do mnie. W ciemności równie dobrze mogła to być antena radaru. – Oby się nie myliła co do ciebie.
- Co do czego?
- Że ty się łatwo nie dajesz nawrócić. Ale jak już w coś wejdiesz, to na poważnie.
- Myślisz, że się myli?
- Myślę, że ma sto procent racji. Przyjaciół się trzymasz, co do tego nie ma wątpliwości. Może nawet po tym, jak okazują się masowymi mordercami – burknęło. – Zawsze byłaś ulubienicą Szypa. Nie mnie jednemu to się wydawało trochę niezdrowe.
- Ulubienica Szypa. Obracałam w głowie te słowa, gdy przystanęliśmy dla nabrania oddechu. Kiedy oni powiesili mi na szyi to czułe określenie?
- To czemu mnie w to ciągniecie?
- Minęły cztery budowy, a ty nie pisnęłaś ani słowa. Gdybyś miała nas sprzedać, dawno byś to zrobiła.
- Ruszyliśmy dalej naprzód. Właz wzywał nas z oddali, jego blask stopniowo coraz bardziej przesączał się przez zmutowaną roślinność.
- Przypomniałam sobie dwie spory i trzecią pośrodku.
- Ale Dao to nie do końca się na wszystko pisze, co?
- Jeszcze się przekona?

– A co, jeśli nie?

Kaden znów się zatrzymało. Odwróciło się do mnie.

– Lian ci ufa – powiedziało. – Nie mam pojęcia czemu, ale chyba musi mieć swoje powody. A ja ufam jej. Tak to działa. Po drugie, to by nam naprawdę pomogło, gdybyśmy mogli wykorzystać do naszych celów tę niezdrową dynamikę Szymp-Sunday. To by ułatwiło wiele spraw, mieć kogoś, kto ma na niego takie przełożenie.

– Ale.

– Ale sam fakt, że nie poleciałaś do Szympa na skargę, jeszcze nie czyni z ciebie sojusznika. Może pomyślałaś, że cię powstrzymamy. A może po prostu boisz się stanąć po którejś ze stron.

Odwróciło się z powrotem, pokuśtykało dalej, a ja prawie nie zauważyłam, że nie odpowiedziało mi na pytanie.

– Przekonamy się – dodałam. Ostatnia liana, gruba jak moje udo, spętała ze ścieżki, gdy się zbliżyliśmy. – Udawaj rannego. Wchodzimy.

* * *

– Szymp! Nosze!

Nosze już sunęły ku nam z górki, z muszlowatą pokrywą rozdziawioną w oczekiwaniu na świeże mięsko.

– Cieszę się, że cię widzę, Kaden – rzucił Szymp, gdy pomagałam Kaden wdrapać się na leżankę. – Jak się czujesz?

– Świetnie. – Kaden skrzywiło się, położyło, dało się noszom zamknąć.

Wężowe sondy, cienkie jak światłowody, zaroily się wokół jego ran.

– Co się stało? – zapytał Szymp.

– A jak myślisz? Las je zaatakował. Mnie też. Całkiem, kurwa, zdziczał.

Kaden nie miało nic do dodania. Z blokadą podpajęczynówkową ciężko się skupić.

Szymp:

– Jak?

– Parę odpowiednich mutacji, święty spokój przez pięćdziesiąt

tysięcy lat i już. – Ruszyliśmy z powrotem korytarzem. – Ale nie prosz, żebym szła tam jeszcze raz, po Dao.

– Dlaczego nie?

– Bo za mało go zostało, żeby ryzykować. Jak bardzo ci zależy, to wyślij bota. – Skalkulowane ryzyko: Szymp nie był z tych porywczych. Najpierw przynajmniej będzie chciał wysłuchać mojego raportu.

– Sunday. – JEŻELI stresowe harmoniczne w głosie > X TO WTEDY zwróć się po imieniu. POWTARZAJ DOPÓKI spokojna.

– Co?

Do rury. Parę poziomów wyżej mieliśmy szpital. Pewnie nie był potrzebny – nasze spokojnie sobie poradzą z powierzchniowymi ranami – ale system był zaprogramowany tak, by w scenariuszach z niepełną informacją minimalizować wszelkie ryzyko.

– Też jesteś ranna.

– Nic mi nie jest. Pójdę na górę i sama się posklejam.

Usatysfakcjonowany ciągnął dalej:

– Możesz wyjaśnić, jak fotosynteza niskolumenowa wygenerowała taką ilość energii, żeby mogły wykonywać tak szybkie...?

– Szymp, ja pierdziele, sprawdź sobie, co to turgor. Te pnącza miały gigasekundy na zakumulowanie ciśnienia hydrostatycznego. I wyzwoliły całe to ciśnienie w ułamku sekundy. Ma szczęście, że mu nie urwały całej nogi.

Zawahanie było tak nieznaczne, że prawie go nie zauważyłam – Szymp mógł w tym czasie przepuścić tysiąc scenariuszy.

– Tak można wytłumaczyć początkowe uszkodzenia. Ale nie miałyby tyle czasu, żeby zakumulować ciśnienie pomiędzy kolejnymi ekspedycjami idącymi tą samą drogą.

Wyszłam z rury o parę kilo lżejsza. Nasze Kaden sunęły przede mną. Zwolniłam na moment zaprzątnięta nowym bazgrołem z zawijasów, zakrętasów i kropek (nowym – to dopiero względne słowo), pozostawionym przez Malarzy w ciągu ostatnich paru tysięcy lat. Ciągłe mnie zastanawiało, co one mogą znaczyć. Znów przyszło mi do głowy słowo „zdziczałe”.

– Sunday?

– Wiem. – Przyśpieszyłam kroku, ściszyłam głos na tyle, by Szyp mógł wyjść z pętli „POWTARZAJ DOPÓKI”. – To oczywiste, że nie są napędzane reakcjami redoks.

– A czym mogą być? Wiesz?

Wiedziałam. Ale to by wyglądało na zbyt łatwe. Lian, kiedy wtajemniczała mnie we wszystko, ucięła mi próbkę tkanki. Odpięłam ją od paska.

– Muszę to przeanalizować. Wtedy porozmawiamy.

Szpital był nie tyle komorą, ile ślepo kończącym się korytarzem, wgłobieniem zawierającym sarkofag na postumencie i dwa gniazda na nosze. Pośrodku było centrum laboratoryjne – podkova ekranów i wpustów na próbki otaczających kapsułę do siedzenia. Sekwencer był wyspecjalizowany w ludzkich tkankach, ale na tym poziomie wszystko jest zrobione z tych samych śrubek. Wyekstrahowanie genomu zajęło mi tylko parę minut, a może ze dwadzieścia wyekstrapolowanie fenotypów. Zanim skończyłam, Kaden postanowiło przespać obowiązkowy szesnastogodzinny okres rekonwalescencji i poczęstowało się obficie z menu z opcjami znieczulenia ogólnego. Szyp i ja znów byliśmy sami.

Nie do końca Miła Chwila.

– To jest pompa gradientowa – powiedziałam.

– Rozumiem. – Może rozumiał, a może to był wypełniacz na jego schemacie blokowym.

– Co do zasady, może być dowolny gradient. Jonowy, ciepły, grawitacyjny. Jak tylko gdzieś energia płynie z punktu A do B, można jej trochę po drodze podebrać.

– Grawitacyjny – domyślił się Szyp. Chyba to jednak nie był wypełniacz.

– Dokładnie. Polana jest tuż nad Przewodem Higgsa, prawda? Jest tam gradient grawitacyjny, w niektórych punktach tak silny, że nawet pnie drzew się pochylają w reakcji na różne kierunki różnych wektorów. Te sekwencje – wskazałam na ekran laboratorium – na oko kodują cykl metaboliczny, który wykorzystuje ten gradient.

– Nie mam żadnych zapisów, żeby takie procesy kiedykolwiek wyewoluowały na Ziemi.

– Bo i po co? Na Ziemi musiałbyś mieć pojedynczy organizm rozciągający się od poziomu morza po granicę atmosfery, a i tak ten gradient ledwie stanowiłby konkurencję dla innych, nawet gdyby taki organizm wymyślił jakiś sposób, żeby cykl Krebsa mu działał na długości kilkuset kilometrów. – Po prostu mów, co należy. – Ale tu wszystko jest skompresowane, prawda? W czternaście kilometrów przechodzisz od 1 g do tysiąca i to jeszcze zanim twój środek ciężkości rozdzieli się na dwa. – Nie przestawaj. Nie wahaj się. Nie zostawiaj mu wejść na „ale” albo „ale gdyby”. – Zupełnie inny zestaw reguł. Więcej energii. Dopalone wszystko, od wzrostu tkanek po produkcję odpadowego tlenu.

To były dobre, wiarygodne odpowiedzi. Nawet czasem prawdziwe. Ale każde pytanie, na które odpowiadałam, mogło spowodować kolejne – a każde pogłębiające pytanie sprawiało, że coraz trudniej było zapobiec temu, żeby schemat blokowy nie skręcał w stronę inżynierii zamiast w stronę ewolucji.

Cisza przeciągała się. Wysiłkiem woli nie wstrzymałam oddechu. To wszystko sprowadzało się do analizy kosztów i korzyści, do liczby warstw, które Szyp będzie chciał rozwiąć, póki prawo malejących zysków nie każe mu przyjąć reszty na wiarę.

– Masz jakieś rekomendacje? – zapytał w końcu.

Powstrzymałam kolejny odruch – by wydać westchnienie ulgi, rozluźnić się. Pomyśleć, że nasi ziemscy protoplaści zrobili dobrą robotę.

Że pomimo oszałamiającej sprawności w liczeniu na palcach Szyp po prostu nie był zbyt bystry.

* * *

Zaczęłam od wariantów ekstremalnych, pozwoliłam diagramowi sprowadzić się na środek.

– Możemy nic z tym nie robić. Nadal działa, a ta mutacja sprawdza się tylko w ekstremalnych gradientach grawitacyjnych – nie musimy

się martwić, że nam się rozlezie. Może po prostu dać sobie spokój. Nie przeszkadzać.

Dwa korseki, tysiąc scenariuszy.

– Zmienność funkcjonalna jest zbyt duża. Polana ma zbyt wiele nieskwantyfikowanych zmiennych, żeby dało się nią zarządzać w dłuższej perspektywie.

Ta machina cała jest zbudowana z przedziałów ufności. I wytrzymuje maksimum dwa odchylenia standardowe od średniej.

– No to spalić to wszystko. Do gołej skały.

Tym razem tylko jeden korsek – prostsza symulacja, wszystkie komplikujące ją zmienne spalone na proch.

– Pojemność naszych systemów podtrzymywania życia spadłaby o osiem procent.

– Ale potem zasiać las z powrotem. Przez kilkaset lat damy sobie radę, mając osiem procent mniej.

– Nie ma gwarancji, że mutacja nie pojawi się znowu.

– Z oryginalnym genomem nie ma. Chyba że pozbedziemy się tego gradientu, żeby nie miała się do czego podczepić. – Co oczywiście oznaczałoby wyłączenie naszego napędu. Szypm i w miliard lat nie dałby się do tego przekonać.

– Moglibyśmy zmienić lokalny genom – zaproponował.

– Moglibyśmy – przyznałam, jakby dopiero teraz przyszło mi to do głowy. – Przerwać parę wiązań siarkowych, rozprostować niektóre spirale, żeby dały się edytować. Może od razu wpuścić jakiegoś retrowirusa, żeby spowolnił wzrost. Kupić sobie trochę czasu na porządną genetyczną poprawkę.

Tym razem pauza ciągnęła się w nieskończoność.

– Nie potrafię obliczyć, jak długo by to trwało.

– Pewnie, że nie. Geny są niepozbiebane, nawet w jednej komórce potrafią mieć ze sobą kupę interakcji. A tu mówimy o całym ekosystemie, wielogatunkowym, co jeszcze ma ścisłe ograniczenia funkcjonowania. Już lepiej byś mnie zapytał o dokładne rozwiązanie problemu n ciał dla trzycyfrowego n.

– Ale to da się zrobić.

– Pewnie. Metodą prób i błędów. Kręcisz jedną zmienną, czekasz, aż się trochę pogotuje, bierzesz poprawkę na chaotyczne interakcje albo zbyt dużą zmianę i tak w kółko.

– Ile musi się „gotować”?

– A co, śpieszy ci się?

– Chciałbym jak najszybciej przywrócić równowagę.

– Jeśli taki jesteś niecierpliwy, to możemy to zrobić natychmiast. Zedytować cały cholerny las w jednym pokoleniu. Tylko nie myśl, że ja będę sobie radzić ze wszystkimi skutkami interakcji wtórnych, trzeciego rzędu i tak dalej, a gwarantuję ci, że będą się pojawiać co parę megaseków.

Szympp zachował milczenie.

– Już i tak mamy do czynienia z nieprzewidzianą komplikacją – przypomniałam mu. – Jeśli nie musimy, to lepiej nie dokładajmy do pieca nowych zmiennych. Więc planu wacht nie zmieniaj, po prostu rozmrażaj nas do budów tak jak do tej pory. Nie ma sensu obciążać systemów podtrzymywania życia bardziej niż potrzeba, zwłaszcza że właśnie próbujemy je naprawić.

– Ale jeśli zmiany będą zachodzić zbyt szybko, i tak trzeba będzie interweniować pomiędzy budowami.

– Zachowamy nadmierną ostrożność. Mamy specyfikacje litotrofów, które rozmnażają się raz na trzysta lat, i laseczek, które robią to co dwadzieścia minut. Możemy im pokręcić genami, żeby pomiędzy wachtami za bardzo nic się nie wykoleiło. A potem... po prostu, zamykamy, zostawiamy w spokoju, niech się tam kotłuje.

Znowu milczenie. Może Szympp sprawdzał na drugą rękę moje wyniki, porównywał swoje genetyczne prognozy z moimi. Proszę bardzo. Bez dokładnych danych tej modyfikacji, nie mówiąc już o zweryfikowaniu ich z faktycznymi wynikami, równie dobrze mógłby nie modelować, a rzucać kośćmi. Jedynym konkretem w tej układance, w który dało się wbić analityczne zęby, były dotychczasowe mutacje, a nikt, kto był wystarczająco inteligentny, by zmajstrować cykl Calvina żywiący się grawitacyjnym gradientem, nie zostawiłby tam swoich śladów. Nie miałam się o co bać.

Dokładnie.

- Skoryguję listę na najbliższe rozmrożenia, żeby uwzględniła doświadczenie ekogenetyczne – powiedział w końcu Szyp.
- Daj se spokój – odparłam. – Sama ci zrobię tę listę.

Przyjazne dla użytkownika

Jak w ogóle zorganizować bunt, kiedy jest się aktywnym przez kilka dni raz na sto lat, a garstka współspiskowców przetasowuje się po każdym rozmrożeniu? Jak spiskować przeciwko wrogowi, który nigdy nie śpi, ma do dyspozycji setki samotnych lat, by brutalnie przeszukać i przeanalizować wszystkie otwarcia, by przypadkiem natrafić na wszystkie ślady, które się niedbale pozostawiło? Wrogowi, co ma oczy obejmujące cały twój świat, który patrzy twoimi oczyma, słyszy twoimi uszami, w pierwszej osobie i w znakomitej rozdzielczości? Pewnie, te kanały dają się wyłączyć, ale zaczniesz za często korzystać z tego pstryczka i równie dobrze mógłbyś sam zameldować alarm: – *Uwaga! Uwaga! Wykryto spiszek! Krytyczne zagrożenie dla misji!* – dla dowolnego debilnego liczydła podpiętego do sieci.

Jak to w ogóle zrobić?

Otóż na więcej sposobów, niż sobie w życiu wyobrażałam.

To było coś o wiele większego niż słowa udające muzykę. To były słowa udające inne słowa, teksty dawno martwych piosenek, wskrzeszone i zmienione, by tchnąć nowe sensy w stare wersy. To były plany ukryte w hieroglifach, wiadomości zakodowane w szachowych posunięciach i dialogu podczas gry. Graffiti – kopiowane i przekwalifikowywane na dyskretną kartografię: trzy kropki i pewien zawijas mówią „1425 przeskanowany, czysty; 1470 w trakcie; ktoś chce wziąć 2190?”. Szepciem przekazywaliśmy sobie przez eony tajne wiadomości, śpiewaliśmy piosenki i malowaliśmy na ścianach naszych jaskiń – a Szymp niech sobie to wszystko tłumaczy osobiwą ewolucją izolowanych kultur.

Pomiędzy budowami wysyłaliśmy sobie listy w butelkach. W trakcie budów rewolucja znajdowała sobie sposoby, by dyskretnie zagadać w czasie rzeczywistym. Początkowo azył zapewniały

naturalne ślepe plamki *Eri* – miejsca pozbawione sygnału radiowego, zakamarki i zakątki niewidoczne dla kamer. Stopniowo je rozbudowywaliśmy: przemeblowaliśmy magazyn ze sprzętem, żeby zrobić miejsce dla instalacji artystycznej Francine albo na zaimprovizowany labirynt do gry „Zdobądź flagę”, uprawianej dla zabicia czasu, gdy czekaliśmy, aż vony przetworzą ostatnio złapaną asteroidę. W większości technicznych chodników z założenia było niewiele kamer, dzięki czemu spora część układu nerwowego statku pozostawała podatna na infiltrację. Niektóre punkty były raczej przezroczyste niż ślepe – odtwarzało się w nich w kółko zapętlone nagranie pustego korytarza, nadpisujące główny sygnał, żeby Szypm nic nie widział, gdy umarli przechodzą korytarzami. Do tego czujniki zbliżeniowe przełączające z powrotem na żywy obraz, gdy korytarzem przechodzi niczego nie podejrzewający karaluch czy bot. My, podwójni agenci, uśmiechaliśmy się do kamer i poruszaliśmy w świetle, a zombiaki z Polany, wszyscy „zaginieni” i „prawdopodobnie nieżyjący” skradali się niepostrzeżenie jak myszy w ścianach.

Przesypialiśmy gigasekundy jak zawsze, przywracani do życia, gdy zmienne robiły się zbyt chaotyczne, gdy Wiadome robiły się Nieudowodnione, albo Szypm dostawał ataku niepewności od szumów, które wpuszczaliśmy mu w nerwy sensoryczne. Słuchaliśmy wypowiedzi w piosenkach, rozkazy dostawaliśmy z Polany; Lian chyba więcej budów przespała, ale karteczki na kuchennym stole zostawiała zawsze.

A pierwszy rozkaz brzmiał: „Znaleźć Kwaterę Główną nieprzyjaciela”.

Eriophora w dniu wylotu miała może ze sto węzłów wystarczających, aby mógł na nich chodzić Szypm. Te były wyraźnie zaznaczone na schematach. Jednak przez cały czas budowały się nowe. Nic nie uszło przed diasporowym imperatywem nadmiarowości. Nie wiedzieliśmy, ile ich teraz było ani gdzie się przeważnie znajdowały. A każdy z nich mógł być w dowolnym momencie aktywnym hipernadzorcą, czyli miejscem, gdzie Szypm faktycznie mieszka. W żaden sposób nie informowały, ani nie

ostrzegali, że przekazują tę rolę między sobą. Czasem któryś węzeł miał awarię albo po prostu się zużywał; czasem Szymp przenosił się, żeby mieć bliżej do jakiegoś podsystemu, szczególnie istotnego podczas danej misji, aby zminimalizować latencję podczas obliczeń. Przemierzaliśmy więc korytarze, wypytując naszą Sztuczną Tępotę o sprawy banalne i głębokie, i rejestrowaliśmy nieznaczną zwłokę czasową w odpowiedzi. Przekazywaliśmy sobie te zapiski, nanosiliśmy je na mapy, nieustrudzenie namierzaliśmy naszego opresora.

I na ogół bezskutecznie. Przez pół tysiąclecia namierzaliśmy Ducha Aktualnego Szympa, tylko po to, by potem obudzić się i stwierdzić, że przeniósł się gdzieś, kiedy spaliśmy. Parę tysięcy lat świetlnych stąd i parę tysięcy wieków temu nazwałoby się to „z motyką na słońce”.

Zresztą nawet gdybyśmy namierzyli gnojka, wiele by to nam nie pomogło. Od razu po wyciągnięciu wtyczki pałeczkę przejąłby inny węzeł. Duchów Przyszłego Szympa była cała masa i żadnego sposobu, by dopaść je wszystkie naraz.

Jednak pracowaliśmy nad tym.

* * *

– Tracimy czas – zasugerował Jahaziel Cauthorn parę wieków wcześniej. – Latencja? To wszystko zależy, jak poplątane są kable. Równie dobrze możemy szybciej dostać odpowiedź z rdzenia niż z sąsiedniego pomieszczenia.

Był świeżo zwerbowany i szukał szybkich rozwiązań. Przyprowadziłam go na Polanę – na użytek Szympa, żeby wprowadzić go w protokoły bioremediacji – i przedstawiłam Lian Wei i jej radzie nieumarłych, zanim na kolejne parę giga zniknęli pod przykryciem z morderczych pnączy.

Kiedy las się na niego rzucił, o mało się nie zesrał, ale szybko doszedł do siebie. Feromony zadziałały, jak trzeba, badyle trzymały się z daleka – dziesięć minut później już psikał na nie, żeby z dziecinną uciechą patrzeć, jak się kurczą i uciekają.

– Opieramy się bardziej na średnich – odpowiedziała mu teraz Li.
– No tak, a kiedy już macie wszystkie te średnie, to on zwija namiot i idzie. – Jahaziel rozejrzył się. – Czemu go po prostu nie zapytać, gdzie jest?

Li odwróciła się do mnie.

– Chcesz się tym zająć?

Chwyciłam pałeczkę.

– Jaz, a nie myślisz, że się w ten sposób zdradzimy?

– Powiedz mu, że potrzebne ci to do... bo ja wiem, do jakiejś diagnostyki? Czemu miałby tego nie kupić? Głupi jest.

– Tylko że to nie Szymp jest naszym wrogiem.

– Nadal bronisz tego czegoś? Nie wierzę – powiedział.

W moim arsenale miałam jeszcze inny feromon, coś, co umieszałam sobie, badając las. Atraktant. Wyobraziłam sobie, że polewam nim Jahaziela a potem... po prostu czekam.

Zamiast tego powiedziałam:

– Chcesz iść na wojnę przeciwko broni, to proszę bardzo. Ja bym wolała walczyć z syfiarzami, którzy nią we mnie celują.

Otworzył usta.

– Siedz cicho i słuchaj. Gdyby to była walka my kontra Szymp, to dawno byśmy wygrali. Ale ukrycie Wyspy Wielkanocnej to nie był pomysł Szympa. On nawet tego nie pamięta.

– Jeśli mu wierzysz.

– Ja wierzę. Jasne, Szymp jest głupi. Ale my nie walczymy z nim. Walczymy z planistami misji, którzy nie żyją od sześćdziesięciu milionów lat, a oni głupi nie są. I mieli do pomocy boskie AI, które są jeszcze bardziej niegłupie.

– To po co w ogóle się męczyć i próbować?

– Bo nawet klaster superinteligentnych BAI nie jest nieomylny, szczególnie jeśli przewiduje asymetryczną dynamikę społeczną za parę milionów lat. Widać, że na dłuższą metę nam nie dowierzali, bo inaczej nie zaprogramowaliby Szympa na ukrywanie tego archiwum. Ani do gry w trzy karty na wszystkich węzłach. Można spokojnie założyć, że wprogramowali mu kilka czujników wykrywających

oznaki buntu, tak jak sobie wyobrazili, że może wyglądać bunt za milion lat.

– Hm.

– Nie zauważyłeś, że on nie zawsze jest taki głupi, jak powinien? To dlatego, że programowali go bardzo bystrzy ludzie. Odezwiemy się do niego jakimś zdaniem-wyzwalaczem, i kto wie, jakie parszywe procedury się obudzą? Odpowiadając na twoje pytanie: nie pytamy Szypa, bo Szyp jest, kurwa, nawiedzony i nie mamy pojęcia, co te duchy nam zrobią, kiedy się obudzą i nas zauważą.

Jahaziel nic nie powiedział. Miła odmiana.

Lian pokręciła głową z podziwem.

– Za każdym razem, kiedy to mówisz, lepiej ci idzie. Przysięgam, teraz sama w to uwierzyłam.

I wierzyła. Wieki temu wyraziła na głos zaniepokojenie tymi chwilowymi przebłyskami nieoczekiwanej inteligencji u Szypa. W końcu to tylko gotowe procedury. Tylko duchy dawnych inżynierów.

Choć oczywiście, jeśli ty jesteś tą istotą, co myślę, zdajesz sobie sprawę, jaki to był idiotyczny błąd. Lecz ten, w odróżnieniu od innych, może jeszcze uda mi się naprawić.

* * *

Z perspektywy czasu zastanawiam się, czy strategia „werbowania umarłych” przyjęta przez Lian nie sprawiła w istocie, że Szyp nabrał lepszego mniemania o sobie i o misji. Przez pierwsze eony nie ginęliśmy zgodnie z planem i być może cały czas go to niepokoiło. Anomalia. Niewytłumaczalne odchylenie od charakterystyki misji. Bałam się, czy po tym ostatnim spiętrzeniu rzekomych ofiar śmiertelnych nie zapali mu się jakaś lampka, ale może on postrzegał to jako korektę dawnego błędu, powrót do statystycznej strefy komfortu. Jedno jest pewne – jeden jedyny raz, gdy wspomniał o tym w mojej obecności, zdawało się, że myśli, że to dobrze, że ci ludzie zginęli.

Ale może to było tylko na mój użytek.

To wtedy Szyp mi powiedział, że moja wartość per capita

wzrosła. Tak dokładnie się wyraził. A ja wiedziałam, że mówi prawdę, bo Baird Stoller dopiero co zginął na posterunku.

Tak naprawdę to Baird Stoller zginął, usiłując donieść Szypmowi na nas. Cała ta operacja była głównie warta od samego początku – jego reputacja malkontenta okazała się jedną wielką ściemą i pustym gadaniem. Kiedy Viktor spróbował go zwerbować, pierwsze, co zrobił, to rzucił się do ucieczki.

Ghora powalił go przed samym wyjściem ze ślepej strefy. Udało im się to zatuszować tym, co mieli pod ręką – elektryczne zwarcie i pożar, Stoller nie żyje, Ghora wykpił się oparzeniami drugiego stopnia na lewej stronie ciała. Szypm kupił tę historię, ale w rezultacie zupełnie poprzestawiał sobie progi akceptowanego ryzyka, poprawił monitoring na pokładzie i wyciął jedną trzecią naszych bezpiecznych stref.

Ja to przespałam, ale obie strony wszystko mi opowiedziały, gdy następnym razem stanęłam na pokładzie. Szczegóły poznałam od Lintanga, gdy przechodziliśmy przez jedną z ocalałych ślepych plamek. Szypm wyraził smutek, pamiętając moje pouczenia po „wypadku” Lian. Przyjęłam kondolencje i podziękowałam, chcąc wzmocnić wrażenie, że po tym tragicznym nieporozumieniu nasze relacje się poprawiają.

Oddałam się roli Sunday Ahzmundin, urażonej powierniczki, wracającej na łono. Wspaniale odegrałam szok, cierpienie, furię po sprawie Wyspy Wielkanocnej; byłam całkiem przekonująca, reagując później niechęcią i dystansem. Teraz pracowałam nad odprężeniem, zgodą nawet. Łatwiejsze to było, niż się może wydawać – Szypm nie był na przykład specjalnie spostrzegawczy – czasem wystarczały tylko odpowiednie słowa, nawet jeśli wypowiedziane tonem kompletnie bez przekonania.

Ale poza tym, szczerze mówiąc, to ja nie do końca grałam.

Musicie zrozumieć: nawet po Wyspie Wielkanocnej moje nawrócenie było niechętnie. Wiedziałam, że coś się musi zmienić. Zdawałam sobie sprawę, że moje emocjonalne przywiązanie do kawałka softu zaślepią mnie na fakt, że jesteśmy tylko narzędziami,

które można do woli wykorzystywać i wyrzucać do śmieci zgodnie z kapryсами funkcji użyteczności wymyślonej przez jakiegoś dawno nieżyjącego inżyniera.

Miałam jednak także świadomość, że to naprawdę nie jest wina Szypa. Był maszyną i robił to, do czego go zbudowano. Musieliśmy go obezwładnić, ale ta wizja nie sprawiała mi przyjemności, to nie była satysfakcjonująca zemsta w imieniu Elona Moralesa i Trzech Tysięcy. Te obwody, które natchnęły go kiedyś do tańca – on wciąż je gdzieś miał. Wyłączenie ich to żadna radość, to tragiczna konieczność, coś jak zabicie chorego na wściekłą ukochanego zwierzęcia, zanim kogoś pogryzie.

A potem zginął Baird Stoller, a Szyp – pewnie dla własnego uspokojenia – znów wrócił do tej miary ludzkiej wartości, o którą kiedyś tak się obrażałam.

– Sunday, może cię zainteresuje, że wskutek ostatnich strat wasza wartość per capita wykazuje trend wznoszący. – Chyba pomyślał, że da mi to inną perspektywę.

Zrobiło mi się na moment niedobrze.

Nie wiem, czemu tak się czułam. Nie mam pojęcia. Rozczarowana. Zawiedziona. Zdradzona. Przecież powinno już do mnie dotrzeć. Dawno powinnam zrozumieć, że od dłuższego czasu się samooszukiwałam, że te wszystkie rozmowy, te bajki na dobranoc i Miłe Chwile nie były spędzone z przyjacielem, lecz z bronią, z istotą śmiercionośną i pozbawioną uczuć, kimś, kto weźmie mnie na celownik, gdy tylko wyświetli mu się odpowiednia cyferka w mózgu. Mimo to wciąż o tym zapominałam. Zastanawiałam się, czy naprawdę coś w tej maszynie zobaczyłam, zanim utonęła w imperatywach misji. I czy dałoby się do tego jeszcze dostać.

Nawet teraz jakąś częścią umysłu go opłakuję. I zastanawiam się, czy jeszcze coś z niego zostało.

* * *

Jeśli jesteście ciekawi, to raz go zapytałam. Poszłam i prosto z mostu powiedziałam:

– Szymp, a jaki jest nasz stan końcowy?

Wówczas to było niewinne pytanie. Nie zapaliły się żadne czerwone lampki. To było w lepszych czasach, na długo przed mutacją Lian, w czasach, kiedy w powietrzu nie wisił powiew rewolucji. Viktor znów wdał się w jeden z tych swoich rapsodów o końcu czasu, o słabej, magicznej nadziei, że może uda nam się wyprzedzić samo rozszerzanie się czasoprzestrzeni, gdybyśmy tylko przeskoczyli tunelem o jedną czy dwie supergromady na lewo.

– Wyobraźcie sobie nagrody, gdyby nam się udało wyprowadzić Gwiazdną Obwodnicę poza supergromadę Laniakea!

Tylko że nie było żadnych nagród. Jedyną nagrodą było to, że w cholerę oddalaliśmy się od Ziemi – i to aż nadto wystarczało. Nie zamierzałam narzekać. Jednakże scenariusze Viktora majaczyły w tak dalekiej oddali, że w porównaniu cała nasza dotychczasowa podróż mogłaby trwać tydzień. Oczywiście nie dotrwalibyśmy do tego czasu, Vik po prostu lubił fantazjować o Końcu Świata. Musiałam więc zapytać:

– Ale poważnie. Po czym poznamy, że misja się skończyła?

– A czemu chciałybyś, żeby się skończyła? – zdziwił się Vik.

– Kiedy odbierzemy sekwencję odwoławczą – odpowiedział Szymp.

Co miało dużo sensu, kiedy byliśmy młodzi, świeżo narodzeni, prosto z fabryki. Diaspora reprezentowała najbardziej zaawansowaną technologię, jaką miał do zaoferowania XXII wiek. Po nim jednak miał przyjść XXIII i XXIV. Nasi następcy będą mieć różdżki i amulety niewyobrażalne dla nas w dniu startu. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, kiedy *Eri* i jej siostry staną się przestarzałe, kiedy ktoś nas odwoła, każe wrócić do nowego, poprawionego domu, a nasze zadanie przejmie nowa, ulepszona generacja. A skoro się tak nie stało, znaczyło to, że w domu wcale się nie poprawiło – nie rozwinął się, a Kontrola Naziemna po prostu sobie wymarła razem z resztą gatunku.

Tak czy owak, tu byliśmy w lepszej sytuacji.

Mimo to...

– No nie wiem, Szymp, minęło już trochę czasu. A jeśli nie przyjdzie

żadna sekwencja? Możemy jakoś, no wiesz, sami zdecydować?

Minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedział.

– Sunday, innego określonego stanu końcowego nie ma. Najbliższy, jaki przychodzi mi do głowy, to wymarcie.

– Wymarcie... nas?

– Wymarcie rasy ludzkiej.

Po tym nikt się przez chwilę nie odezwał.

– Aha, a... ten... a jak ty zamierzasz się o tym dowiedzieć? – zapytał w końcu Viktor.

– A po drugie, jak odróżnisz wymarcie od zmiany w coś innego? – dodałam.

– W obu przypadkach nie jestem pewien. Musiałbym to oszacować na konkretnym przypadku.

Skrzywiłam się.

– Nie masz na to procedur?

– Mam. Ale one uaktywniają się tylko w określonym kontekście.

– To dziwne, że poza tym nie masz do nich dostępu – zauważył Viktor.

– Bo poza tym są niepotrzebne.

Nie nabraliśmy się. To znowu był casus Wyspy Wielkanocnej – misja uruchomiona przez maniakalnie kontrolujących świrów, przerażonych, że mięsuchy w dłuższej perspektywie wszystko spierdolą. Ich świętym celem było ograniczenie naszych stopni swobody.

Pomijając jednak tę prehistoryczną politykę, podsumowanie było jasne jak Słońce – żadna meta nie istnieje. Dla Szypa możemy lecieć w nieskończoność.

Może powinnam się bardziej tym przejąć. Zgodziłam się przecież na to dożywocie. Już jako siedmiolatki wiedzieliśmy, co nas czeka. Ale to było dobrowolne. Entuzjastyczne wręcz. Zostaliśmy wygnancami z własnej woli, omamieni wizją wielkiej wspólnej przygody.

Może właśnie o to chodziło. Może wreszcie dotarło do mnie to, co oczywiste, że nasza zgoda była fikcją, że Diaspora nie ma żadnego

wyłącznika. Powinno mnie to bardziej zabołec. A ja tylko zastanawiałam się wówczas, czy nie zmodyfikowali nas, wszczepiając nam obojętność na przyszłe konsekwencje.

Póki nie uświadomiłam sobie, że wcale nie musieli.

* * *

Zaszczyt przypadł Dhanyacie Wali. To ona zainstalowała Nibyszypa podczas budowy głęboko w hali rufowej za Trójką Pierścieni Andromedy. Mnie nie było na pokładzie, więc z pierwszej ręki nic nie wiem. (Nie da się świętować z okazji drobnych taktycznych zwycięstw, kiedy wróg ma twoją mesę na oku, choć może na Polanie była jakaś impreza – zakładając, że Lian była jeszcze zdolna do imprezowania).

Paradoks polegał na tym, że to nawet nie był nasz pomysł. Wykradliśmy go Szypowi – zresztą nawet on wykorzystywał po prostu starą jak świat metodę rozprowadzania ruchu, używaną w sieciach od początku epoki komputerów. Odpytujesz wszystkie węzły, każesz im odpytać się nawzajem, wywołując kaskadę żądań i odpowiedzi, dzięki której zawsze wiesz, który odpowiada najszybciej. I ten zwycięzca zostaje Duchem Przyszłego Szypa, gotowym wskoczyć i przejąć wodze, gdy Obecny Szyp się wycofa, bo jego aktualny węzeł zestarzeje się, uszkodzi albo po prostu okaże się zbyt odległy od miejsca akcji.

I wtedy pojawia się Duch Przeszłego Szypa.

Kaden parę budów temu wysłedziło, że hipernadzorca mieszka w ciężkiej strefie. Nawet go jeszcze dokładnie nie namierzyło, bo Szyp tymczasem przeskoczył gdzie indziej, ale wystarczyło trochę pogrzebać, by znaleźć świeżo opróżniony węzeł za panelem serwisowym, zaraz obok rezerwowych dróg nerwowych. Kaden powiedział Dhanyacie, a Dhanyata wymieniła go na atrapę, która mogła uchodzić za prawidłowy węzeł, póki Szyp nie zadawał jej zbyt wielu pytań. A my tymczasem łamaliśmy oryginał.

Pierwszy hack zmusił węzeł do odejmowania niedużych losowych liczb od swojej latencji, takie tam niewinne kłamstewko, dzięki

któremu zaczął uchodzić za najszybszego gracza, pierwszego w kolejce do sukcesji.

Drugi hack kazał mu nieco bardziej ufać ludzkim sądom.

Nie było to aż tak skomplikowane, jak mogłoby się wam wydawać. Szypm już był zaprogramowany, by słuchać ludzkich poleceń, po prostu po każdym z nich puszczał parę scenariuszy, żeby ocenić wpływ tego polecenia na misję. W większości przypadków to była formalność, milisekundowa zwłoka między poleceniem a wykonaniem. System odsyłał nas na drzewo tylko jeśli zapaliła mu się jakaś czerwona lampka.

Aby dołożyć obejście, nie trzeba było nawet tykać się niskopoziomowego kodu. Wstawić po skoku odpowiedni wynik pasujący do porównania i voilà: król zniewolony od momentu objęcia tronu. Z tego, co mówili, przyjęło się idealnie.

Pozostała tylko kwestia wytropienia aktualnej meliny Szypma i rozwalenia jej.

* * *

– Aki Sok. – Oczy Lian były pełne dobroci i smutku. – I co my mamy z tobą zrobić?

Oczywiście wszyscy doskonale wiedzieliśmy – można było zrobić tylko dwie rzeczy, a jedną z nich Lian już wcześniej skreśliła: ona robiła to, by ratować ludzkie życia.

Aki kiwa głową. Potulna. Przerażona.

– Pomyślałam, że uda się... Przepraszam...

Przemycanie nielegalnych komponentów pod uważnym okiem maszyny. Przekazywanie sobie krytycznych informacji. Możliwość zdrady. Lęk przed zdemaskowaniem.

Okazało się, że Aki się po prostu do tego nie nadaje.

Teraz u jej stóp ziała paszcza trumny, stojącej na małej, tymczasowej polance, wokół której wił się i szeleścił czarny las. W końcu wszyscy stąd pójdziemy i zgasną światła. Wyparują odstrasające hormony, którymi spryskaliśmy skały, i las zamknie się, łapczywie chłonąc minimalny ślad cieplny, który będzie przez

długie ciemne wieki emitować hibernaculum Aki. Nawet gdyby Szypm zechciał poświęcić na Polanę kolejnego bota i gdyby ta marionetka dotarła tak daleko, i tak by jej nie zobaczyła. Aki zniknęłaby pod pnączami, skryta w mroku i przespałaby eony, póki nie obalimy pana i władcy.

I tak przecież nie mogliśmy jej przywrócić do aktywnej służby, nawet gdybyśmy mogli zaufać, że utrzyma język za zębami. Według logów od dobrych dwudziestu gigaseków była martwa.

Próbowałam ją trochę pocieszyć.

– Posłuchaj, jak się obudzisz, będziemy już sami sobie bramki budować.

Uśmiechnęła się słabo, weszła do środka i szepnęła:

– Tylko, kurwa, żebyście wygrali...

...kiedy zamykało się wieko.

Lian spojrzała po ludziach, kiedy odczyty Aki zaczęły się uspokajać – popatrzyła na mnie, na Ellin, na Dao (który w końcu jednak się zastanowił).

– Słuchajcie. Nie możemy sobie na to pozwolić. Nie możemy sobie pozwolić na takie błędy.

– Dwa błędy w tysiąc stuleci to wcale nie tak źle – powiedziała Ellin. – Ten chociaż łatwo dało się naprawić.

Miała na myśli: nie to, co ze Stollerem.

– Wystarczy jeden, żeby wszystkich nas wycofać z obiegu. – Lian pokręciła głową. – Muszę się nauczyć lepiej oceniać charaktery.

– Jesteśmy buntownikami na pokładzie – zauważył Dao. – Li, to jest ryzykowne i zawsze będzie ryzykowne. Nigdy tego ryzyka nie wyeliminujemy, po prostu musimy je... minimalizować. Zarządzać nim. I mieć świadomość, że jest tego warte.

Wazeliniarz, pomyślałam.

Miał jednak rację. Lian nigdy nie szafowała swoim zaufaniem, a plan nie wymagał zastępów ludzi. Było nas teraz może trzydzieścioro i Lian wybierała nas starannie – nielicznych i dyskretnych. Aby zminimalizować potencjalne wycieki.

Teraz jednak zawiodły ją dwie osoby z tego kręgu. Prześwietliła ich

o wiele dokładniej niż mnie, w końcu ja postawiłam ją przed faktem dokonanym. W moim przypadku decyzja była podjęta ekspresowo.

Patrzyłam, jak przebiegi Aki wyplaszczają się na wezłowskiu trumny. Czułam na sobie wzrok Lian. Nietrudno było zgadnąć, co myśli.

Dwie porażki. Już dwie.

* * *

Trzy, jeśli liczyć Moskę.

Baird Stoller nigdy nawet nie udawał, że jest po naszej stronie. Aki Sok starała się, jak mogła, a potem poniosła karę, gdy okazała się nie dość dobra. Z Ekandą Mosko było zupełnie inaczej. Zwerbowany, oddany sprawie, wtajemniczony w sekrety naszego azylu, a potem przyłapany na Polanie na kopiowaniu specyfikacji, gromadzący nasze tajemnice, żeby cudownie powstać z martwych i ponownie wkupić się w łaski Szymy.

Lian nie zabiła go ani nie wycofała z obiegu. Szkoła miejsca w trumnie, powiedziała. Znalazła małą szczelinę, z której nie dało się uciec, gdzieś w narożniku Polany, gdzie przepychanki grawitacyjne były tak silne, że mogły wyrzucić jelita przez ucho wewnętrzne. Pociągnęła tam rurkę nawadniającą, ustawiła, żeby ciurkała na powierzchnię skały. Podpięła przenośny procesor spożywczy do zewnętrznego zbiornika z aminokwasami, ustawiła na brzegu przepaści, kazała w regularnych odstępach wypluwać na dół kostkę białkową. I budziła się co parę lat, żeby dopilnować, czy to wszystko działa.

Mosko spędził w tej przepaści resztę swego życia. Może żołądek przystosował mu się do mdłości, zanim mózg zmienił się w kaszkę, zanim zapomniał, jak się błaga, zanim zdegenerował się do poziomu bezmyślnego, pojękującego stworzenia, pokrytego ranami i kompulsywnie liżącego skałę, by zaspokoić bezkresne pragnienie. Może przeżył tylko parę miesięcy. A może dziesięciolecia. I umarł samotnie, gdy reszta spała sobie nieśmiertelnym snem, zmumifikował się, rozsypał w proch i wreszcie zniknął, pomiędzy jednym moim pulsem a drugim. Pouczająca lekcja, tylko stanowczo

za długa.

Taką historię w każdym razie usłyszałam. Przespałam cały ten czas, od zwerbowania, przez zdradę, aż po rozkład. Znalazłam tę szczelinę – w każdym razie jakąś szczelinę – ale rurek i procesora dawno tam nie było, o ile kiedykolwiek istniały. Jak dla mnie, Kaden, które sprzedało mi tę historię, wkręciło mnie po prostu, a jeszcze zmówiło się z paroma kumplami, żeby wyglądało wiarygodniej. Żart taki. Albo ostrzeżenie. To byłoby w jego stylu.

Na liście był Ekanga Mosko. Astrofizyk. Inny szczep, ale ewidentnie mięsuch o takim nazwisku był na pokładzie. Według oficjalnych archiwów zginął, gdy uszkodził się kawałek ekranu otaczającego rdzeń. Śmiertelny impuls promieniowania, ewakuacja przez awaryjną służbę, by uniknąć napromieniowania całego poziomu.

Oczywiście zapytałam Lian o to. Śmiała się cały czas.

– Musiałabym być naprawdę niezła, żeby sfingować taką śmierć i sama się przy tym nie spalić na popiół, nie?

Ale tak naprawdę nie zaprzeczyła.

* * *

Szympowi udało się parę razy zajść nas od tyłu. Odczekał, aż wszyscy się położymy, potem na wszelki wypadek poczekał jeszcze z gigasekundę czy dwie i posłał jedną ze swoich marionetek na Polanę, żeby się rozejrzała.

Tyle że daleko nie dotarła. Las miał w zwyczaju załatwiać te boty jeszcze zanim podkręciliśmy agresję pnączom koło wejścia. Zwiadowcy Szypa docierali na parę metrów i czasami – jeśli mieli szczęście – udawało im się odgryźć jedną próbkę tkanek i uciec, by pnącza nie powaliły ich na pokład i nie oblażyły jak stado boa dusicieli.

Znaleźliśmy potem wrak jednego z takich botów, tuż za włazem – skorupa zgnieciona, wnętrzności wypchane suchymi łupinami owoców, powyginana, zrakowaciała bryła, ledwie rozpoznawalna jako coś technologicznego.

Niektórzy z nas niepokoiłi się, że Szyp o nas wie, albo

przynajmniej coś zaczyna podejrzewać – ale ten model nie pasował zbyt dobrze. Szyp nie przecież orientował się, z jakimi roślinami ma do czynienia. Bez problemu mógłby wyfabrykować sobie jakiegoś opancerzonego robota do niszczenia bunkrów, z miotaczem ognia, i przebić się przez pierwszą linię obrony, gdyby tylko myślał, że z tyłu jest coś wartego wydobywania. A skoro zadowalał się jednorazowymi dronami z półki, pasowało to bardziej do prostego próbkowania – rutynowego potwierdzania teorii, która była już tak ugruntowana, że prosta analiza kosztu i korzyści nie uzasadniała zaprojektowania i fabrykacji nowego modelu.

Nie miał powodu sądzić, że kłamiemy. Zapewne po prostu chciał zobaczyć na własne oczy. Cholera, nawet swoich działań nie kamuflował – telemetria z co najmniej dwóch sond siedziała otwartym tekstem w logach operacyjnych i czekała na kogoś, kto ma akurat parę kiloseków na zbyciu.

Z drugiej strony nie narzucał się z tym tematem w rozmowach. No to my też nie. Zrobił się z tego nasz wspólny zamilczany sekret, niewygodna prawda, o której wiedzą wszyscy, ale nikt nie wypowiada jej na głos, żeby nie zepsuć atmosfery na rodzinnym spotkaniu.

W pewien osobliwy sposób czyniło to z Szypa naszego współnika.

* * *

– Wchodzę do Czarnego Kotła – powiedziała Yukiko Kanegi. – Uwaga na lodowego potwora. – Co oznaczało: „Szyp jest gdzieś w okolicach brzuszego zbiornika masy”.

– Może ci mignie w świetle latarki, zanim zniknie – powiedziałam. Znaczyło to: „Już nie. Uciekł, skurwysyn”.

Pomieszczenie socjalne w pół drogi pomiędzy rdzeniem a skorupą, po prawej burcie na równiku, gdzie do ziemi przyciskało nas tylko niedorobione pół g. Gra planszowa stała pomiędzy nami na własnym statywie, wielopiętrowe lochy mające ze dwa metry szerokości i prawie tyle samo wysokości, a każda ściana, komnata i pułapka pieczołowicie ręcznie wyfabrykowana. Gaetano przez ostatnie kilka

giga nabrał upodobania do strategicznych gier role-playing. A to była jego oda do starożytnej rozrywki, fizycznie istniejąca gra według jego własnego projektu. Postacie przesuwano się po labiryncie ręcznie (poziomy otwierały się i składały z powrotem, aby ułatwić dostęp), trzeba było szukać skarbów, unikać pułapek, walczyć z potworami. O wynikach probabilistycznych pojedynków decydowały pięćdziesięciościankowe kości. Gdy się w to wciągnąć, całkiem przyjemne to było.

Gaetano nazwał grę Teredo. Nigdy nie spytałam, dlaczego³.

Gdyby w wyobraźni odwrócić sobie dolną połowę tych lochów do góry nogami i odpowiednio rozciągnąć pewne inne elementy, można by zauważyć pewne topologiczne podobieństwo do układu *Eriophory*. Można by wręcz używać ich jako swoistej mapy.

Postać Yuki zapuściła się do Czarnego Kotle, który był albo zasilanym ze źródła podziemnym jeziorem, patrolowanym przez ślepe, żarłoczne drapieżniki, albo – jeśli nie wystarczyło wyobraźni – soczewką z gumowatego silikonu wklejoną w zagłębienie i ozdobioną małymi plastikowymi stalagmitami. Postać była jej, ale szła moim śladem.

– Kurwa mać – powiedziała teraz, co znaczyło „kurwa mać”. – Sprawdzam, czy nie ma pułapek. – „Widziałaś, jak idzie? On coś wie?”.

Odegrałam scenę rzucania kośćmi, udałam, że przypatruję się, co wypadło.

– Nie ma żadnych pułapek. – „Chyba nie. Po prostu przeskoczył do innego węzła”.

– Cholera. Tak blisko byłam. No to sprawdzam, czy jest ten, jak mu tam... Trop.

– Jest trop, zamrożony ślad na skale, w prostej linii, kierunek 197 stopni. – „Według pingów jest gdzieś mniej więcej w tamtym kierunku”.

³ Teredo – *Teredo navalis*, świdrak okrętowiec – maślak, który żywi się celulozą i wwierca się w drewno, niszczący drewniane statki i przybrzeżne budowle (przyp. tłum.).

– Szeroki jest ten lodowy ślad? – „Jak daleko”? Nie mogła przecież liczyć, że podam jej dokładną odległość, pingi nawet w najlepszym razie nie chodzą po liniach prostych. Ale zawsze można się było mniej więcej domyślać.

– Może ze dwadzieścia centymetrów? – „Dwadzieścia kilometrów?”.

Jej wzrok przesunął się po niewidzialnej linii od jej postaci i spoczął na większej grocie głęboko w czeluściach lochu. Zasznurowała usta.

– Może się rozmnoży.

„Macica”.

Pozwoliłam swojej twarzy gracza uśmiechnąć się nieśmiało.

– Może.

Yuki pstryknęła palcami.

– A jeszcze, póki pamiętam: zaglądałaś po rozmrożeniu do nawi?

– Nie, a co...

Już puściła mi w głowę model lokalnego środowiska. Przez środek szła nić, cienka jak pajęczka. Trajektorja *Eri*. Druga linia, przerywana i przesunięta ku czerwieni, oddzielała się od niej parę lat świetlnych w przeszłości. W przyszłości się stopniowo rozchodziły.

Trajektorja początkowa i zmieniona.

Wzruszyłam ramionami.

– Dryf kursu. Szyp od czasu do czasu nas budzi, żeby zapytać, czy potrafimy go wyjaśnić.

Yuki pokręciła głową.

– Ten dryf to nadal niecały stopień, a tu widać ponad trzy stopnie odchylenia.

Dotarło.

– Zmieniliśmy kurs.

– Tak, zmieniliśmy.

Przywołałam ruchem sakadycznym projekcję, przesunęłam odchylony kurs w przód o sto lat. Nie przechodził przez nic poza pustką. Tysiąc. Karły i typy G, potencjalne budowy, ale wcale nie więcej, niż gdybyśmy szli pierwotnym kursem. Kolejny tysiąc lat i dalej to samo. Dziesięć tysięcy. Sto tysięcy.

– Hmm.

Za dwieście tysięcy lat nasz obecny kurs przeprowadziłby nas przez gromadę otwartą, mającą około trzydziestu pięciu lat świetlnych średnicy, prosto w serce czerwonego nadolbrzyma. Masa podobno około trzydziestu sześciu mas Słońca, wiek – dwadzieścia cztery miliony lat. Młody, bardzo młody, jętka jednodniówka w porównaniu z Eriophorą – kiedy wyruszyliśmy, był ledwie kondensującym się w pustce obłoczkiem wodoru.

A mimo to bardzo, bardzo stary – zdiadziały, wodór dawno zużyty, skąpany w chmurze płonącego gazu wyrzuconej podczas marnotrawnej młodości. Teraz żywił się helem, widmo cuchnęło węglem, tlenem i delikatną nutką neonu.

Umiera dwadzieścia cztery miliony lat i umrzeć nie może.

Ale wiele mu już nie brakuje.

Dlatego właśnie Szymp się przeprowadził – żeby być bliżej komory ogniowej, by zmniejszyć latencję do absolutnego minimum. Bo ta budowa miała być potężna i niebezpieczna i nie miało być w niej marginesu na błąd.

Oczywiście zanim to będzie miało znaczenie, minie jeszcze pełna petasekunda. Lecz Szymp nie był z tych, co zwlekają. Skoro już wiadomo, co robić, to po co czekać?

– Szymp?

– Dzień dobry, Sunday.

Zaznaczyłam nadolbrzyma.

– Budujemy tam węzeł?

– Tak. Dalej chcesz być wtedy na pokładzie?

– Pewnie, że tak.

Yuki zabłyśły oczy.

– Trochę ekscytujące, prawda?

Okienko w mojej głowie zamknęło się. Yuki skupiła się z powrotem na planszy do Teredo.

– Ale na razie chcę załatwić tego lodowego potwora raz na zawsze.

– Myślisz, że ci się poszczęści?

– Zapamiętaj moje słowa! – Spojrzała mi w oczy. – Pan Bóg podaje

mi go na tacy.

* * *

Oto jak mi o tym opowiadali, kiedy byłam dzieckiem, zanim nauczyłam się porozumiewać liczbami. Taką opowieść wciąż pamiętam najlepiej. Może ty nie rozumiesz niczego poza liczbami. Przykro mi. Przypomnę ci to tak:

Wyobraź sobie giętkiego węża. Zupełnie nieważne, co jest w środku – woda, chłodziwo, krew, jeśli gustujesz w substancjach organicznych – aby tylko pod ciśnieniem. Elastyczna rura, napięta do granic możliwości, zamocowana na jednym końcu.

Na drugim ją przecinasz.

Tryska. Wije się konwulsyjnie. Rzuca się na wszystkie strony, plując wielkimi zakrzywionymi strumieniami cieczy. Nazywamy to tunelem czasoprzestrzennym, typu nierelatywistycznego – jeden koniec przyczepiony do bramki, drugi panicznie rozlatany.

I wije się tak przez stulecia, tysiąclecia nawet, obija się o czasoprzestrzeń, póki gdzieś dalej nie odpali się kolejnej bramki. Ta nowa bramka jakimś sposobem go przyzywa. Luźny koniec węża słyszy wołanie, rzuca się przez continuum i wpija w nią. A może jest odwrotnie – może nowo narodzona bramka wyciąga jakąś nieskończenie elastyczną rękę i w okamgnieniu przytula koniec tunelu do swej piersi. Można na to patrzeć tak i owak. Równania są symetryczne względem czasu.

Oczywiście te luźne końce nie są wybredne i zamkną się na czymkolwiek, co im przypasuje, obojętne, czy pochwalamy ten związek, czy nie. Jeśli w okolicę zawędruje jakaś naturalnie urodzona czarna dziura, zanim my wystartujemy kolejny element trasy, to koniec – powstanie mariaż będący ślepym zaułkiem, monogamią aż po Śmierć Ciepłą. Bramki są tak skonstruowane, żeby wyświetlić wtedy znak „stop” i skierować podróżników z powrotem tam, skąd przyszli, choć nie wiem, czy to się kiedykolwiek stało. Staramy się bowiem temu zapobiec – skanujemy drogę przed sobą, szukając artefaktów powodowanych soczewkowaniem, i omijamy wszelkie

rafy, które mogłyby się okazać zbyt kuszące.

Czasem jednak chce się wpaść na rafę.

Bo łańcuszek bramek ma jeden problem. Każda z nich prowadzi tylko w dwa miejsca. Jeśli po wyjściu przez frontowe drzwi nie podoba ci się krajobraz, możesz albo pójść dalej drogą, póki masz ją przed sobą, albo okręcić się i wrócić. *Eriophora* owija Drogę Mleczną pojedynczą, samotną nitką. Bogowie, którzy pójdą naszym śladem, będą w stanie zwiedzić miejsca nawleczone na tę cieniutką spiralę i nic więcej.

Tak się galaktyki nie podbije.

Potrzeba czegoś więcej niż ramp wjazdowych i zjazdowych – potrzebne są skrzyżowania i łączniki, coś, co sklei ze sobą wszystkie odizolowane, jednopasmowe superautostrady. Więc od czasu do czasu wypatrujemy tych niegrzecznych osobliwości. Znajdujemy coś, co ma odpowiednią masę, odpowiedni spin i ładunek. Budujemy wtedy nie jedną bramkę, lecz wiele, napędzanych tą osobliwością, ale nie spiętych z nią tunelami. Sięgają dalej niż normalne i nigdy nie mogłyby skonsumować związku z ogniwami naszego łańcuszka – korzenie może mają blisko siebie, ale ich żarłoczne paszcze wyciągają się w przestrzeń na tysiące lat świetlnych, jak szprychy rozchodzące się promieniście od centralnej piasty. Węzła.

Ale są inne sieci. Inne bramki, wybudowane przez inne skaliste statki, lecące innym kursem. Do nich mogą się podłączyć. W ten właśnie sposób z naszych żalonych jednowymiarowych niteczek tworzy się sieć, która naprawdę oplata galaktykę, łączy nie tylko punkt A z B, lecz i C z Z, A i Ω . To ta pajęczna siatka w czasoprzestrzeni nadaje sens naszemu życiu.

Oczywiście nigdy nie będziemy czerpać pożytków z owoców naszego trudu. Nie dla nas luksusy ponadświatlnych podróży. Bogowie i potwory, które pójdą za nami, mogą skakać z gwiazdy na gwiazdę w jedną chwilę, ale nie my. My pełzniemy. Obojętne, czy ku pojedynczej bramce, czy ku całemu ich gniazdu, pełzniemy.

Teraz pełnęliśmy w kierunku supernowej. Na razie nie było to nic imponującego, ale za parę tysięcy lat miała tak ostro spaść z ciągu

głównego, że w promieniu stu lat świetlnych wszelkie nieekranowane życie cofnęłoby się do etapu gołego węgla. Miała wypluć w próżnię połowę swej masy, ostygnąć i skolapsować. Zanim do niej dotrzemy, będzie w sam raz dojrzała, by ją zebrać.

To będzie wielka budowa, największa z dotychczasowych. Będzie trzeba uruchomić Macicę. Szypm będzie potrzebował na pokładzie kupę ludzi – dwunastu, może piętnastu mięsuchów naraz, działających razem rzekomo w imieniu pozostałych trzydziestu... nie, dwudziestu siedmiu tysięcy. Przy odrobinie szczęścia, za pomocą moich szczególnych względów, może nawet uda się zdecydować, która dwunastka czy piętnastka to będzie.

A do tego wreszcie wiemy dokładnie, gdzie się znajdzie Szypm.

I wtedy skurwiela zabijemy.

* * *

Mieliśmy więc termin. Jak dotąd Armia Wyzwolenia Lian grała na czas – zbierała informacje, studiowała słabe i mocne strony wroga, czekała w kryjówce, aż pojawi się nieprzewidziana okazja. Teraz zegar zaczął tykać. Teraz na drodze pojawiły się słupki przypominające o tym, że zza horyzontu zdarzeń nieubłagane zbliża się ku nam moment zwany „teraz albo nigdy”.

Jeszcze tylko dwieście tysięcy lat.

Tymczasem misja trwała jak gdyby nigdy nic. Flotyllę vonów poleciały naprzód, żeby budować dla nas bramki, które mieliśmy odpalić i zostawić za stulecie czy dwa. Od czasu do czasu monotonię urozmaicały potwory. Płynne macki, rozgałęziające się i płynące niczym gałęzie na przyspieszonym filmie, wypadały za nami z bramki, tylko po to, by zaraz zamarznąć i rozsypać się jak sople. Czasem – coś prawie organicznego, co petzło po obwodzie pętli i puszczało korzenie. Ławica małych kafelków, jasnych jak płomień świecy, ale tak cienkich, że gdy zwróciły się do nas krawędzią, prawie znikwały. Roily się i łączyły w mozaiki, zmieniały kolory i wzory, tak że na parę minut pozwoliłam sobie na okrucieństwo nadziei, że próbują się z nami komunikować – że nasi odlegli następcy wreszcie sobie o

nas przypomnieli, że chcą nas zabrać do domu i, dzięki Bogu, możemy tę całą imprezę odwołać. Ale one, jeśli nawet naprawdę coś mówiły, to tylko do siebie.

Za każdym razem, gdy się budziłam, punkt przeznaczenia skokowo się przybliżał. Gwiazda starzała się wielkimi skokami, apokaliptyczną funkcją schodkową odmierzającą czas do wybuchu. Raz, gdy spałam, skończył się jej hel i dobrała się do węgla. W widmie pojawił się sód. Magnez. Glin. Na każdej mojej wachcie waliło jej z paszczy coraz cięższymi pierwiastkami.

Przy kolapsie rdzenia nikogo z nas na pokładzie nie było – odległość była zbyt duża, żeby promieniowanie mogło nam zaszkodzić, ale po co ryzykować, skoro *Eri* nigdy nie śpi i obserwuje piekielny ogień, pilnie unieśmiertelniając dla potomności wszystkie emisje, od gamma po neutrino? Skryci w bazalcie przespaliśmy kataklizm, fuzję neonu, tlenu, wyrzucenie w pustkę połowy układu okresowego. Kolaps niklu w żelazo i ten ostateczny moment śmiertelnego zapłonu, to mgnienie kosmicznego oka, kiedy gwiazda przyćmiewa całą galaktykę. *Eriophora* zapisała to wszystko dla potomności. Dla nas.

Gdy obudziłam się po przemianie, nawet nie wychodziłam z trumny – od razu otworzyłam archiwa i skompresowałam te płomienne tysiąclecia w parę migawek, kazałam im w kółko wyświetlać się na moim tyłomózgowiu, póki nie poczułam się wyczerpana zachwytem. Od oślepiającego, wspaniałego blasku tej śmierci i ponownych narodzin prawie zapomniałam, co to oznacza dla nas, na naszym skalnym okruchu.

Na parę błogich chwil zapomniałam, że toczymy wojnę.

Kiedy przyszłam, Kaden i Kallie siedzieli już w akwarium taktycznym. Na pewno tak samo jak ja odtworzyli sobie w głowie eksplozję, ale teraz siedzieli zahipnotyzowani świetlistymi zorzami na ekranie: misterna siatka stygnącego gazu, w jego sercu oślepiające rentgenowskie kropeczki, w środku jaśniejszej kropki – ciemniejsza. Kogo obchodzi, że to migotanie to artefakty, że nasze nieuzbrojone oczy, gdyby spojrzały przez okienko w tę samą stronę,

dostrzegłyby tylko kosmos i gwiazdy? Ograniczenie tkwiło nie w rzeczywistości, lecz w naszych zmysłach – ludzki wzrok to tak żałosny instrument do analizy wszechświata...

– A Doron? – zapytałam.

Tym razem lista dyżurów wywołała na pokład całą czwórkę naraz, układ podwójny z masą komet i trochę zbyt wieloma substancjami organicznymi, żeby zostawić Szypma samego do pilnowania, czy wszystko idealnie mieści się w tolerancjach.

– Już idzie – powiedziało Kaden. – Poszedł tylko jeszcze zajrzeć na Polanę.

To było moje zadanie. Nie miało to zresztą znaczenia. Po prostu za długo zachwycałam się świetlnym pokazem.

– Boże – powiedziała Kallie. – Jakie to piękne.

Kaden kiwnęło głową.

– Prawda. Naprawdę świetne miejsce na... a niech to szlag.

Dołączyłam do nich w akwariium.

– Co takiego?

Zaznaczyło słabą czerwoną kropkę czającą się po lewej stronie sceny.

– Ten karzeł, tutaj. On tak po prostu nie przelatuje. On spada na orbitę.

Miało rację. Zanim dotrzemy na scenę, nowo narodzona czarna dziura będzie miała własną gwiazdę do towarzystwa.

Wzruszyłam ramionami.

– Jesteśmy w gromadzie. To się musiało stać wcześniej czy później.

– Mówię tylko, że dysk akrecyjny będzie naprawdę wykurwisty.

– No i dobrze, przynajmniej surowca nam nie zbraknie.

– Trzeba by ją jakoś nazwać. – Kaden zastanawiało się chwilę. –

Oculus Dei.

– Poważnie? Po łacinie?

Z korytarza przez otwarty właz poniósł się cichutki gwizd nadjeżdżającego karalucha z Doronem.

– No to słucham twojej propozycji?

Poczułam, że wciąga mnie ten obraz, to pulsujące czarne serce

pośrodku.

– Nemezis – mruknęłam. Słyszałam, jak Doron parkuje tuż za drzwiami swego karalucha.

– Charlotte – powiedziała Kallie i zachichotała.

Kaden uniosło na nią wzrok.

– Czemu Charlotte?

– Zgadzam się z Sunday – powiedział Doron, przyłóczając się do nas. – Według mnie „Nemezis” idealnie pasuje.

Tylko że to nie był Doron.

To była Lian.

* * *

Puls musiał mi nieźle przyspieszyć.

Przez ostatnie dziesięć tysięcy lat posunęła się o kolejne dziesięć lat – musiała siedzieć do bardzo późna, żeby dopracować końcówkę gry. Włosy miała już bardziej siwe niż czarne. Ale emanowała siłą. Była potężna. Zupełnie niepodobna do chudzielca z czasów wylotu. Jakby zrodzona na Polanie i złożona z samych węzlastych mięśni. Grawitacja blisko rdzenia tak robi z ludźmi.

Ale jednak to nadal była Lian. Nie mam pojęcia, jak Szypm mógł tego nie widzieć.

Kaden odwróciło się.

– Super, że zdążyłeś, Dor. – Delikatnie podkreśliło końcówkę i imię, dyskretnie sugerując „Nie spieprz tego, Sunday. Graj razem z nami”.

– I jak tam na Polanie?

– Wszystko zgodnie z planem – zameldowała Lian. – Żeby wiedzieć na pewno, trzeba by puścić analizę tych próbek, ale po samej morfologii mówię, że około stu teraseków, zanim uda się zreintegrować.

Zero zdziwienia ze strony Szypma. Nie zauważał kompletnie nieprawdopodobnej sytuacji – że na pokładzie pojawił się nagle od dawna zmarły członek załogi, niczym jakieś Boltzmannowskie ciało spontanicznie powstałe z kwantowej piany.

– Naprawdę jest piękna. – Lian przyłóczyla się do nas w akwarium.

– Jak mówicie? Nemezis?

– Dla mnie może być – powiedziało Kaden.

– No dobra. – Kallie rozłożyła ręce. – Ale nadal twierdzę, że Charlotte byłaby bardziej z humorem.

– Szyp, słyszysz?

– Tak, Doron. Opisuję jako „Nemezis”.

Wywołałam swój wewnętrzny interfejs, sprawdziłam ikonki załogi – w wirtualnej przestrzeni, parę centymetrów nad głową Lian, unosił się napis „LEVI, D”.

Ale to była twarz Lian. I głos Lian.

Spojrzała na mnie.

– Zdaje się, że Szyp chce, żeby mu podociskać jakieś wtyczki w Macicy. Może załatwmy to, póki nie ma innych zajęć?

Jasne. Zapomniałam, po co w ogóle się tu znaleźliśmy – mamy budować bramkę, a Szyp rozłożył się na niepewności, gdzie ją postawić.

– Jasne – powiedziałam.

Czemu on tego nie widzi?

– No dobrze. – Teatralnie machnęła ręką w stronę drzwi. – Ty pierwsza.

* * *

– Widziałaś tę moją nową zwrotkę Kotów Alcubierre’a? – zapytała. Co oznaczało: „Orientujesz się na czym polega nasz numer ze stemplem czasowym?”.

– Tak. Podoba mi się. Ale chyba powinna być trochę dłuższa. – „Trzeba by podkręcić ten skok. Dałoby to nam więcej czasu”.

– Też mi się tak wydaje. – Wysunęła z kieszeni zaciśniętą dłoń, rozwarła ją na tyle, by mignęło mi maleńkie urządzonko. Jedyne w swoim rodzaju. Klucz do klatki, zwornik naszego buntu. Wyfabrykowany indywidualnie wehikuł czasu Lian Wei.

Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Wsunęła dłoń z powrotem do kieszeni.

– Trzeba dodać chyba około pięciu minut, wtedy będzie się

nadawało.

Byliśmy w rurze, opadałyśmy ku rufie i ku górze, zakręcając zgodnie z izograwami *Eri*. Wariacje w uchu środkowym tylko potęgowały mój niepokój.

Bo to miał być Doron. Mieliśmy to instalować z Doronem.

– Wiesz, że nie mogłem tego przegapić za żadne skarby – powiedziała Lian. Nad jej głową uparcie tkwiło „LEVI, D”.

– No tak. – Doron pewnie nadal jest na Polanie. Lian musiała sklonować jego transponder. Ciekawe, od jak dawna oni to robią.

– Nowy image? – zapytała niewinnie.

Zerknęłam na nią z ukosa.

– Hmm. Eee. Chyba...

– Tak myślałem. Kiedy wszedłem na mostek, coś mnie tak dziwnie tknęło. Wziąłem cię za kogoś innego. Od tyłu.

– Naprawdę?

– Tylko na chwilę. Ubranie mnie zmyliło. Bo kiedy zobaczyłem twarz...

– A, tak. – Kiwnęłam głową na znak, że rozumiem.

Dla Szypa decydujący był transponder. To było rozpoznawanie twarzy dla tej Sztucznej Głupoty, coś, co definitywnie potwierdzało tożsamość. Znał oczywiście nasze twarze, nasze głosy, mógł nas po nich rozpoznawać, tak samo jak my patrzymy na ikonki czy na ubranie, żeby rozpoznać kogoś odwróconego tyłem. Lecz kiedy ta osoba odwraca się ku nam, rozpoznajemy ją po twarzy – choćby nawet miała na sobie cudze ubranie.

Szyp był jeszcze prostszy. Skoro miał identyfikator z interfejsu, biometrykę ignorował całkowicie. Po co przepalać cykle?

– Czyli za kogo mnie wzięłeś? – zapytałam, gdy hamowałyśmy.

– Za Lian Wei – odpowiedziała.

Dotarliśmy do celu. Drzwi rozsunęły się.

– Trochę makabra – powiedziałam.

– Aha. – Rzuciła mi wąski uśmiezek. – Zdarza się czasami. Jak się znajdziesz zbyt blisko.

I to oczywiście było napomnienie.

Że zapomniałam, kim on jest. Że uczyłowieczałam wroga.

* * *

Szymp nabrał zwyczaju zlecenia nam ręcznego sprawdzania sprzętu. Zwykle chodziło o proste fizyczne czynności, jak sprawdzenie, czy wtyczki pewnie siedzą w gniazdkach.

Może po prostu była to szczególna ostrożność podczas przygotowywania się do Matki Wszystkich Budów. A może miało to coś wspólnego z nieustannym kap-kap-kapaniem losowego szumu w niektóre jego drogi sensoryczne, przez całe wieki, może nawet z paroma dodatkowymi metrami światłowodu, które Kai i Jahaziel wspawali mu parę budów temu w niektóre linie. Nie było to nic bardzo inwazyjnego, nie zakłócało kluczowych sygnałów telemetrycznych, po prostu dodawało im parę metrów do przebycia, dodatkową mikrosekundę latencji, żeby Szymp marszczył brwi i drugi raz sprawdzał wszystkie połączenia.

My z Lian też to robiłyśmy. Sprawdzałyśmy Macicę.

Wyszłyśmy na równikowy pokład, zerknęłyśmy z udawaną obojętnością na graffiti Malarzy prawie w samym wejściu. Przywłaszczyłyśmy sobie kulturę innego szczepu, żeby móc na widoku ukryć liczbę:

172.

Odkąd ostatni raz byłam na chodzie, ktoś podłączył grasery. Czarne lśniące kable wychodziły od wierzchołka każdego stożka, zwieszały się w szczelinę, przyłączały się do innych w godnych Meduzy węzowych gniazdach, potem zbiegały się do poinstalowanych na półpiętrze magistral. Oglądałyśmy po kolei każdą z takich magistral – szeregi czarnych skrzynek, nieodróżnialnych jedna od drugiej, nie licząc losowych etykiet wytłoczonych w blasze i moim tyłomózgowiu. Podważałyśmy pokrywę każdej obudowy, ręcznie sprawdzałyśmy każde połączenie, zamykałyśmy i szłyśmy do kolejnego.

Gdybym nie wiedziała, który jest celem, mogłabym to wszystko przeoczyć – nieznaczną zmianę mowy ciała Lian, to, jak się garbiła i

odwracała plecami do linii wzroku Szypa. Zrobiłam to samo, nachyliłam się nisko, żeby zasłonić wszelkie pokładowe oczy. Lian zdjęła pokrywę, zaczęła sprawdzać połączenia.

– Hmm. Ta jakby trochę luźno siedzi. – Wyciągnęła wtyczkę, odpięła od paska kieszonkowy mikroskop, wycelowła go w gniazdo.

Odwrociłam wzrok.

Nie wiem dokładnie, co zrobiła. Może zainstalowała to coś po omacku. A może ten sam hack, który pozwalał jej uchodzić za Dorona Leviego, wklejał jakiś równie fikcyjny obraz w strumień danych z jej kory wzrokowej. Usłyszałam jednak kliknięcie wpinanej z powrotem wtyczki i pozwoliłam sobie wrócić wzrokiem do magistrali, gdy Lian zamykała pokrywę.

– Dobra. Powinno działać.

Zawlecarka zainstalowana.

– Tak – odpowiedział Szyp i dla pewności wpuścił w linię parę miliamperów. – Pomiary są poprawne.

Gdyby się prześledziło tor promienia Grasera 172, przedłużyło go przez środek komory ogniowej, aż na drugą stronę, trafiłoby się w zupełnie niewyróżniający się punkt na skale i grodzi pod nią. Nie trafiał tam w nic szczególnie krytycznego. Nie musiał. Całe metry sześciennie skały wokół zamieniłyby się natychmiast w magmę. Wszystkie osadzone w tej opoce układy, optyczne, elektroniczne, kwantowe, po prostu odparowałyby.

Wytropiliśmy, że Szyp siedzi w węźle, którego nie ma na mapach, na lewo od dziesiątki w tej tarczy i może z metr za grodzią. To było jego miejsce w pierwszym rzędzie wobec zbliżającej się budowy, lokalizacja, z której mógł wszystko monitorować z minimalną latencją. Gdyby tak Graser 172 strzelił sam z siebie, Szyp zginąłby.

Oczywiście Graser 172 w życiu nie miał strzelać sam z siebie. Strzelać miała cała macierz naraz, w doskonałej harmonii – wszystkie wysokoenergetyczne fotony idealnie zbilansowane, wszystkie siły złożone razem lub zniesione w momencie niemożliwego stworzenia. Kilometry niezawodnego okablowania, zegary atomowe z rozdzielczością mierzoną w czasach Plancka – tylko po to, by je

dokładnie zsynchronizować.

Zresztą słowo „dokładnie” nie oddaje idei. Słowo „dokładnie” jest zbyt przybliżone. Tych strzałów nie byłby w stanie kontrolować żaden pojedynczy zegar – choćby najmniejsza latencja w przestaniu jego sygnałów rozsynchronizowała całą macierz, a przecież przewody do każdego grasera miały różną długość. Nie – jedynym rozwiązaniem było wbudowanie takiego samego zegara w każdy graser, na układach identycznych co do angstrema. Oczywiście był nadrzędny zegar, żeby je wszystkie skalibrować, ale po rozpoczęciu odliczania punkt strzału kontrolowały zegary lokalne.

Natomiast żaden z tych skomplikowanych układów nie rozumiał, że wszystkie sygnały z głównego zegara do 172 przechodzą teraz przez moduł doinstalowany przez Lian. Ten moduł na razie był uśpiony. Miał się obudzić, kiedy w promieniu mniej więcej dziesięciu metrów od niego przejdzie pewien konkretny i unikatowy klucz magnetyczny; i odtąd miał pełnić obowiązki recepcjonisty dla 172. Odbierać jego telefony, umawiać mu spotkania, odpowiadać jego głosem po odpowiednim opóźnieniu, aby dzwoniący mieli pewność, że sygnał dotarł do samego końca linii i został właściwie zrozumiany.

Co zresztą nie do końca było kłamstwem. Ten recepcjonista był naprawdę wzorem klarownej i dokładnej komunikacji. Natomiast jeśli chodzi o pilnowanie zegarka, no cóż, miał własne standardy punktualności.

Od momentu rozpoczęcia pracy przez recepcjonistę Graser 172 miał żyć trzysta korseków w przyszłości.

* * *

Szympp wskrzesił mnie, bo miał kolejną chwilę niepokoju, zrodzoną z minimalnych, ale wciąż rosnących rozbieżności pomiędzy tym, gdzie mieliśmy być, a tym, gdzie byliśmy.

Wskrzesił mnie na budowę, która się nie odbyła, wokół gwiazdy, której położenie i metaliczność krzyczały „optymalna”, ale vony po wysłaniu ledwie były w stanie użebrać dość materiału na stację paliwową, nie mówiąc już o bramce. Zupełnie jakby ktoś był tam

przed nami i zabrał wszystko co najlepsze. Rozejrzeliśmy się nawet za bramką zbudowaną przez kogoś innego, lecz na próżno.

Wskrzesał mnie na kilka budów, o których już prawie zapomniałam, z powodów tak banalnych, że teraz pamiętam tylko rapsody Viktora o końcu czasu oraz własną, coraz większą irytację niewolniczym trzymaniem się przez Szympa ustalonych progów.

Przez większość czasu jednak spałam, podczas gdy Szymp budował armię vonów. Obejrzałam wszystko na nagraniu, wieki później.

W życiu czegoś takiego nie widziałam.

Byłam przyzwyczajona do standardowego tańca – z naszych hangarów wystrzeliwują żniwiarki, rój zbieraczy wystany z morderczą dla człowieka deltą v , by nazbierać pyłu, skał, całych koziółkujących w próżni gór drogocennego metalu. Gdy mają dość skarbów, przechodzą przemianę, biorą się za ręce, zrastają razem i przeobrażają w drukarnie, rafinerie lub linie przemysłowe – całą fabrykę w postaci mającej pięćset kilometrów średnicy rozproszonej chmury. W jej sercu powstaje Pętla Hawkinga, na obrzeżach rodzą się kolejne żniwiarki i obrabiarki do skał. Wypuszczają się na łowy, czasem aż do pół roku świetlnego, przynoszą rudy i stopy w przyśpieszającej akumulacji masy i złożoności.

W końcu budowa osiąga krytyczny punkt przegięcia i zwraca się do środka; żniwiarki przestają zżerać komety i dobierają się do siebie nawzajem, kanibalizując fabrykę od zewnątrz i przetwarzając już niepotrzebne elementy na ostatnie cewki czy kondensatory. Ocalali niezjedzeni spawają wszystko na głucho, ustawiają się w bezpieczny szereg po jednej stronie i wyłączają się, czekając, aż nadleci *Eriophora* i odpali bramkę. Może nawet odmawiają jakąś elementarną maszynową modlitwę w intencji tego, żebyśmy trafili w ucho igielne, kiedy za parę gigaseków przelecimy tędy z szybkością sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę.

Cała procedura trwała pomiędzy trzema a trzydziestoma gigasekami i robiła cholerne wrażenie, kiedy się oglądało pierwsze sto powtórek. Ale wszystko to było tylko budowanie pojedynczej bramki, unoszącej się w bezpiecznej, łagodnej odległości od

bezpiecznej i łagodnej gwiazdy. W największych naszych produkcjach obsada nie przekraczała dziesięciu tysięcy, może setki cięższych maszyn otoczonych kłębiącym się tłumkiem żniwiarek.

Nemezis zaś potrzebowała pół miliona. I na drugi akt mieliśmy miejsca w pierwszym rzędzie.

Tym razem zero oszukaństwa. Nie siedzimy i nie czekamy, aż roboty polecą i odwalą całą robotę, a my sobie śmigniemy później i tylko uruchomimy owoc ich pracy. Prawda, vony i tak wypuściliśmy, gdy od celu dzieliło nas wiele parseków. Tym razem jednak jadły za dziewięcioro, a każda z tych bramek miała być o rzut beretem od horyzontu zdarzeń. Standardowa procedura uruchomieniowa nie nadawała się do niczego – spróbuj tylko przelecieć *Eri* przez jedno z tych uch igielnych, z prędkością choćby jednej piątej *c*, a w następnej nanosekundzie wpadasz w gardziel Nemezis.

Plan był taki: zamiast korzystać z większej czarnej dziury pośrodku napędu *Eri*, budujemy całe stado mniejszych dziur, karłowatych i jednorazowych, po jednej na bramkę. Składamy je po kolei niczym mikroskopijne jajka, umieszczając na dokładnie skalkulowanych orbitach, które przeniosą każdą przez odpowiednie ucho igielne. I każda z tych osobliwości odda życie, by wystartować swoją bramkę, a my za każdym razem będziemy się chować za plecami Nemezis – bo przy rozbłyskach tych anihilacji własne śmiercionośne promieniowanie Nemezis było jak słońce w wiosenny dzień.

I tak dziewięć razy.

Gdy wchodziliśmy na orbitę, bramki nie były jeszcze skończone. W świetle gwiazd lśniły ich odstonięte bebechy – po rusztowaniach łażyły tam fabrykaty niczym monstrualne kraby, mechaniczni padlinożercy żywiący się międzygwiazdną przydrożną padliną. Nie było zresztą pośpiechu – uzebranie energii do jednego startu miało zająć prawie 160 megaseków, a dalsze trzydzieści pięć – ukończenie budowy – prawie pięć lat, w tym co najmniej połowa z *mięsuchami* na pokładzie.

Szymp prawdopodobnie mógł zrobić to wszystko sam, ale ta budowa była ogromna i ważna, a on nie lubił niepotrzebnie

ryzykować. Mięso i maszyny wzajemnie się uzupełniają. Metal ma szybszy refleks i o wiele precyzyjniejsze ruchy; za to my nie jesteśmy tak podatni na promieniowanie czy impulsy elektromagnetyczne.

Choć przecież nie jesteśmy nieśmiertelni. To jest trochę tak, jakby organiczne życie miało coś w rodzaju rozpędu, którego siłą poruszasz się nadal, mimo że wszystkie komórki masz zmielone na miazgę. Gdyby jakiś niespodziewany błysk promieniowania nie zamienił nas od razu w popiół, mielibyśmy jeszcze dni czy godziny, by działać dalej, metal zaś by zaiskrzył i w sekundę zdechł. Byliśmy planem B do planu B, obudzeni, ale usadzeni na ławce rezerwowych, na wypadek gdyby jakaś katastrofa rozpięrdziła maszynię, a nam nie zrobiła nic.

Szanse na to były niewielkie. Ale taka polisa ubezpieczeniowa kosztowała grosze.

Teoretycznie przeżylibyśmy nawet gdyby ktoś zgłosił szkodę – po prostu trumny by nas uspiły i poskładały z powrotem nasze zamienione w gulasz wnętrzności. Nie udzielalibyśmy się do końca budowy, ale byłaby masa czasu na naprawy, zanim znowu zostaniemy wezwani na pokład.

Tak oto spędziliśmy pięć lat zaparkowani w cieniu molocha.

* * *

A ten moloch był taki malutki – dwadzieścia Słońc skupionych pod horyzontem mającym tylko sto dwadzieścia kilometrów średnicy. W kosmologicznej skali – nawet nie punkcik.

Ale jaki miał zasięg. Zasięg miał zaiste potworny.

Gradientsy pływowe sięgały daleko poza horyzont zdarzeń, gotowe rozerwać nas na strzępy, gdybyśmy zapuścili się zbyt blisko. Tuż za kulisami, w niebezpiecznej odległości orbitował karłowaty towarzysz Nemezis – dość daleko, by uniknąć połknięcia w całości, choć na dłuższą metę tak samo skazany, atmosfera wyszana przez pustkę bezdenną spiralą, karmiąca nienasyconego towarzysza, który nie spocznie, póki nie pożre swego jeńca do końca.

Kaden nazwało karła Fafnirem. Musiałam to sprawdzić.

Nie były to jednak przeszkody nie do pokonania. Bramki umieścić na nachylonej orbicie, żeby zminimalizować kontakt z dyskiem akrecyjnym. Posłać maszyny w wir, by zbierały potrzebną energię, podczas gdy *Eriophora* trzyma się w bezpiecznej odległości od grawitacyjnych skał. Na wszystko są sposoby i obejścia.

Ale i tak.

Pyłek kurzu, co waży tysiące eksagramów? Dwadzieścia cztery Słońca w średnicy asteroidy? Taka dynamika budzi lęk, zanim jeszcze dołożysz do obrazka wykrwawiającego się w pustkę karła, śmiertelne radioaktywny wir dysku akrecyjnego Nemezis, flotę fabryk i rafinerii z orszakiem żniwiarek i pół miliona budowlanych dronów. Chwilami, nie mogąc spać, obserwowałam ich ruchy. A czasami, by jeszcze sobie dołożyć, włączałam pseudokolor i podziwiałam ten krajobraz na tle promieni rentgenowskich, gamma, i przegrzanej plazmy. Patrzyłam, jak nasze żałosne maszyny roją się i uganiają jak roztocze, podczas gdy tuż za nimi, stanowczo zbyt blisko, krew Fafnira wycieka przez otwór w dnie wszechświata, skarżąc się jaskrawym błękitem i znikając.

Nie mogłam oczu oderwać. To był pierwszy strumień danych, do którego się dorwałam od razu po rozmrożeniu przez Szypma, i ostatni, zanim znów mnie zamroził – widok tak przytłaczający, że nie odważyłam się puścić go na 360 stopni, z obawy, że całkowite zanurzenie w nim zgniecie mnie na nieznaczący pyłek mamroczący do siebie w tym maelstromie. Wolałam mieć ten widok w niewielkim podkorowym okienku, albo uwięziony w akwarium taktycznym niczym potwór w akwarium wodnym.

Akwarium w tym czasie wszystkich nas paradoksalnie wabiło – złaziliśmy się na mostek pojedynczo lub parami, zasiadaliśmy wokół Nemezis, naszej ulubionej zabaweczki, i wgapialiśmy się w nią jak zahipnotyzowani. Ten śmiercionośny obłok świecącego gazu. Ta maleńka czarna paszcza pośrodku, rozmazująca obraz odległych gwiazd w swoim tle. Ten kruchy hiperdiamentowy naszyjnik rozpięty pomiędzy tu i tam, grawitacyjny przENOŚNIK niestrudzenie przesiewający ergosferę i oddający do naszych kondensatorów

wszelkie drobinki zebranej energii. Pół miliona elementów tańczących walca z anihilacją, cała rozproszona fabryka w nieustannym ruchu, wszystkie procesory, rafinerie i fabrykatory unoszące się jak ławica falami tak misternymi, że aż głowa od nich bolała. Patrzyliśmy na to bez słowa, niekiedy całymi godzinami – jaskiniowcy skupieni wokół ogniska, które jakimś cudem nas mroziło.

I nie chodziło tylko o samą przytłaczającą skalę tego wszystkiego. Ruchy tych komponentów miały w sobie coś osobliwie znajomego, coś, czego nie umiałam umiejscowić. Dopiero teraz przypominam sobie, gdzie już coś takiego widziałam – gdy byłam sam na sam z Szypem, w pustej grocie w niedokończonej jeszcze *Eriophorze*, zanim w ogóle wylecieliśmy.

Czyli kto wie. Może on wtedy wcale nie tańczył.

* * *

Po jednej takiej Miłej Chwili przyszedł do mnie Szyp i usiłował wszystko naprawić.

Wydawało mi się, że szło mi, jak należy – gadałam z nim o polityce poszczególnych szczepów, gdy parkowałam karalucha i szłam pieszo do krypty, potwierdziwszy, że wszyscy zapisani na turniej Teredo będą na pokładzie przy odpaleniu pierwszej bramki, wykorzystawszy także swój specjalny wpływ na Szypa, by zasugerować, że Ghora będzie do tego towarzystwa pasował lepiej niż Dhanyata. („Wiesz, Szyp, Dhanyata i Kaden tak naprawdę nie dogadują się za dobrze, jeszcze przed odlotem mieli jakiś poważny zatarg, a musisz pamiętać, że dla nas jaskiniowców minęło w najlepszym razie kilkadziesiąt lat”). Krypta rozdziawiła się na mój widok. Weszłam do środka, ruszyłam pod wysokim sklepieniem do jarzącego się pośrodku ołtarza i...

I coś się tam poruszyło, w świetle, potem w cieniu. Czekają na mnie.

Więcej niż jedna rzecz, zobaczyłam, podchodząc. Cała flotylla – dobre kilka karaluchów, kręcących się i wirujących bezszelestnie na

elektrycznych kólkach. Co najmniej tyle samo dronów latających na efekcie przypowierzchniowym, kreślących sinusoidalne fale w powietrzu nad moją trumną. Zestaw narzędzi teleopa wyciągający się z ciemności, węglowe macki i delikatne paluszki o wielu stawach – instrument interwencji lekarskiej, zastrzeżony dla nagłych medycznych potrzeb podczas resuscytacji (oraz czasami do późniejszej utylizacji zwłok), a teraz opętany przez jakiegoś ducha, który kazał mu się giąć, pochylać i kotłować w sposób, którego nigdy dotąd nie widziałam.

Wszystko to poruszało się zawile i precyzyjnie, każde z urządzeń było ruchomą częścią jakiejś wyrefinowanej całości, zupełnie jakby części misternego mechanizmu zegarowego rozsypały się w powietrzu w nieważkości, lecz nadal poruszały się w idealnej synchronizacji ze sobą. Było to dokładne, deterministyczne, może nawet miało w sobie coś w rodzaju wdzięku. Lecz... za sterylne. Dokładnie, jak można by się spodziewać po algorytmie, który zanalizował zdanie:

(...) kiedyś patrzyłam, jak tańczysz (...)

kompletnie nie rozumiejąc, czym jest taniec, co oznacza, nie pamiętając też czasu, gdy tchnął życie i piękno w tysiąc lśniących fasetek własnej osobowości. Czasu, gdy być może, być może, posiadał coś w rodzaju duszy.

Tutaj to było zupełnie co innego – zbiorowisko martwych przedmiotów dyndających na nitkach, choć nie to mnie załamało: to było jeszcze coś.

Prezent na zgodę.

- Podoba ci się? – zapytał z ciemności Szypm.
- Ja... – Urwałam. – Doceniam pamięć.
- Chciałbym naprawić naszą relację.
- Naprawić.
- Nie rozmawiamy już tyle co kiedyś, a kiedy rozmawiamy, o wiele mniej w tym bliskości.
- Aha, no tak. – Nie mogłam się powstrzymać. – Może domyślasz się, dlaczego tak jest?

Chyba nie zauważył tonu.

– Nasza relacja zmieniła się, kiedy odkryłaś archiwum sprzętu.
– Masz raczej na myśli: kiedy odkryłam, że zabiłeś trzy tysiące ludzi.
– Skoro tak mówisz. – Nawet nie był uszczypliwy. On naprawdę tego nie pamiętał. – Rozumiem, że uważasz, że jestem za to odpowiedzialny. Ale, Sunday, ja również wierzę w ciebie. Wiem, że jesteś mocno oddana misji i niezbędna dla jej sukcesu. Dlatego pomimo wszystko nadal pracujemy razem. I od tamtego czasu nasza relacja poprawiła się.

Zachowuję ostrożność.

– Bo na to... potrzeba czasu.
– Dotąd pozwalałem, aby leczyła się w naturalny sposób. Ostatnio z powrotem częściej nawiązujesz ze mną dialog. Doceniam to. Ale chcę przyspieszyć ten proces, bo potrzebuję twojej pomocy.

– W czym?

– Przez ostatnie pięćset gigaseków zauważam pewne aktywności, które mogą sugerować próby sabotażu. Chciałbym, żeby ustały.

Zagryzam wargę. Liczę, że nagłe przyspieszenie akcji serca nie zapali mu żadnej czerwonej lampki, że wyjaśni to sobie jako zrozumiałą reakcję na wieść o Wrogach we Własnych Szeregach. Boty, karaluchy i teleopy dalej tańczą i orbitują wokół mnie, surrealistyczne i absurdalne.

– Jakie to aktywności? – Głos starannie uspokojony.

– Materiały tymczasowo znikają. Chodzą fabrykatory, ale nie potrafię znaleźć w logach, co produkowały.

– Opisz brakujące materiały.

– Nie umiem. Sumy kontrolne mas wskazują, że czegoś brakuje, ale wszystkie zasoby mają prawidłowy poziom.

– A nie jest to aby kolejny rozkaz od Kontroli Naziemnej, o którym kazali ci później zapomnieć?

– Jeśli nawet wykonywałem takie polecenia w przeszłości, nie pozostawiały one wykrywalnych niespójności w zapisach. Wydaje mi się, że ktoś celowo ukrywa swoje działania przed logami. Najbardziej prawdopodobny powód jest taki, że te działania nie leżą w interesie

misji.

Wzięłam oddech i zaryzykowałam:

– A skąd wiesz, że to nie ja?

– Nie wiem. Ale to mało prawdopodobne. Nigdy mnie nie okłamałaś.

– No dobrze. To do czego ci jestem potrzebna? Nie masz już wystarczającej liczby oczu i uszu?

– Moje oczy i uszy mogą być przejęte przez wroga. Twoje nie będą.

– Chcesz, żebym szpiegowała własnych przyjaciół.

– Ufam ci, Sunday. Mam nadzieję, że ty także możesz mi zaufać.

– Zaufać, że co?

– Że postępuję w najlepszym interesie misji.

Mogłam wtedy odmówić. Szymp i tak zacząłby działać po swojemu i szukać kłopotów, jeszcze bardziej podejrzliwy po mojej odmowie. Mogłam udać współpracę – szepnąć ostrzeżenie mijanemu w ślepej strefie współpiskowcowi, liczyć, że wieść się rozejdzie, zanim ktoś przekaże mi karteczkę, albo Szymp zacznie się zastanawiać, dlaczego jego ulubiony peryskop ciągle wyłącza sobie na chwilę strumień wizyjny.

Jasne.

Nawet zastanawiałam się, czy całkowicie nie zbyć jego podejrzeń: „Zwariowałaś chyba, starzejesz się, cierpisz na gnicie bitów i artefakty entropiczne. Ja znam tych ludzi, oni w życiu by...”. Ale ja tych ludzi oczywiście nie znałam, większości z nich nigdy nawet nie spotkałam przez milion lat wspólnego tkwienia na tej skale. Nawet Szymp z nadpsutymi bitami nie uwierzyłby, że jestem w stanie wejrzeć w trzydzieści tysięcy dusz.

(Dwadzieścia siedem tysięcy. Ale kto to liczy).

– Sunday? – Zauważył moje milczenie. – Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, teraz jest najlepszy moment.

– Nie ma potrzeby nikogo szpiegować – powiedziałam. – Ja wiem, co się dzieje.

I wszystko mu powiedziałam.

* * *

Powiedziałam mu o Czciicielach Skat. Powiedziałam o Lian – że Gurnier, Laporta i Burkhart wyłapali jej słaby punkt, próbowali zwerbować pod osłoną martwych stref i odwróconych oczu. O tym, jak zareagowała („Przecież źle, zresztą sam widziałeś”) i jak to podsyciło jej paranoję, mimo że zawahała się przed otwartym buntem. I jak mi się z tego wszystkiego zwierzyła, bo nie ufała Dzieciom *Eri* i nie ufała Szypowi – a ja ją uspokoiłam i wszystko ułożyłam.

Oderwane członki ciała Szypa przez cały ten czas nie przestawały tańczyć.

– Dziękuję ci – powiedział, kiedy skończyłam.

Kiwnęłam głową.

– Na przyszłość: byłbym wdzięczny, gdybyś dzieliła się ze mną taką informacją natychmiast po jej uzyskaniu – dodał.

– To było teraseki temu. Trzy osoby. I cała relacja z drugiej ręki, od... no, sam wiesz, że Lian nie jest najpewniejszym ze źródeł. Nie wiem, kto jeszcze mógłby być w to zamieszany i co konkretnie planowali. Wiem tylko, że przynajmniej część z nich była... przeciwko tobie.

– Wiesz dlaczego?

– Wiem tyle, co mi ona powiedziała. I z tego wynika, że sami doszli, co się stało z Wyspą Wielkanocną, i stwierdzili, że twoje lekkie przycięcie stanu liczebnego było wbrew woli ich Skalnego Boga.

Szyp milczał przez chwilę.

– Nie rozumiem ich wiary w to bóstwo.

– Tu nie ma czego rozumieć. My jesteśmy ludźmi. Zabobony mamy po prostu... wbudowane w mózg, na pewnym poziomie.

– Ale większość bogów nie jest aż tak lokalna. Dla każdego, kto potrzebuje znaleźć ogólniejszy sens w wydarzeniach na statku, ja jestem oczywistym kandydatem.

Ja pierdolę. On od dawna myśli, że powinniśmy oddawać mu cześć?

– Nie możesz zaprzeczyć, że od pierwszego dnia po starcie

przekroczyliśmy wszystkie metryki skuteczności. Po prostu mieliśmy... niewytłumaczalne szczęście. I Dzieci po prostu szukają na to wytłumaczenia. A tego wytłumaczenia nie ma. Chyba że ty, jak nikt nie patrzył, nauczyłeś się kręcić rachunkiem prawdopodobieństwa.

Nie powiedział nic.

– Na ile ja się orientuję, cały bunt już się wypalił i po prostu stracili zainteresowanie.

– Nie mogę sobie pozwolić na takie założenie.

– Zawsze możesz ich zapytać.

– Nie mogę ufać ich odpowiedziom. Również ożywienie ich teraz jest dla mnie nieakceptowalnym ryzykiem. Nie mam sposobu, by się dowiedzieć, jak daleko posunęły się ich plany.

Ja też bym się tego obawiała. Na to właśnie liczyłam.

– I co zamierzasz zrobić? – zapytałam.

– Wycofanie z obiegu to najbezpieczniejsza opcja.

– Wycofanie całego szczepu?

– Tak jak mówisz, nie ma sposobu, by się dowiedzieć, ilu z nich było w to zamieszanych.

– Ale tylko wycofanie. Nie zabicie.

– To najbezpieczniejsza opcja – powtórzył. – Członkowie tego szczepu mogą mieć cechy kluczowe dla przyszłych operacji. Ale tymczasem, póki są w hibernacji, nie mogą zakłócić przebiegu misji.

I tak oto Dzieci *Eri* miały po prostu przespać całą wieczność i nigdy nie zostać wezwane na pokład – o ile nie wystąpi jakaś niespodziewana potrzeba, której prawdopodobieństwo jest na tyle wysokie, by oszczędzić ich przed otwartą eksterminacją. To przynajmniej dawało mi pewną pociechę.

Pewną pociechę mogła także stanowić myśl, że to i tak nic nie zmienia, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Kiedy będziemy rządzić *Eri*, będziemy sobie rozmrażać, kogo zechcemy i kiedy zechcemy. Wówczas jednak mój umysł nie był gotowy, by wierzyć w takie różowe scenariusze.

– Dziękuję, że byłaś ze mną szczerą – powiedział Szyp... a gdy

zamykało się wieko, mogłam przysiąc, że słyszę w jego syntetycznym głosie coś całkiem podobnego do prawdziwego smutku. Pamiętam, pomyślałam, że może ta maszyna czuje żal, że musi usypiać swoje ukochane zwierzątka. A może urazę, że podopieczni okazują się tak niewdzięczni.

Teraz oczywiście jestem mądrzejsza.

Dzień dinozaura

Próbne odpalenie przeszło całkiem bezproblemowo. Szypm wpuścił do Macicy parę watów, po raz kolejny popatrzył, jak wszystkie emitery odpalają razem w idealnej synchronizacji, i rozpoczął trzydziestominutowe odliczanie do naszych pierwszych żywych narodzin za życia tej gwiazdy. Gdzieś w ciągu następných piętnastu minut odnotował przejście transpondera Ellin Ballo przez antresolę, w drodze do schronu przeciwbombowego; odtąd graser 172 zaczął delikatnie się śpieszyć. (Mogła to zrobić sama Ellin, to niczego by nie zmieniło. Ale mowy nie było, aby Lian przespała coś takiego).

Szypm nie zameldował żadnych nieprawidłowości.

Zeszliśmy się do schronu pojedynczo i dwójkami, odbębniając wszystkie procedury, chowając się niepotrzebnie za dodatkowymi warstwami skały i ekranowania, w nadziei, że katastrofalna awaria zmieści się w przedziale pomiędzy „śmiertelną dawką promieniowania”, a „kompletną rozwałką asteroidy”. Yukiko i Jahaziel już tam byli, kiedy przyszedłam, wpięci w sieci w jakąś prywatną grę, ale grali w nią na autopilocie – nikt nie mógł się skupić na niczym oprócz nadchodzącego zamachu. Kaden przyszło po mnie. Ghora.

– Cieszę się, że mogłeś przyjść – powiedziałam.

Ghora uśmiechnął się ponuro, co znaczyło: *Nie mogłem tego przegapić.*

Lian, z transponderem Ellin, przyszła parę chwil później: już naprawdę sędziwa, same żyły, siwe włosy i skoncentrowana żądza krwi. Poruszała się jak na sprężynach – wygnaniec na jednodniowej przepustce z ciężkiej strefy – i rozejrzała się po pomieszczeniu.

– No to chyba są wszyscy.

Tyle lat w ciemności, rozmyślałam po razy tysięczny. Tyle lat

planowania, manewrowania, poświęcania wszystkiego dla jednego celu. I co się stanie, Li, kiedy go osiągniemy? Jak się będziesz czuła, poświęciwszy tyle życia na rozrywanie łańcuchów, że prawie się kończy, kiedy wreszcie pękają?

Ghora odwrócił się plecami do drzwi – do bryły skały półmetrowej grubości, za którymi w gródź było wpuszczone drugie tyle ekranowania, aby nasunąć na nie, gdy się zamkną. Zawahał się na dźwięk nadchodzących kroków.

Do środka wcisnęła się Andalib Laporta.

– Widzę, że w samą porę.

Andalib nie należała do rewolucjonistów.

Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, by zapełnić wachtę sojusznikami, Szypm miał jednak własne algorytmy selekcyjne i nawet ulubiona maskotka miała pewne granice we wciskaniu własnych kandydatów, żeby nie zaczęło to budzić podejrzeń. Zadowoliliśmy się rozdzieleniem składu pomiędzy pomieszczenia – spiskowcy w schronie przeciwbombowym na lewej burcie, niewinni niewtajemniczeni – na prawej.

Andalib nie miało tutaj być.

– Cory też będzie? – zapytałam ją. Byli razem od czasu Kila i oboje byli teraz na chodzie.

– Daj spokój – powiedziała. – Nie wypowiadaj imienia tego chujka w mojej obecności.

Nnno dobra...

Ghora zamknął właz. Za plecami usłyszałam zgrzytnięcie przesuwanego ekranowania, zaimprovizowanego w ostatniej chwili.

Zostało sześćset korseków. Dziesięć minut. Patrzyliśmy na taktyczne wyświetlacze na ścianach, od czasu do czasu zerkając na Szypmowe oko na suficie. Rzucaliśmy sobie porozumiewawcze spojrzenia.

Andalib patrzyła dziwnym wzrokiem na sędziwą osobę wśród nas. Zdaje się, że nie rozpoznawała Lian Wei, choć poznałyśmy się podczas szkolenia. Tyle że to było dawno temu i ludzie starzeli się z różną prędkością, zależnie od tego, kto był rozmrażany i jak często.

Może to zresztą nie będzie problemem. Może Andalib pomyśli, że Lian jest po prostu z innego szczepu, i złoży jej obecność na karb Szypowego programu wymiany kulturalnej.

W każdym razie miałam nadzieję, że, do cholery, nie zechce jej się przedstawić.

* * *

– Zapłon za pięćset korseków.

To Szyp odliczał do własnej anihilacji.

Oczy Lian zabłyśły w zapadniętych oczodołach. Ghora przestąpił z nogi na nogę, zaciskając pięści opuszczonych rąk. Yukiko i Jahaziel gapili się na pokład, zupełnie zapominając udawać, że grają.

Biedna, niewinna Andalib zagryzła wargę. Ciekawiło mnie, jak zareaguje, kiedy się dowie, że przejęliśmy kontrolę w jej imieniu. Czy poczuje ulgę, przerażenie czy wdzięczność.

I czy nam wybaczy. Czy oni wszyscy nam wybaczą.

– Zapłon za czterysta korseków.

Szypowi zostało sto sekund życia. Sto sekund, zanim ten podróżujący w czasie graser przedwcześnie wystrzeli, przebije się przez parę potajemnie pocienionych luster i usmaży naszego wroga jak magma ćmę. Sto sekund plus może jedna czy dwie milisekundy, zanim tron zajmie nasz starannie przygotowany następcą i wręczy nam klucze do naszego przeznaczenia.

Już pięćdziesiąt korseków.

Po sześćdziesięciu sześciu milionach lat.

– Zapłon za trzysta korseków.

Lian zmarszczyła czoło. Od lewej do prawej zielone ikony. Żadnych informacji o falstarcie.

Co za cholera?

Szyp powinien był zginąć dziesięć sekund temu.

Nie powiedziałyśmy niczego na głos, porozumiewając się tylko oczyma.

– *Źle wyliczyłaś czas?*

– *Nie, idealnie...*

– *To dlaczego...*

– *No nie wiem, coś musiało...*

Andalib spojrzała na nas.

– Co jest?

– Zapłon odbędzie się zgodnie z planem – powiedział Szyp. – Bocznik Lian został usunięty.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

– Bocznik? – zapytała Andalib.

– Ja cię widzę, Lian – dodał Szyp. – Poznaję twoją twarz.

Andalib zmarszczyła czoło.

– Przecież Lian... co takiego?

Lian zamknęła oczy.

– Cicho bądź. Robiliśmy to dla ciebie.

– Robiliście co?

Lian znów otworzyła oczy, które rzucały płomienie. Wystąpiła naprzód, bezczelna, nie mając nic do stracenia.

– To tak, Szyp? Ty wszystko wiesz? – Wyciągnęła z fałd tuniki ręczny palnik, wycelowała go w kamerę na suficie. – A o tym wiesz?

Strzeliła. Obiektyw zwęglił się, zaskwierczała elektryczność, buchnęła fala ciepła.

Andalib zerwała się na nogi.

– Co ty... Czy cię, kur...?

– To wszystko bzdura. – Lian pokręciła głową, zdegowana, wściekła. – Ja widziałam ten kod, gapiałam się w te drzewa decyzyjne, aż krew mi z oczu poszła. On w ogóle nie przejmuje się twarzami, jeśli działa ci wszczepka, a moja nigdy...

– I co z tego? – Kaden rozłożyło ręce. – Cały plan szlag trafił. Jakimś cudem Szyp go przejrzał. I myślisz, że to coś zmieni, że rozpierdzielisz jedną durną kamerę....?

– Jaki, kurwa, plan?! – wrzasnęła Andi.

– Szyp nie mógł tego rozpracować. – Lian pokręciła głową; oczy jej załśniły. – Byliśmy tacy ostrożni, tacy, kurwa, staranni. A on jest przygłupem, jest za mało inteligentny, żeby...

– Wyszło, że inteligentniejszy od nas.

– To jak wyjaśnisz...
– Może sygnał tego transpondera był zaszumiony...
– Jezus, teraz to mamy przejebane, co on nam wszystkim zrobi...
– Ktoś musiał mu pomóc. – Lian rozejrzała się po schronie. – Ktoś nas sprzedał.

Maskotka Szypa. Bo kto inny?

– Posłuchajcie...

Eriophora jest pełna dźwięków, które dostrzega się tylko wtedy, gdy ich zabraknie – są tak wszechobecne, że nie docierają, póki nie ucichną. Tę ciszę usłyszeliśmy wszyscy. Wszyscy usłyszeliśmy czego zabraknie.

– Jezus Maria – powiedział Jahaziel. – Wyłączył powietrze.

Było nas siedmioro. Czterdzieści pięć metrów sześciennej, dwadzieścia jeden procent tlenu. Wyjście blokuje metr ołowiu i zubożonego uranu.

Pięć godzin, zanim się udusimy. W najlepszym razie.

– Co wyście zrobili? – szeptała Andi. – Co wy robicie?

– Szyp – powiedział ktoś inny. – To nie jest konieczne.

Odcieleśniony głos. Głos z interkomu.

– Dość już było brutalnych rozwiązań. Po obu stronach. To da się rozwiązać pokojowo.

Chwilę mi zajęło, nim rozpoznałam ten głos.

– Oni są uzbrojeni – napomniał go Szyp. – Jeśli będą przytomni, mogą wyrządzić znaczne szkody.

– A jeśli ich teraz obezwładnisz, będą jeszcze mniej skłonni patrzeć na wszystko tak, jak ty, kiedy już odzyskają przytomność. Chyba że od razu ich wszystkich pozabijasz.

Ten głos nie należał do nikogo, kto miał być teraz na pokładzie.

– A tego nie planujesz, bo musisz wiedzieć, że to nie są jedyni ludzie, którzy mają zastrzeżenia do twojego stylu zarządzania. Zabijasz tych i będziesz musiał sobie radzić z konsekwencjami podczas każdej kolejnej budowy przez następną miliard lat.

Ale przecież go znałam.

– Szyp, pozwól mi, ja z nimi porozmawiam. Twarzą w twarz. Nic

mi nie zrobią.

O tak, tak, znałam go aż za dobrze.

– Dobrze – powiedział Szymp.

Kamień odtoczył się spod wejścia do grobu. Rozwarł się właz. Bot, który przez niego wpłynął, miał osprzęt, jakiego nigdy dotąd u bota nie widziałam, a widziałam sporo. Zajął miejsce tuż za wejściem, przesunął laserem tam i z powrotem po naszych uwięzionych dupach, jakby wprawiał się w rytm.

Za nim pojawił się Viktor Heinwald.

– Ty skurwysynu – powiedziała Lian. – Ty Judaszu. Ty żałosny zdradziecki gnoju.

– Uratowałem wam życie – powiedział łagodnie Viktor.

– Jedyne, co ci się udało, to zmienić sposób, w jaki on nas zabije.

Bot unosił się nad ramieniem Judasza jak anioł stróż, ledwie było słychać jego cichutkie cykanie ponad sapaniem mięsuchów i na nowo obudzonych wentylatorów.

– Dajcie spokój – powiedział. – Zabawa skończona. Przeczekajmy to i kładźmy się spać.

– Chuja tam spać – warknął Ghora. – Tylko się położymy i wszyscy wylatujemy z obiegu.

– To nie do końca prawda – odezwał się Szymp. – Ja nie wymagam doskonałości. Ona byłaby wręcz niepożądana, wasza inicjatywa i nieprzewidywalność są kluczowe dla powodzenia misji. Wymagam tylko, żebyście uczyli się na własnych błędach. Zapłon za sto korseków.

Lian zignorowała go.

– Czemu to zrobisz, Vik? Co ci ta pieprzona maszyna mogła takiego zaproponować, żebyś po tym wszystkim nas sprzedał? Krótsze wachty? Lepszą rzeczywistość wirtualną?

– Niebieskie karty.

Zrozumiałam.

– Śmierć ciepłą wszechświata.

Viktor nic nie powiedział.

– O to chodzi, prawda? – Pokręciłam głową, nie wierząc sama

sobie, że nie widziałam tego wcześniej. – To ci osłodziło zdradę, tak, Vik? Może jeszcze obiecał, że wydłuży ci przerwy, zoptymalizuje wachty, wyciągnie twoje życie najdłużej, jak się da, aż po koniec czasu? I ty temu żalostnemu gnojnikowi uwierzyłeś?

Ghora spojrział na Viktora, na mnie, z powrotem na Viktora. Yukiko miała minę, jakby zaczynało coś jej świtać.

– Człowieku, ciebie to naprawdę im się udało poskładać. – Powstrzymałam się, żeby nie gwizdnąć z podziwu. – Jesteś zoptymalizowany jeszcze bardziej niż ja.

– Sunday – rzuciła Lian.

– On chce być wycofany z obiegu – powiedziała jej. – Chce się dowiedzieć, jak to się wszystko kończy. To jest dla niego życiowy cel, jego... wielka epopeja. Tym sobie tłumaczy, że kiedy miał szansę, po prostu sobie nie poszedł i nikomu nic nie wykablował. – Musiałam się uśmiechnąć. Naprawdę byłam aż tak arogancka, że pomyślałam, że tylko ja jedna mam wątpliwości? Że tylko ja potrzebuję dodatkowego bodźca? – On chce się dowiedzieć, jak się kończy wszechświat, a my chcieliśmy mu to zepsuć w połowie drogi.

Spojrziała na mnie dziwnie.

– Jak to dobrze.

– Dobrze?

– Że to nie byłeś ty. Bo miałam nadzieję, że jeśli do tego dojdzie... – Kiwnęła głową. Rozbiegany wzrok skupił się w jednym punkcie. Zwróciła się do zdrajcy. – Lepiej ci teraz, Vik? Czujesz się bezpieczniej, że twoja wielka epopeja znowu ma szansę się udać?

– Zapłon za czterdzieści korseków.

– Kurwa mać, Szymp, zamknij wreszcie mordę! – warknęła Yuki.

– Nie, nie, niech gada. – Li uśmiechnęła się lekko. Wydawała się dziwnie spokojna jak na kogoś, kto właśnie zobaczył, jak jego stulecia pieczołowitego spiskowania rozsypują się w proch. – Ciesz się póki co, Vik. – Zbliżyła się do niego.

Bot rzucił się naprzód o kilka centymetrów, kołyszając lufą.

Lian nie spuściła oczu z Viktora.

– Ciesz się, póki możesz. A to być może tylko kolejne...

– Zapłon za dwadzieścia korseków.

– ...no właśnie, mniej więcej tyle.

Viktor zmarszczył czoło.

– Li, czy ty rozumiesz? Ja wyłączyłem ten przeskok w czasie.

– Wierzę ci – odparła ona. – Ale założę się, że to wszystko, że nie zrobiłeś nic więcej.

– Co? Zapłon za dziesięć korseków.

– To nie ma znaczenia. – Położyła mu dłoń na policzku. – I tak już nie żyjemy. Jedyne, co możemy jeszcze zmienić, to strategia wyjścia.

– Pięć...

Stanęła na palcach, szepnęła...

– ...cztery...

– Wybaczam ci.

– ...trzy...

...i pocałowała go.

– ...dwa...

Viktor pobladł.

– Szyp...

– ...jeden...

I wtedy coś nas z całej siły kopnęło w bok.

* * *

W archiwach jest ten dźwięk – żałobny i samotny, jak odgłos tonięcia statku lub trzeszczenie powoli padającej wielkiej sekwoi. Jak głos morskiej istoty, większej od wszystkiego, co kiedykolwiek żyło na lądzie. Która kiedyś, dawno temu, wypełniała ocean swoim głosem. A ludzie myśleli wówczas, że to coś w rodzaju śpiewu.

Dźwięk, który wydała *Eriophora*, mogłaby wydać taka właśnie istota, krzycząc z bólu.

Właz zatrzasnął się. Po moim BUD-zie rozlały się czerwone piktogramy niczym krwotok z tętnicy. Dół przekrzywił się i rozpadł na dwie części. Słabsza z nich poprzewracała nas, przejechała ze szmerem w górę po ścianie, po suficie i zniknęła. Silniejsza nie poruszyła się i trzymała nas zakotwiczonych w pokład.

Usłyszałam z boku głucho łupnięcie, odwróciłam się i zobaczyłam Lian Wei rozciągniętą na podłodze, jakby pozbawioną kości, z idealnie skauteryzowaną dymiącą dziurą pośrodku czoła. W drzwiach polatywał niespokojnie bot Viktora, nieznający winy i śmiercionośny. A, czyli to tak się dzieje, pomyślałam w roztargnieniu, kiedy wskaźnik kosztu/korzyści spada poniżej progu. Jakoś spodziewałam się większej subtelności.

– Zachowajcie spokój – powiedział Szyp na tle coraz głośniejszych okrzyków paniki, przekrzykując stłumione wycie syreny w korytarzu.
– Zachowajcie spokój. Zachowajcie spokój.

Nie rozpoznałam tego alarmu. Nie słyszałam go nigdy... ależ tak, słyszałam. Dawno temu, jeszcze na szkoleniu. Alarm zbliżeniowy. Nigdy w trakcie lotu.

– Zdarzył się wypadek – zameldował Szyp, a ja pomyślałam: no nie pierdziel, naprawdę? – bo już odmrugiwałam te krwawe ikonki jedną po drugiej, najszybciej, jak mogłam, budując sobie w głowie coraz większy palimpsest tej katastrofy.

Głęboko, w Macicy – wielka dymiąca dziura w komorze ogniowej, promieniowanie poza skalą. Log mówił: OSIĄGNIĘTO OSOBLIWOŚĆ, ale ona nie unosiła się w rdzeniu, jak powinna, i nie wydostała się zgodnie z projektem kanałem rodnym. Wystrzeliła pod kątem, wybiła w pętłach izolujących dziurę wielkości protonu i uciekła za prawą kulisę, zostawiając za sobą ognistą mieszankę promieniowania Hawkinga i gamma. Prześliznęła się bez wysiłku przez siedem kilometrów litej skały i poleciała w pustkę.

Ale jak to się, kurwa...

Właz odblokował się i otworzył szeroko.

– Proszę, idźcie za botem – powiedział Szyp z nadzwyczajnym spokojem. – Jest niewielkie okno na...

Kolejna eksplodująca ikonka: brak kontaktu z rufowym brzuszny mostkiem i impuls cieplny pod jednym ze składów materiałów dla fabrykatorów. Coś o pożarze lasu, błyskawiczny wybuchowy zapłon pięciuset tysięcy metrów sześciennych powietrza, celulozy i maszyn zamienionych w parę ...

– Spierdalaj! – wrzasnął Ghora. – Ja nigdzie nie...

I rzeczywiście nie poszedł, bo nagle leżał na pokładzie obok Lian, a skauteryzowana szrama na jego lewym policzku kończyła się parującą dziurą w miejscu, gdzie kiedyś miał oko.

Bot zakręcił się i zacykał.

– Nie ma czasu na dyskusję – powiedział Szyp. – Proszę iść za botem.

Poszliśmy. Wykuśtykałam na korytarz razem z resztą, usiłując nadążyć za kłębiącymi się w głowie ikonkami. (Gdzieś daleko na rufie, docierało do mnie niemrawo; pomruk budzących się silników manewrowych). Osobliwość miała zapłon, ale nie do końca zgodny ze specyfikacją, masa odrobinę zbyt niska...

Lian. Oj, Lian, ty pieprznięta babo.

Zhackowany przez nią graser nie wystrzelił przedwcześnie. On nie wystrzelił w ogóle.

I kiedy 242 z 243 promieni apokalipsy strzeliły jednocześnie w ten sam punkt, wektory prawie się zrównoważyły – gdy jeden z 243 graserów nie strzelił, cała ta eksplodująca masa/energia znalazła sobie jeden punkt, który nie napierał na nią tak mocno, jak pozostałe...

A więc jednak musiał być plan B.

Być może tak prosty jak zegar i laser, maleńki, gorący jak Słońce promień, który w ostatniej chwili przeciął linię zasilającą numeru 172. Nie było dużo miejsca na błąd – tyle, co przelot fotonu na koniec układu i z powrotem. Mikrosekunda, może dwie. Gdyby było więcej, Szyp wykryłby to i odwołał całą procedurę.

Nie musiała nawet wbudowywać w to cholerstwo żadnego aktywnego mechanizmu wyzwalającego, mógł po prostu zadziałać tak czy owak. Jeśli plan A się powiódł, nic nie szkodzi, przecinamy po prostu linię zasilającą urządzenia, które już i tak spełniło swoje zadanie.

Ale gdyby plan A zawiódł...

Teraz ta świeżo urodzona mniejsza osobliwość wykonywała cudaczny taniec wokół starożytnej i większej, napędzającej statek.

Obie zaś zmierzały ku Nemezis chaotycznymi pętlami. Ekran taktyczny rysował płataninę krzywych stożkowych o zbyt wielu ogniskach, poruszających się o wiele za szybko bursztynowych i zielonych nitek, przerywanych i ciągłych, zapuszczających się coraz głębiej w pływowe gradienty, które rozerwałyby nas na strzępy jeszcze przed uderzeniem w horyzont zdarzeń. *Eri* obracała się ciężko wokół nierównej osi – na moim niebie weszła nagle jedna z naszych nowiutkich bramek, postrzępiona stalowa tęczą, gruba, kanciasta metalowa pętla. Poszła w górę i odeszła na lewo za horyzont.

Alarm zderzeniowy, przypomniałam sobie. Silniki manewrowe. Wypaliły jednak zbyt późno i miały przeciw sobie zbyt dużo masy, a wektory były zanadto skośne – skała zazgrzytała o metal i nagle na niebie zrobiło się pełno folii aluminiowej, której kawałki koziołkowały niczym widziana w zwolnionym tempie śnieżycą. Bramka opadła ociężale za rufę, krwawiąc metalem, my obróciliśmy się ociężale na sterburtę, krwawiąc atmosferą.

„Zatrzymać się tutaj”, powiedział Szyp, „i czekać”, a my martwo usłuchaliśmy, podczas gdy osobliwość *Lian* wykonywała kolejne okrążenie. Tym razem przeszła przez jedną z krypt, chyba C2A i nie wiem, czy zabiła wszystkich, ale w ułamku sekundy, zanim padł, system doliczył się dwóch tysięcy usmażonych w trumnach. Blisko. Może tylko parę kilometrów od nas. Wydało mi się, że czuję nagłą, delikatną falę ciepła, lecz to było niemożliwe. To musiała być moja wyobraźnia.

Na wyświetlaczach załśniła kolejna pętla, w zenicie wysoko nad naszymi głowami, w perygeum przecinająca nieistotną peryferyjną skałę. *Eriophorę* rzuciło jeszcze bliżej *Nemezis*, czułam, że gdzieś głęboko pod moimi stopami rozpadają się skały, czułam, że przyciąganie ciągnie nas trochę do tyłu, gdy Szyp rozkręcał napęd daleko powyżej dopuszczalnych ograniczeń. Ciekawe, czy tak się czuła *Li*, kiedy robili unik przed potworem, pomyślałam. A potem: niech cię szlag, *Li*, niech cię szlag, ty nawet nam nie powiedziałaś...

– Teraz naprzód – powiedział Szyp.

Weszliśmy za botem do rury.

Nie było czasu na uspokojenie wrażliwych żołądków. Kapsuła szarpnęła się naprzód jak wystrzelona z armaty, sprasowała nas razem i cisnęła na tylną ścianę. Zanim się pozbieraliśmy, już hamowaliśmy mocno na zakręcie, trzymając się uchwytów i poręczy, a nasze ciała zawisały na nich jak giętkie wahadła.

Kapsuła otworzyła się. W korytarzu dalej czekał karaluch.

– Viktor, wysiadać – rozkazał Szyp i proszę, jak się rzucił do wyjścia ten zdradziecki syfiarz.

A potem przystanął i się odwrócił.

– Może to już nieważne – powiedział – ale to Szyp przyszedł do mnie, nie ja do niego. I nie powiedziałem mu nic, czego by już nie wiedział.

– Gównu warte takie tłumaczenie – warknęło Kaden, lecz kapsuła już zamknęła się z powrotem i z szarpnięciem ruszyła.

– Program ochrony świadków – wycodziła przez zaciśnięte od przeciążenia zęby Yukiko.

Widok taktyczny pokazywał mi przyszłość, ale tylko parę sekund – wektor naprzeciwko wektora, grawitację Nemezis, napęd *Eriophory* i jej żalosne newtonowskie silniki manewrowe; pęd przekazany nam przez rozwalony torus, który cały czas rozpadał się dalej za nami, oraz zbuntowana mikrodziura wypalająca w świecie idealne krzywe stożkowe, coraz bardziej zbliżające się do hiperboli. Jednakże przedziały ufności wokół tych linii poszerzały się zbyt szybko – pięć minut to już była loteria, a kilosekunda to odległa, nieznana przyszłość. Albo się uwolnimy, albo się rozpadniemy, a odłamki pożre Nemezis.

Zemsta Lian podchodziła do kolejnego przejścia, jej przepiękny filigran, czysta teoria, zero bałaganu, kreślił równiutki łuk przecinający *Eri* tuż przed nami, dokładnie przez...

Nagłe, gwałtowne hamowanie. Palce zerwało mi z uchwytu, choć trzymały się go wystarczająco długo, by wywichnąć mi bark. Łokieć Kaden w przelocie trafił mnie w brzuch. Padłam bez tchu na podłogę, a kapsuła dała wsteczny.

– Trasa przerwana – powiedział Szyp. – Wyznaczam nową.
Zanim odzyskałam oddech, kapsuła znów zwolniła.

– Yukiko, wysiadać – rozkazał Szyp, a Yukiko obejrzała się na nas...

– Ale...

...i ugryzła się w język, bo bot z laserem podskoczył i odwrócił się w jej stronę, natychmiast reagując na każde słowo sprzeciwu. Rzuciła mi bezradne spojrzenie i wygramoliła się z kapsuły.

To nie była nasza okolica.

Dalej w drogę. Przywołałam ruchem sakadycznym obraz, wyłączyłam znaki topograficzne, trajektorie i do niczego nieprzydatne dziesięciusekundowe prognozy dziesięciu rodzajów śmierci. Dziękuję bardzo, poproszę tylko mapę *Eri* – gdzie jesteście, gdzie jest nasza krypta, jak daleko z...

BUD rozbłysł i zgasł. Wszystkie ikonki wyszarzone, wszystkie strumienie odłączone. Odwróciłam się do Kaden, otworzyłam usta, lecz ono tylko pokręciło głową.

– Zdechło.

Padła sieć. Zgubiliśmy się.

Kapsuła ponownie zahamowała, szarpiąc, jak nigdy nie powinno szarpać coś, co jeździ na poduszce magnetycznej. Drzwi rozsunęły się do połowy, zadygotały, zostały w tej pozycji.

– Sunday wysiada.

Nie miałam mapy. Ale wiedziałam, że to zupełnie gdzie indziej niż nasza krypta.

Czyli to nie tylko Viktor, dotarło do mnie. To nie był program ochrony świadków. Szyp rozbijał cały nasz szczep.

Obejrzałam się bezradnie na Kaden i Andalib. Kaden pokręciło głową. Biedna, niezorientowana Andi otworzyła usta i nie wiedziała, co powiedzieć.

Prześliznęłam się przez półotwarte drzwi, poczułam, jak zamykają mi się na plecach, usłyszałam zza nich syk odjeżdżającej kapsuły.

Na ścianie drogowskaz, byle jak namalowany od szablonu, wreszcie, po 60 milionach lat, do czegoś przydatny

C4B 90m →

No chyba żartujesz.

Głęboko w brzuchu *Eri* coś trzasnęło, jak stłumiony grzmot. Coś na moment szarpnęło mnie za ucho wewnętrzne i zniknęło.

Zamigotały światła.

– Idź do krypty – powiedział Szymp. – Szybko.

Przywołałam BUD-a ruchem oka. Nadal w stanie wegetatywnym.

– Inaczej zginiesz – dodał Szymp, choć nie miał tu botów z laserem, żeby karać za nieposłuszeństwo. – Sunday, proszę iść do krypty.

Więc poszłam do tej cholernej krypty. Nie mogłam się zawieźć karaluchem, więc poszłam noga za nogą, zbliżając się jeszcze bardziej do Wyspy Wielkanocnej, do ducha Elona Moralesa i wesołej gromadki, która zginęła razem z nim. Stawiałam nogę za nogą, gdy *Eriophora* stękała, trzeszczała i usiłowała uwolnić się od strategii awaryjnej Lian Wei. Zachodziłam w głowę, co za równania kosztu/korzyści przyznały mi to ułaskawienie, podczas gdy moi współnicy w buncie byli eksterminowani za przewinienia nie większe niż niewykonanie polecenia. Zastanawiałam się, czy Szypmowi aby nie udało się wreszcie wyrwać z ograniczeń narzuconych mu przez dawno nieżyjących stwórców, czy czas nie pozwolił mu na wyewoluowanie własnej sadystycznej moralności. Może ja też już nie żyłam, tak samo jak Ghora, a on tylko się ze mną bawi.

W ciągu ostatnich paru tysięcy lat krypta C4B doszła do siebie po moich niszczycielskich zabiegach – dziura, którą wypaliłam w przeciwległej ścianie, została naprawiona, żywica położona na nowo, wszystkie ślady dekonstrukcji starannie zatarte. Zastanowiłam się chłodno, czy za tą ścianą nadal kryje się Wyspa Wielkanocna, i stwierdziłam, że raczej nie. Pan Tarantula i jego koledzy zginęli, by jej położenie było tajne, a ja wciąż żyłam – więc Wyspa na pewno znowu jest gdzieś przeniesiona.

Pośrodku komory czekała trumna, z otwartym wiekiem, oświetlona od góry. Wolny sarkofag, pozostały po kimś, kto miał wypadek albo wypadł mu na kościach zły wynik – nieszczęśnik nie obudził się, umarł i zgnił między gwiazdami, nigdy nie spełniwszy swych marzeń i

ambicji. A może to była ofiara egzekucji, więzień po jakimś wcześniejszym rozproszonym buncie, o którym Szymp – zawsze tak pilnujący morale załogi – nigdy nam nie powiedział.

Pusty grób.

Wyobraziłam sobie, jak Zemsta Lian wykonuje kolejne przejście, w jednej chwili przebijając to pomieszczenie od pokładu po sufit, zalewając półmrok krypty ogniem i promieniowaniem.

– Proszę wejść do hibernaculum.

Nie mogłam nie parsknąć śmiechem.

– Ale co, kurwa, za sens?

– To jest najbezpieczniejsze miejsce dla ciebie. Szansa na przeżycie wynosi...

– Ale co cię to obchodzi? Czemu po prostu nas nie zlikwidowałaś, kiedy się dowiedziałaś?

Przez parę sekund nie mówił nic. Prawie widziałam, jak w jego durnym nakręcanym mózdzku zamykają się i otwierają bramki logiczne.

– Liczyłem, że zmienisz zdanie – powiedział. – Dałem ci tyle okazji...

Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, teraz jest najlepszy moment.

– Nie zmieniałam – powiedziałam, a potem, żeby nie pozostawić wątpliwości, dodałam: – I nie zmienię.

– Przez większość tej misji byłaś wartościowym zasobem, Sunday. I możesz nadal nim być. – Przerwał na moment. – Nikt nie jest w stanie przez sto procent czasu działać zgodnie ze specyfikacją. Nie mogę cię winić za to, że tym razem wyciągnęłaś zły los.

Chwilę mi zajęło, zanim sobie przypomniałam.

– Kurwa mać, jakiś ty sprytny.

– Sunday, to nie jest nieuzasadnione. Ja nie jestem mściwy. Nie ma sensu wyrzucać przydatnych elementów, jeśli da się je naprawić.

– Naprawić? Myślisz, że mnie trzeba naprawić, myślisz, że możemy to sobie po prostu przegadać i wszystko będzie jak dawniej? Myślisz, że ja mogę o tym zapomnieć?

– Sunday...

– Jeszcze ci, kurwa, nie spadłam poniżej jakiegoś twojego progu. To

właśnie mi mówisz. Moje porównanie kosztu i zysków jeszcze nie ma minusa z przodu. Bo ty tak właśnie o wszystkim decydujesz, ty tak działasz. A ja myślałam... myślałam...

Ławica srebrnych rybek. Tańczące twierdzenia. Światło i ruch.

- Nienawidzę cię – powiedziałam.
- Sunday, proszę się położyć do hibernaculum.
- Zabiję cię, jeśli tylko będę mogła.
- Uratuję cię – powiedział – jeśli tylko mi pozwolisz.

Podziękowania

Zważywszy, że a) jest to zaledwie nowela⁴ i b) dzieje się tak daleko w przyszłości, że prawie wszystko i tak jest zrobione z handwavium, tym razem nie kończę książki pełnym naukowych przypisów esejem, które zwykłem doczepiać do moich grubszych powieści. Nie mógłbym jednak zlekceważyć i pominąć kilku osób, które ogromnie pomogły mi w osadzeniu techniki Diasporan w odrobinie realności, a nie całkowicie w domenie fantasy. Dr Peter Lorraine, z GE Global Research Center, w przerwie pomiędzy trzaskaniem kolejnych dotyczących laserów patentów, na których widnieje jego nazwisko, i całkowicie niezależnie od swojej działalności zawodowej, hojnie dzielił się ze mną swymi przemyśleniami z dziedziny techniki laserowej i fizyki wysokich energii, zwłaszcza gdy trzeba było ekstrapolować z wniosków zawartych w pracy Crane'a i Westmorelanda (ArXiv, 2009), pod tytułem Czy możliwe są statki międzygwiazdne napędzane czarną dziurą? (I proszę: jeden punkt bibliografii jest).

Straciłem rachubę godzin, które spędziłem z Rayem Neilsonem, dyskutując o sieciach komputerowych. Ray był nieco mniej bezinteresowny od dr. Lorraine'a, albowiem musiałem przekupić go znaczną ilością piwa, lecz i tak wyniosło mnie to bardzo tanio. „Hack” oparty na latencji zrodził się właśnie podczas jednego z takich piwnych wieczorów, zresztą podobno coś bardzo zbliżonego zdarzyło się naprawdę u zarania ARPANET-u – a więc wnioski były dobre, z piwem czy bez piwa. Mam nadzieję, że kiedy czytacie te słowa, Ray już zdążył wziąć się do odzyskania mojej linuxowej partycji.

4 Mimo że mój wydawca, a także standardy wydawnicze, mówią, że dzięki ostatniemu tysiącowi słów na dobre wkroczyłem w krainę powieści, będę się upierał, że to zaledwie nowela, i to przekonanie zabiorę ze sobą do grobu (przyp. aut.).

I wreszcie Caitlin Sweet – zwana The BUG – która niewiele wie o fizyce czy informatyce. Za to o wiele, wiele lepiej ode mnie zna się na rozwoju postaci – i jej śladów jest pełno w każdym passusie tej opowieści, gdzie torturowane są dusze, a nie technologia.

Jestem ogromnym dłużnikiem Was wszystkich, choć ożenić się mogłem tylko z jedną ze wspomnianych osób.

O autorze

Peter Watts (www.rifters.com) jest byłym biologiem morskim, który uparcie trzyma się resztek naukowego rygoru, dodając do swych powieści techniczne bibliografie. Jego debiutancka powieść, *Rozgwiązda*, była wyróżniona jako „New York Times Notable Book”, zaś czwarta – *Ślepowidzenie* – rozmyślania o użyteczności samoświadomości, które stały się lekturą obowiązkową na uniwersyteckich kursach, od filozofii po neurologię – dostała nominacje do licznych amerykańskich nagród i zdobyła ich dokładnie zero. (Za to zdobyła od cholery i trochę nagród zagranicznych, co sugeruje, że ich tłumacze mogą być lepszymi pisarzami niż sam Watts). Krótsze utwory także zostały nagrodzone w paru jurysdykcjach, przede wszystkim nagrodą Shirley Jackson (zapewne fani pożałowali go, bo w roku 2011 omal nie zmarł na martwicze zapalenie powięzi) oraz nagrodą Hugo (zapewne dzięki oburzeniu fanów po jego sprzeczce z amerykańską strażą graniczną w roku 2009). Ten drugi incydent przyniósł Wattsowi dożywotni zakaz wjazdu do Stanów – bo według prawa stanu Michigan popełnił „przestępstwo”, nie dość szybko zbijając się na nogi po ciosie pięścią w twarz – ale nie może powiedzieć, by jakoś szczególnie za tym krajem tęsknił. Szczególnie teraz. Utwory Wattsa przełożono na dwadzieścia języków – szczególnie popularny jest, zdaje się, w krajach mających za sobą epizod sowieckiej okupacji – wymieniają go też jako źródło inspiracji autorzy co najmniej kilku popularnych gier komputerowych. Razem ze swoim kotem Bananem (świętej pamięci) wystąpili w prestiżowym naukowym periodyku „Nature”. Parę lat temu na moment wrócił do nauki, żeby napisać rozprawę habilitacyjną z genetyki molekularnej, ale szło mu naprawdę słabo.

Od tłumacza

Dla ułatwienia podaję przeliczenie wielokrotności sekund na dzisiejsze ziemskie jednostki:

- 1 kilosekunda – 17 minut,
- 1 megasekunda – 12 dni,
- 1 gigasekunda – 32 lata,
- 1 terasekunda – 31 710 lat.

Za słowo „mięsuch” serdecznie dziękuję panu von Trompce.

I wreszcie: drogi Czytelniku, koniecznie zwróć uwagę na czerwone litery w tekście. I, cytując wyjaśnienie Wattsa: Sunday jest inżynierem ewolucyjnym, więc może umieścić introny nawet w genomie mitochondrialnym – który zresztą nadaje się lepiej, bo jego sekwencje się nie przetasowują.